











**POWIEŚCI LUDU**

**SPISANE Z PODAŃ**

PRZEZ

**KAROLA BALIŃSKIEGO**

WYBORU I WYDANIA

**K. WŁ. WOJCICKIEGO.**



**WARSZAWA,**

W DRUKARNI J. DIETRICH

PRZY ULICY KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE N<sup>o</sup> 385.



**1842.**

UNIVERSITY OF TORONTO

LIBRARY

1911

LIBRARY

1911

LIBRARY

LIBRARY

LIBRARY

LIBRARY

LIBRARY

LIBRARY

LIBRARY

# POWIEŚCI LUDU

SPISANE Z PODAŃ

PRZEZ

KAROLA BALIŃSKIEGO

WYBORU I WYDANIA

K. WŁ. WOJGICKIEGO  
INSTYTUT

BADAŃ LITERACKICH I  
BIBLIOTEKA

98-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 2  
Tel. 26-68-62



WARSZAWA,

W DRUKARNI J. DIETRICH

PRZY ULICY KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE N<sup>o</sup> 385.

—o—

1842.

*Anna H*  
*Kazimierz*  
*95 Anna H*  
*Kazimierz*  
*109 B...*  
*(Kazimierz)*

POWIEŚCI LUDU

SPISANE Z PODAŃ

1882

WYDZIAŁ BAIŃSKI

WYDZIAŁ I WYDZIAŁ

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

INSTITUT

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

1882-83-85

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

WARSZAWA

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

WYDZIAŁ WOLNOŚCI

1882

1882

23.261



Powieści ludu naszego, co tylu pokoleń dziecinne umilały lata, samém podarciem żyjące, dopiero niedawno znalazły właściwe stanowisko w literaturze piśmiennej. Stanowiły ony wraz z pieśniami, i naszych ojców i naszą najpierwszą literaturę w ścianach domowych przy rodzinném ognisku. Do nich to lgnęły nasze serca, dla nich pamięć młodociana pierwsze na przyjęcie otwierała wrota: ony rozwijały naszą wyobraźnię, napełniały piersi wedle swjej treści, to przestraczem, to radością w przemiany.

I wiek po wieku mijał, a nasi pisarze starodawni, którzy je tak dobrze znali, jak i my sami — więcej i lepszych słysząc powieści, mniej zepsutych, mniej zapomnianych: nie pomyśleli o ich zbiorze — uważając za niegodne pióra przechowanie tak lichych pamiątek. A przecież w nich więcej jak w pieśniach leży cały obraz fantazyi naszego ludu — i żaden artysta z niczego więcej, jak tylko z tych podań, potrafi ją poznać i pojąć.

O ważności zbiorów powieści ludu, o ich potrzebie, dziś już nikt nie wątpi.

«Podania gminu (mówi znany znakomity nasz pisarz) (\*) stały się ważnym i prawie jedynym żywiołem «dzisiejszej literatury. Podania dziś dostarczyć mają «tego, czego dawniej dostarczały mitologia starożytna, ich dzieje, i t. p.

«Podania ludu są to mythy, często symbola jego «głębokich pomysłów, które ubrane w szaty skromnej powieści, chodziły hieroglifami rzadko pojętymi, «podawanemi z ust do ust, jak zabawne bajki. To «właśnie, że pokolenia przekazywały je często nierozumiejąc, gdyż pierwszy twórca i rzadki, zastanawiający się tylko, pojmował ich znaczenie, to właśnie «musiało być powodem, że doszły do nas tak wykrecone, iż z nich trudno ideę filozoficzną wyciągnąć. «Bo ten co jej nie widział w powieści, pstrzył niewłaściwemi dodatki. Teraz gdy do zbierania przyszło, w myśli z bogacenia literatury pierwiastkiem «narodowym, może się znaleźć i musi się znaleźć «taki, który się zajmie nadaniem im znaczenia filozoficznego, jakie w nich spoczywa spowite jeszcze do «snu, różnobarwnemi fantazyi pieluchami.

«Podania zebrane jak są, w jedną wielką całość, «w jedną księgę, ze wszystkimi ich wariantami, z całą ich różnaitością, nadewszystko wypowiedziane «szczerze, jak były słyszane, stanowić będą, podparte pieśniami i przysłowiami, badaniami odnoszącymi «się do zwyczajów miejscowych, zbiór, któren sam

---

(\*) JJ. Kraszewski — Studia Literackie 1842.

«się objaśniać, tłumaczyć potrafi, którego charakter «wyniędzie najaw dopiero przez zgromadzenie wszystkich tych materyałów. Całość takowa dopiero wykaże charakter nasz właściwy, który jak w słowiańszczyźnie, tak w pojedynczych jej podziałach «nie jest jeszcze zadeterminowany.»

Powieści ludu nieznane były, naszej piśmiennej starodawniej literaturze, literaturze że tak powiem szlacheckiej, bo w niej nie odbiło się ani żadne podanie, ani piosnka gminna. Szła ona drogą oddzielną, i ztąd ma szczególny swój wizerunek, niepozbowiony mimo to wszakże barwy narodowości.

Powieści ludu, które obecnie wydajemy P. Karoła Balińskiego, powiększą szczerpły dotąd zasób zbioru podań i powieści ludu naszego. Krytyka wskaże właściwą ich wartość, nie co do głównej myśli i podstawy, bo te są własnością ludu, ale co do sposobu wiernego spisania tych starodawnych podań.

Bodajby te początkowe usiłowania zbudziły ochotę tych, którym czas i okoliczności sprzyjają, do pomnożenia zbiorów powieści i podań gminnych, abyśmy niedługo mogli mieć księgę zupełną tej literatury kmiciej, w której badacz znajdzie obfite materyały, do starożytniej mitologii, a *wyobraźnia* ludu wykryta jawnie, w całym zajaśniawszy blasku, nie małe poezyi narodowej w darze przyniesie skarby.

*Wydawca.*

...to obywatel, któremuś przysięgł. Takim charakterem  
...właściwym na jaw dopiera przez wyrażenie  
...właściwe jest wyrażenie. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym.

Towarzystwo ludu niemieckiego było, naszym zdaniem  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym

Towarzystwo ludu niemieckiego było, naszym zdaniem  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym

Towarzystwo ludu niemieckiego było, naszym zdaniem  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym  
...właściwym jest wyrażenie podobnym. Tak w podobnym jest podobnym

Wydruk

## PRZEDMOWA.

**P**odania i pieśni (\*) krążące wpośród ludu, w ostatnich czasach dopiero, lecz pięknym zasiewem bogate otworzyły pole dla rodowej literatury — w nich bowiem spostrzedz można charakter, sposób życia i przebijający się starodawny obyczaj przodków naszych — widzieć tam oraz możemy ubiegłe i czasem starte życie szlachty i gminu; a kto na podaniach rozpostarła osłonę uchylić zdoła, częstokroć na niewinném tle sielskiej wyobraźni, znajdzie rysunek tkliwego wspomnienia z przeminionych wieków — a w ogóle, tę rzeczywistość, jakiej bezskutecznie wprzód dojsć nieraz usiłowano.

Wszakże podania ludów, są tak liczne, a lubo nawet w jednym przedmiocie traktują, tak urozmaicone, bo dodatkami i przeistoczeniem rzeczy w tradycyi nad-

---

(\*) Tu jednakże tylko o powieściach mówić będziemy.

wereżone, że na spisanie wszystkiego, wiele jeszcze potrzeba starań, czasu i pracy.

Między naszym ludem tysiące jest jeszcze źródeł kwiecistym ustrojonych brzegiem, których przez długie zaniedbanie, rychło wyczerpać niepodobna.

W niniejszym zbiorze nie zapragnąłem popisania się ze stylem, łatwością, albo wreszcie dowcipem, lecz usiłując być pomocnym dla tych, którzy już w tym względzie, wiele i bardzo wiele dopełnili, postanowiłem sobie pisać to, co tylko moją uwagę zwróci.— Szczyściem nie wszystko było daremne.

Że zaś jedną treść, od kilku opowiadaczów niezgodnych z sobą słyszałem — powodowany byłem trzymać się, albo na rezyko pierwszego, albo wybierać to, gdzie widać było swojskość, naszemi przyśłowiami, albo sposobem opowiadania wsparłą.

Godną jest uwagi rzeczą, iż słysząc rozmaitego rodzaju powieści, natrafiąłem czasami na szczególny sposób ich opowiadania wierszem — a lubo rymowanie takie nie jest regularne, jednak stósownie i trafnie użyte, silnie zajmuje umysł i miłym dźwiękiem rozpieszcza ucho.

Takie naśladowując tony, spisałem powieść o zbójcach pod tytułem *Tomila* i legendę *Kaganiec*. (\*)

Tu nadmienić wypada, że w powiastkach gdzie się podobnego wierszowania ustrzeżono, znajdujące się rymy nie należą do przywiedzionego rodzaju opowiadania, użycie takowego sposobu, jest tylko na

---

(\*) Osnowę legendy: *Kaganiec* mam udzieloną z Wołynia, a mając utkwiony w pamięci początek legendy z dzieciństwa, który słyszałem w Krakowskiem, zastosowałem się do opisanego w legendzie miejsca.

oznaczenie różnicy między postaciami naturalnymi, a nadzwyczajnymi w powieści; tak jest wyrażona mowa czarownicy nad złotą blachą, w powieści piękne oczy:

«Trzy lata gonilam, przez pięć kochałam, zdradził mnie w szóstym, zdobyłam w siódmym,» etc.

albo dalej do geniuszów:

«Czterema rumaki, powozem od złota, srebra i brylantów, ze służbą w galonach, pojedzie młodzieniec «w kraje dalekie, i w trzy dni, w trzy nocy niebawem «odpocznie, gdzie królewna młoda z pięknymi oczyma jak słońce jasnymi, gdzie łza taka żywa, jak rosa przed wschodem, a usta zimniejsze jak lody północy, a serce w jej piersiach twardziejsze kamienia, «gdzie mężów tysiące położyło głowy» — i t. d.

a chociaż tam są wszystkie wyrazy bardzo proste, u gminu upowszechnione, również widać odrębność od zwyczajnej prozy, bo tego nie mówi żadna z osób (z ludzi zwyczajnych) na scenę wchodzących, ale z łysiej góry czarownica, i jeszcze nie do człowieka, lecz do powolnych na jej rozkazy geniuszów.

Jaka zachodzi trudność, jakiej cierpliwości, jakiego mozola trzeba doświadczyć w zbieraniu podań ludu, wyrazić tego niepodobna. Albowiem lud nasz nie jest do opowiadania skłonny, możnaby to nawet za jego wadę uważać, bo kiedy rozpowiadać nie ma humoru, obok namowy, i niebagatelny datek nie pomoże tu wiele, — wprawdzie powodowany interesem, wspomni co od ojca, dziada słyszał, ale to opowiadanie będzie mdłe i suche.

Chcąc zaś mieć tę rozkosz, by chętnych gawęd być świadkiem, trzeba trafić na porę, kiedy gmin w chwili wolniejszej oddycha. — Wtedy on marzy,

a ciężkie czasy (jak zawsze terazniejszość nazywa) odróżnia od owych złotych wieków, w których praca i zabiegi do pomysłności i szczęścia człowieka nie była konieczną. «Były czasy, mówi podanie, kiedy na rozkaz zaklęciem uzbrojony, otwierały się drzewa, góry i skały, srebrem, złotem, brylantami napełnione, albo za pomocą kwiatu paproci, goniły za człowiekiem skarby nieprzeżyte, niestrwonione. Były czasy, w których na rozkaz podobny, rozpościerał się obrus pełen potraw najdelikatniejszych, z butelką wina, kielichem, szklanką i dzbanem krynicznej wody, — i takie, w których młynek czarodziejski na właściciela skinienie dostarczał żuru z kiełbasą.»

Ponieważ podobne niektóre opowiadania, już obejmują klehdy, z takich podań ludu niniejszy zbiór przedstawia tylko dwie powiastki, to jest: pan Kożuszek i Miecz zwycięzki.

W ogólności śmiało rzec można, iż u gminu nie masz człowieka któremoby podania krajowe były obcemi, niektórzy znakomity posiadają dar do takiej tradycyi.

W Krakowskiem, przechwalając się pewien że wiele umie gadek i bajek, (\*) rzekł:

«Umiem rozpowiadać o zaklętej księżniczce pod «strażą trzech smoków zostającej — umiem o królu, «co miał żonę mającą pierś z dwóch miesięcy, (\*\*) — «umiem o złotym ptaszku, o złotych jabłkach — o trzech «pannach zaklętych w studni — o kościanym rycerzu «na siedem cali, z trzyłokciową siwą brodą — o że-

---

(\*) Według ludu wszystkie te podania, zowią się gadkami i bajki.

(\*\*) Ze miała pierś, jak dwa księżyce.



«lawnym wielkim lonie — o czarodziejskiem zwierciadle, — o trzech braciach, głupim Tumku, i wiele jeszcze przeróżnych pięknych, ale długich gadek i bajek.» (\*)

Podania o rycerzach, olbrzymach, są to pamiątki z wojen, szczególnie z wypraw krzyżowych, albo żołnierskie dodatkami upstrzone chwalby, z dalekich krain do nas przyniesione — ztąd częstokroć słyszymy opowiadania nam obce, pozbawione tej barwy, po której poznać można rzecz między naszym ludem utworzoną.

Powieści ludu, nietylko pod niską strzechą i stuletnim dębem się przechowały — one jędrnością swą, męzną i naprzemian tkliwą osnową, chociaż kur zapiał w północ zimową, trzeźwiły z natrętnej drzemki, nie jeden murowany dwór — z takich dworów, gdzie inne usposobienie, inna wyobraźnia, innego także rodzaju doszły do nas pamiątki.

Są to po większej części przedstawienia charakterów starodawniej szlachty, — w nich taka starodawna postać, gdyby za jaką powinność, swoją dumę i liczne fanaberye ciągle opłaca — je dobrze, lepiej pije, i płaci chociaż bije, (\*\*) podłości i głupstw nie cierpi, dowcip nagradza, w ujmie za cnotą, porywa broń, którą ma zawsze na pogotowiu pod bokiem. Kiedy jest w mieście, czyli to w swoim lub za granicą, płaci bez targu, złotem sypie tryngieldta. Co

---

(\*) Kilka z tych, a mianowicie o złotym ptaszku, o kościannym rycerzu, (pt. Pan Kożuszek) o głupim Tumku, i o zwierciadle, w niniejszym zbiorze, są zamieszczone.

(\*\*) W opowiadaniu cudzoziemcy niby tak o nim mówią.

większa, nawet w domowem zaciszu, lubo najskromniej w gronie poufanych przepędza chwile, otwarty jego źródłany worek.

Pod podobną właśnie cechą, zbiór niniejszy obejmują powieści, a mianowicie, po części pt. Pan Kozuszek — a dobitniej Kłamstwa nad kłamstwami.

Pominąwszy inne, jest jeszcze rodzaj takich powieści miły, dźwięczny, do łez rozrzewniający, religijny — tam, Pan Jezus idzie drogą, tam Święty Piotr po jałmużnę wyciąga rękę, i błogosławi — a tam, kiedy dwie wyrosły brzozy, śnieżny gołąbek zabiera szczęśliwą duszę do nieba! (\*)

Z pomiędzy wszystkich rodzajów powieści gminnych, najpospolitsze są o trzech braciach, rzadsze o zbójcach i czarodziejach, a najtrudniejsze do zbioru, sięgające czasów pogańskich — między temi środki trzymają powieści moralno-dowcipne, w których niewinność, czyn szlachetny, rycerskie poświęcenie się, albo niewinne cierpienia, skromność, słowem każda cnota odbierają nagrodę; a zbrodnia, fałsz i każdy inny występki, srogo lecz sprawiedliwie bywa skarany.

Tak piękne a niezliczone wyobrażenia ludu, Ignęły na dnie zapomnienia oceanu — wieleż to lat minęło, a pamiątki te daremnie cisnęły się do serc naszych, chociaż ich wdzięk naturalny, silnie zajmował nam wiek młodociany, a pieśni domowego ludu, były najpierwszą poezją — i Bóg wie, jak wieleby lat jeszcze

---

(\*) Powieści: Sierota — Jałmużna.

pozostały w ukryciu, gdyby nie troskliwi o rodową literaturę współcześni światli badacze, o których poświęceniu się i złotych owocach takiej pracy, silnie kreśliły pióra, co tu powtarzać nie widzę koniecznej potrzeby, a wreszcie, szeszupły obręb tych słów kilku, w których jedynie o zbiorze niniejszym, zamierzyłem napomnieć, za właściwe sobie nie dozwala mi wyjść granice.

**Pisałem w Warszawie 1842.**

**KAROL BALIŃSKI.**

porozumienie między nami, gdyż nie trzeźwi i nie rozumieją  
także, ażebyśmy nie mieli badano, o których powi-  
żesz nie i z tych dwóch tabeli, jakieś inne rzeczy  
pisać, co to pisać nie może, konieczny potrze-  
ba, a nie może, ażeby nie być tak słabym, w sta-  
cie jakiegoś, ażeby nie być minister, ażeby nie  
pomyśleć, że właśnie sobie nie dowiedzieliśmy

Przebieg w Warszawie 1845

KAROL BIALIŃSKI

W Warszawie, dnia 15 września 1845 r.  
Czytelniku, przesyłam Ci kilka listów, które  
napisałem w czasie mojej podróży do  
Petersburga, w celu zbadania stanu  
wewnętrznej polityki Rosji. W nich  
dotyczyłem między innymi sprawy  
konstytucyjnej, która w Rosji  
dotychczas nie została przeprowadzona.  
Wierzę, że te listy mogą być Ci  
interesujące, zwłaszcza jeżeli  
zainteresujesz się historią państwa  
rosyjskiego i jego reformami.

Wierzę, że te listy mogą być Ci  
interesujące, zwłaszcza jeżeli  
zainteresujesz się historią państwa  
rosyjskiego i jego reformami.  
Z wyrazami szacunku  
Karol Białiniński

## I.

# PIĘKNE OCZY.

Kiedy Bonek nie chciał ani orać, ani bydła pasać, oddał go ojciec do kowala, aby mu kiedyś zrobił lemiesz, siekierę lub kozicę.

Był Bonek u kowala dopóki dymem dymał i węgle znosił, ale kiedy przyszło do młota chronił się kowalki Bonek.

Odebrał go ojciec od kowala i dał do stolarza, ale i tam nie chciał Bonek cheblować, ani ciężkich dzwigać desek. —

«Mój chłopak człek delikatny» — mówił ojciec Bonka, oddam go wmieście do balwierza i kiedy wyterminuje, całą wieś będzie gołił i będzie jadł kawałek chleba.

Był Bonek u balwierza pół roku, lecz u Balwierza nudna robota, zawsze tylko mydlić brody, balwierka równie mu nie folgowała, zapędzając go do skrobania warzywa i bawienia małych dzieci; — tego wszystkiego nie mógł Bonek wytrzymać i postanowił uciec.

Stał więc raz na ulicy i myślał w którą stronę się udać, gdy niespodziewanie w czarnym płaszczu jak opończa dziwacznie ubrany pan, uchwyciwszy za ramię Bonka, zapytał go o czémby się tak głęboko zamyślił?

*Powieści ludu.*

I

Niewiem, odrzekł Bonek, chciałbym uciec od mojego Balwierza, bo nie mogę wytrzymać. Balwierz jeno mi każe brody smarować mydłem, a kiedy tych brakuje sama balwierka zapędza mnie do swojego dziecka, abym go nogą kołysał obierając zarazem galarepę, marchew lub ziemniaki.

«Gdzież ty chcesz się udać?» zapytał znowu Bonka nieznajomy.

«Niewiem» odpowie Bonek, «boję się mojego ojca, więc do niego bym nieposzedł.

«Nic nie wiesz» — mówił dalej nieznajomy «i nie chcesz terminować, cóż tedy będziesz robił?»

«Ja bym nic nie chciał robić, do niczego nie mam ochoty» — szczerze nieznajomemu sobie, wyznał Bonek.

«Ha» kiedy tak, — rzecze Bonkowi nieznajomy, «to ja cię przyjmę, a u mnie nic nie ma do roboty, nic więc robić nie będziesz, nie masz u mnie ani kołyski, ani dziecka, a choć do tego wszystkiego nie będziesz skrobał warzywa, będziesz jadł i pił; abys tylko był wierny.»

«Będę wierny, abym tych dzieci nie kołysał, warzywa nie obierał i nic nie robił,» mówiąc wradości, na wszystko przystawał Bonek.

«To i zgoda» rzekł nieznajomy, — «pójdź zemną» i skacząc poszedł Bonek za nieznajomym.

---

Na końcu miasta w starej brudnej kamienicy mieszkał nowy pan Bonka. — W domu prócz niego samego nie było żywej duszy, dziwaczne sprzęty, stoły i szafy ksiąg pełne, bez porządku rozstawione były po kątach.

«Patrzno» rzekł pan do Bonka, «cała twoja robota, co tylko widzisz pilnować, obcych ludzi nie wpuszczać, kiedy ja będę w podróży, i tych drzwi osnutych pajęczyną nieotwierać; wolno ci za to w tej oto izbie chałasować, śpiewać lub tańcować, ale samemu, bez kompanii, z którą w mieście na szynku widywać się możesz, jeśli zechcesz.»

«Dobrze mój panie» odpowiedział Bonek «będę wszystkiego pilnował, drzwi osnutych pajęczyną nie otworzę i mojej chałastry z miasta nie sprowadzę, ale na szynku widywać się z nią będę, kiedy ci się tak podoba.»

«Pamiętajże słowa dotrzymać, ja zaraz odjeżdżam i niepowrócę, aż za rok i niedziel sześć, za ten cały przeciąg czasu,» mówił pan Bonka, «rachując pieniądze na stole, płacę tobie zasługi, a jeżeli będziesz mi wiernym, za powrotem zrobię cię człowiekiem, a jeśli będziesz chciał, to i panem zostaniesz.»

«O ja będę najwierniejszym, abym tylko został panem, wielką mam ochotę być panem.»

«Wierzę ci bardzo i ja mam jeszcze większą ochotę, ale to nienastąpi, aż przyjdzie czas, bywaj zdrów tym czasem.»

Zabrał się i pojechał na rok i sześć niedziel wędrować.

Bonek chociaż wszystko dobrze uważał, wszystkiego nie zrozumiał, kontent był jednakże z pieniędzy, chodził sobie po mieście, jadł, pił i nic nie robił.

Jeść jak jeść, nie zbyt Bonek jadł, ale pił bez upamiętania i nie wyszło pół roku, już i grosza nie miał z pieniędzy, które mu pan pozostawił na rok i niedziel sześć.

---

Pan Bonka był czarnoksiężnikiem, ale od czasu jak za pomocą czarta i sztuk swoich począł bruździć Łysiej Górze, spiknąwszy się na niego czarownice, tyle dokazały, iż mu większą część jego mocy odjęły.

Zostawał więc pod zaklęciem i niemógł wszystkiego jak wprzód łatwo dokazywać. — Chciano go wprawdzie z pod zaklęcia uwolnić, ale z tak trudnym warunkiem, że takowego czarnoksiężnik przyjąć nie chciał, mając nadzieję, że sam potrafi się wykręcić.

Warunek wszystkich czarownic był taki: ażeby się czarnoksiężnik z jedną z nich starą i brzydką ożenił; co gdy mu do smaku nie przypadło, baby z innej beczki poczęły.

Biędny czarnoksiężnik rady sobie dać nie mógł i zmuszony został następujące punkta własną krwią podpisać.

Iż skoro, czarnoksiężnik niechce przyjąć ofiary serca jednej z ich sióstr, która lubo ma lat sześćdziesiąt i dziecięć, w przeczystém panieństwie zostaje, a męża mieć koniecznie musi, przeto on ze swęj strony o tyle starać się powinien, aby ją za mąż wydał i dopiero w tedy Łysa Góra z pod zaklęcia go uwolni.

Postanowił zatem czarnoksiężnik poszukać jakiego próżniaka i przypadkiem znalazł Bonka, a Bonek był młody i przystojny, do niczego nie miał ochoty i nic nie chciał robić, więc czarnoksiężnik wyrachował, iż człek taki z ochotą złapie babę aby tylko mógł jeść, pić i nic nie robić.

Niechciał on od razu poświęcać młodego Bonka starej babie, gdyż miał swoją nadzieję, zostawił go przecież na odwodzie, jeśliby mu się jego zamysły nieudały; — w każdym przecie razie potrzebował podobnego chłopaka i dla tego sprowadził Bonka do swego mieszkania, jakoby do służby, zapłacił mu z góry za cały rok i urządziwszy jak wszystko było potrzeba, powędrował za swemi interessami na rok i niedziel sześć.

Gdy zaś w pół roku brakło Bonkowi pieniędzy, przemyślał [nad sposobami dostania takowych, przychodziło mu nawet do głowy okraść swojego pana i uciec, ale jak na złość, nie było w domu nic takiego coby ukraść można; postanowił więc drzwi osnute pajęczyną otworzyć i mimo zakazu wszystko splondrować.

Nie miał w tém żadnej przeszkody, z łatwością przeto drzwi zakazane otworzył i do do drugiej wszedł izby. — Ale jakże się zdziwił gdy prócz jedynęj półki nic tamnie zdybał; sięgnął ręką na półkę i między kurzem a pajęczyną znalazł ogromnie wielki jakby od kościoła klucz żelazny. — Ni od kufra, ni od szafy, bo ich tu wcale nie masz, — narzekał sobie Bonek, oglądając się do koła izby, aż spostrzegł nizkie a szerokie w jednęj ścianie drzwi grubym okute żelazem... Ha pomyślał, — to pewno skarbiec mojego pana i czempredzėj takowe znalazio-



nym kluczem otworzywszy przeląkł się niezmiernie, gdy miasto spodziewanych skarbów, ujrzał na wielkiej skrzyni siedzącą babę, jak świat starą, która gdy wchodzącego Boneka ujrzała, tak na wszystkie strony machała rękami, iż tenże obawiając się do niej przystąpić, o rejteradzie zamyślał, — grzeczniemi jednak słowami baby ujęty, postąpił kilka na przód kroków i chociaż cały od strachu drżący z nią sie rozmówił.

«Nie bój się chłopcze, nie bój» — mówiła stara sybilla, wszedłeś niespodzianie a ja rozumiałam, że to ten, którego trzymać na wodzy mam obowiązek — zbliż się więc i powiedz, dla czego i po co tu przyszedłeś, ale powiedz wszystko wiernie i szczerze, bo mnie wywieść w pole niepotrafisz a sobie narobiłbyś biedy i kłopotu.»

Przełękniiony Bonek tą groźbą, wszystko wiernie od początku swojego życia, co tylko mógł pamiętać babie opowiedział.

«Dobrze mój chłopcze, ale się nie bój,» mówiła znowu babina siedząc na skrzyni, zbliż się i nie dźryj, ten twój pan jest zdrajcą, twoje szczęście żeś tu przybył i poznał się ze mną, ty mnie a ja tobie wzajemnie będę pomocną — ja jestem czarownicą i mogę wiele, a jeżeli jak wspomniałeś, masz ochotę być panem, słuchaj mnie tylko we wszystkiem a będziesz nim niezawodnie.»

Bonek odurzony baby mową, obiecał przystać na wszystko chociaż nie wiedział na co, a ta rozkazała mu teraz odejść i za trzy dni o tej samej godzinie przybyć do siebie.

Po upływie trzech dni stawił się Bonek przed babą, która tak do niego mówić zaczęła:

«Słuchaj chłopcze, będziesz panem i to wielkim panem a staniesz się nim przez kobietę, ale kobietę najpiękniejszą, a wszystkiego Łysiej Góry potęga i moc i miłość moja dokaże.»

Zadrżał Bonek na wspomnienie miłości, gdy spojrzał na mówiącą o niej czarownicę, a ona mówiła dalej. — «Spiesz się jednak musisz, gdyż ten los który ja tobie przeznaczam, pragnie uchwycić twój pan, ten zdrajca który mnie

miłować, mnie ślubować winien i musi.» — Bonek ochłonął z przestrawu, a baba jeszcze mówiła.

«Ten twój pan, a zdrajca mój, rok i sześć niedziel gonić za szczęściem poświęcił, gdyby nie ja, mógłby tego łatwo i prędko osiągnąć, ale ja, ja go trzymam na wodzy, naszem gnębiony zaklęciem, nie tak rychło może sobie zaradzić, zdrajca! — ale przyjdzie czas, ta chwila, że u nóg moich jęczyć będzie o powrót mojego serca!» — Westchnawszy kilkarazy czarownica dodała:

«Słuchaj więc chłopcze, wyrok zapadł tyś szczęśliwy, jutro przyjdź do mnie, jutro pojedziesz daleko a pojedziesz bogatą karetą ze sługami, teraz idź i przygotój się do drogi.»

Poszedł Bonek przygotować się do drogi, ale że do drogi zawsze był gotowy, niecierpliwie znowu czekał jutra.

Nadeszło przecie jutro, przyszedł Bonek do swojej dobrodziejki i oznajmił jej, że gotów jechać na koniec świata, aby tylko miał o czem i na czem.

Czarownica podniosła się ze swojej skrzyni, siedmiu kluczami ją otworzywszy, wydobyła z niej puszkę ze złotej blachy, którą trzymając na dłoni rzekła:

«Trzy lata goniłam, przez pięć kochałam, zdradził mnie w szóstym, zdobyłam w siódmym, minęło lat siedem on jęczy zaklęty, do mnie należycie, mnie winniście słuchać, bo ja wami rządzę.»

Po takiej przemowie otworzyła wieko złocistej puszki, wyjęła z niej trzy perły, a rzuciwszy takową na podłogę, dodała:

«Martwe nie martwe bądźcie czystymi.»

I z trzech pereł powstało trzech geniuszów, a czarownica do nich rzekła:

«Czterema rumaki, powozem od złota srebra i brylantów, ze służbą w galonach pojedzie młodzieniec w kraje dalekie i w trzy dni w trzy noce niebawem odpocznie, gdzie królewna młoda, z pięknymi oczyma jak słońce jasnymi, gdzie iza taka żywa jak rosa przed wschodem a usta zimniejsze, jak lody północy, a serce w jej piersiach twardsze kamie-

nia, gdzie mężów tysiące położyło głowy, a królowne zdobia i laury i wieńce, niechaj tam przybylec rzeźki nasz młodzieniec, przez sztukę i czary skruszy twarde serce i usta różowe, oczy najpiękniejsze uśmiechem rozkosznym okraśli ozdobniej.»

Po tej mowie trzej geniusze zniknęli i stara życząc Bonkowi szczęśliwej podróży odejść mu kazała.

---

W jedném królestwie był król potężny, i wspaniały i miał córkę, ale gdy ta jego córka jeszcze była w dzieciństwie, uroczą pięknoscią oczu swoich podbijała wszystkich, którzy tylko na nią spojrzeli, a kiedy 16 doszła lat, nie miłować jej było niepodobna. — Ale cóż z tego? te piękne oczy zgubny urok zatruchiwał, jeden tylko jej uśmiech, oznaka wzajemności, ratował tych jedynie, którym ona sprzyjała; dla tego też uśmiechała się do króla swego ojca, do braci i ulubionych dworzan, — uśmiechała się jeszcze do jednego miłego jej rycerza, ale ten rycerz będąc pewny, że gdy mu nieszkodzą najcudowniejsze kochanki w dzięk, bezpieczny również być może od nieprzyjaciela swego najogromniejszego olbrzyma, który najmocniejszych pokonał i pozabijał.

Rycerza kochała królowna, nienawidziła olbrzyma; a więc olbrzym kochający królownę, nie był chętny dla rycerza. — Długo olbrzym czyhał na rycerza, aż dzielny rycerz od miecza olbrzyma został zabity.

Od tego to czasu żal uciskał królowny serce, nie uśmiechnęły się jej usta.

A że znała czarownicą moc oczu swoich, smętna siadywała w oknie, a iżby nieszkodziła na zdrowiu ojcu, braciom i ulubieńcom we dworze, błękitny welon zasłaniał jej oczy.

Olbrzym który pokonał kochanka, nie lękał się spojrzenia kochanki, i jako zwycięzca gębiąc kraj królewski domagał się królowny; a iż go królowna cierpieć nie mogła, król ogłosił taki wyrok:

Ze któryby z książąt, królewiczów, lub który bądź z panów, jeden uśmiech córki jego pozyskał, odda mu ją za żonę, ale gdy tego się podejmie a nie dokaze, bitwę z olbrzymem stoczyć i onego zwyciężyć powinien; a jeżeli zaś przez rok cały i niedziel sześć, nikt się nie znajdzie coby te warunki przyjął, lub jeśli wielu się znajdzie a żaden z nich olbrzyma nie pokona, [córkę] swoją olbrzymowi odda za żonę.

Przystał olbrzym na taki wyrok, a chociaż wielu się znalazło książąt i królewiczów, mających nadzieje widzieć królowny uśmiech, lub zwyciężyć olbrzyma, każdego z nich olbrzym zwyciężył i zabił.

Tyłu już książąt i dorodnych panów, olbrzym na tamten świat wyprawił, że nietylko miasto ale i kraj cały przywdział żałobę. — Nie jeden ojciec postradał syna, nie jedna matka gorzkie łzy lała. Sam król w wielkiem był zmartwieeniu i królowna była smutniejszą, — bo rok mijał i olbrzym pewny był jej posiadania.

Do smutnego miasta zajechał dwornie podróżny pan i stanął w najpierwszej austeryi, i jadł i pił wszystkich traktował i sypał złoto. — Jaki taki się pożywił i napił, a on siedząc w pośród gości swoich, słuchał ich opowiadań o królownie, o jej oczach, o królewskim wyroku i o olbrzymie.

Podróżny prawie wszystkich dobrze traktował a dla każdego był miły i grzeczny. — Aże wszyscy miarkowali w jakim interesie przyjechał tak bogaty pan, a może król jaki lub książę, bardzo go żalowali, i nieśmiejąc mu w oczy perswadować opowiadaniem przykładów, ilu to mężnych i dzielnych rycerzy zabił olbrzym, odwieść go od wdawania się w tak trudną sprawę usiłowali.

Ten wielki pan traktujący każdego bez wyjątku, co mu się nawinał, garściami sypiący srebro i złoto, jadący dwornie od złota, srebra i brylantów powozem, był Bonek — ten sam który ani u kowala, ani u stolarza, ani nawet u balwie-

rza gdzie miał lekką robotę nie chciał terminować; ale w smutnym mieście, gdzie była piękna królowna, nikt o tem wszystkim niewiedział.

Bonek najadłszy się i napiwszy ze swojemi gośćmi, zapowiedziawszy ludziom swoim, o jutrzejszym wyjeździe, dopiero około północks spać poszedł — i nazajutrz nie o wschodzie słońca jak to zwyczajnie budzą w terminie, ale blisko południa wstawszy, przywdział bogaty ubiór, do swego wsiadł powozu i z austeryi na miasto koło królewskiego pałacu wyjechać kazał.

Nikt w austeryi niespodziewał się nagłego wyjazdu szcudrego pana, a tém bardziej karczemni posługacze, którzy mu ciągle nadskakując spodziewali się dobrej nagrody, ale na ich nieszczęście nie zważał na to Bonek.

Jedna z tych posługaczy stara kobieta, zamietając stajnię gdzie stał bogaty powoz Bonka, rozgniewana, że nic nie obliziała, przyszło jej na myśl oderwać kilka brylantów, które tylną część powozu przystrajały i tym sposobem uszczęśliwić siebie i całą familną aż do prawnucząt.

Korzystając zatem z czasu i okoliczności, bo nikt na to niezważał, wzięła się do zdzierania brylantów, ale skoro tylko ujęła ręką za powóz, wszystkie pięć palców na tychmiast je do tego samego miejsca przyrosły; biedna kobiecie bardzo się przejęła i drżąc z bojaźni aby jej za kradzież nie ukarano ani się nieodezwała.

Stajenny odgarnawszy łopatą śmieci, żeby tak śliczny i bogaty pojazd czyste do przejazdu miał miejsce, wrota austeryjne otworzył i gdy za wyjeżdżającym powozem babę czepiającą się do takowego ujrzał, dla własnej satysfakcyi onę łopatą uderzył, gdy zaś łopata nietylko do baby ale i do rąk stajennego przyrosła, piękny od złota, srebra i brylantów powóz wyjechał na miasto, a za nim równo z końmi galopem pędziła schylona stara baba i posługacz stajenny, trzymający w swym ręku na tejże babie wspartą łopatę.

W takiej paradzie przejeżdżał Bonek wedle królewskiego pałacu.

Królewna jak zawsze smutna siedząc w oknie wyglądała, a spostrzegłszy tak piękny powóz jakiego nigdy jeszcze nie-widziała i z nim przyrosniętych dwoje w galopie ludzi biednych i obdartych, do rozpuku śmiać się poczęła, wołając swego ojca, braci i przyjaciół.

Uśmiech królowny był szczęściem miasta i całego narodu, powstały radosne krzyki i odgłosy wiwatów. Król uradowany rozkazał gońcom natychmiast zaprosić do swego pałacu tego, który pozyskał uśmiech smetnej z czarownicami oczyma jego córki.

Powrócili śpieszni gońce, a za nimi wszedł Bonek. — Król przyjął Bonka z najżywszą radością; królewna zdjąwszy błękitną z oczu zasłonę z miłym uśmiechem witała gościa, wszyscy byli szczęśliwi i Bonek. — W mieście i w kraju całym zdjęto żałobę — smutek się skończył, nadeszło wesele.

Bonek ożenił się z królewną, bo taki był królewski wyrok, a ona chciała Bonka i ojciec mu ją dał zochotą.

---

Komuż tedy Bonek był winien szczęście swoje ?

Kowalowi, stolarzowi czy też balwierzowi u których nie chciał terminować, czyli wreście żonie owego balwierza, przez którą nie mając ochoty przy kołysaniu dziecka obierać warzywa, uciekł z terminu, czy temu czarnoksiężnikowi, który go spotkał i wziął do siebie, a potem wyjechał zapłacwszy mu za rok i niedziel sześć zgóry, czy na koniec czarownicy z którą się zapoznał kiedy mu przyszła myśl pana swojego okraść, dla czego drzwi osnute pajeczyną otworzył.

Może to wam trudno odgadnąć, a zatem wole powiedzieć, bo niechce aby sobie kto głowę suszył nad moją powieścią tak się rzecz miała:

Jeszcze gorzej niż djabeł w suchej wierzbie, pokochała się stara czarownica z łysej góry w młodym czarnoksiężniku, ale jakto bywa młody, niechciał stariej żony; a zaś, że kiedy co babie się ubrda musi swego dokazać żeby tam djabeł na djable stawał, za pomocą wiec czarów, jak tylko się owa

czarownica dowiedziała, że jej amantowi ani się o niej myśli, zmówiwszy się z drugimi czarownicami, potrafiła nietylko wydrzeć służących mu geniuszów, których w własnej jego skrzyni więziła, ale do tego tak mocnem obciążyła go zaklęciem, że czarnoksiężnik wickszą połowę rozumu stracił. — Broił się o ile mógł, to prawda, aby się babie wykreślił, lecz nic nie pomogło. — Dowiedział się także za pomocą sztuk czarnoksiężkich o smutnej królownie z pięknymi oczyma i miał na nią chrapkę, lecz kochanka połamała mu szyki; — nie miał nawet genijuszów aby przez nich dostał królowny ale miał nadzieję, że innym sposobem tego dopnie, w tym to celu chciał się udać do swojego nauczyciela, który go bardzo lubił, a który był wielkim czarnoksiężnikiem ale mieszkał daleko bo, aż osto tysiecy mil od niego, nie by nieznaczył tak ogromny kawał drogi, żeby był swoich genjuszy niepostradał, za ich pomocą w trzy dni by tam stanął, ale, że ich nie miał, na samą drogę sto dni czasu potrzebował — co bądź i tak się spieszył niechnoby kto z nas tak prędko jeździć potrafił?

Potrzebował przeto kogoś czarnoksiężnik, aby przez ten czas w domu jego przebywał, dla tego, iżby siedząca czarownica i pilnująca genjuszów, myśląc, że on sam jest obecny nie dowiedziała się o jego podróży i całej roboty mu nie zepsuła, a z resztą chciał na swoje miejsce w najgorszym razie wpakować babie jakiego bądź młodzika, ażeby tym sposobem kontrakt jego był skończony.

Byłoby się to może i udało, ale ten Bonek straciwszy pieniądze i zakazane drzwi otworzywszy, zamiary swojego pana zniweczył. (\*)

---

(\*) Pomimo starania dowiedzieć się niemogłem co znaczyły drzwi pajęczyną osnute, zdaje się, że to był wybieg czarownika ażeby chłopca zostawionego samowolnie w domu od otworzenia drzwi któreby go dalej doprowadzić mogły odstręczył, w podaniu guinnem pajęczyna ta zostaje się tajemnicą.

Gdy bowiem czarownica siedząca na skrzyni ujrzała nie czarnoksiężnika, ale raczej Bonka do niej wchodzącego, cokolwiek o działaniach niewdzięcznego kochanka domysliła się a reszty za pomocą czarów się dowiedziawszy, Bonka, który jej losem wpadł w ręce wiadomym sposobem z królowną połączyła, a czarnoksiężnika dopóty za nos wodziła, że biedak siedem lat błądząc po świecie na Łysą Górę przybyć i swoją wielbicielekę poślubić musiał.

A zatem nie kowalowi, nie stolarzowi, ani balwierzowi ani balwierce, ani nawet czarnoksiężnikowi, ale raczej babskiej woli szczęście swoje winien.

## II.

# BIEDA.

Na końcu wsi, wśród nieużytych pól, pod samemi żarostami, stała nędzna na w pół przewrócona chałupa.

Przez spróchniałe jej ściany, wschodni czy z północy wicher, przeraźliwie świstał w czasach burzy, a szczyt mchem uzbieranym w lesie przykryty, od rannej w maju tylko rosy mógł zasłonić biednego Szymona, jego żonę i siedmioro dzieci, mieszkańców nędznej chałupy.

Izba różniąca się tylko niezgrabnie ulepionym z gliny kominem i barłogiem po kątach od latarni, przegrodzona była chróstem, a za tą przegrodą stawała na noc chuda jak szkielet krowa, żywicielka mlekiem swoim jedynie, siedmioro wspomnianych dzieci.

Matka ich bowiem i ojciec mleka nie jadal, żyli tylko kartoflami z solą, czasem suchym chlebem, a czasem niczem.



Ale ten Szymon, dawniej miał się niezgorzej, posiadał on wspólnie z bratem swoim Hilarym obszerny i porządny dom we wsi, miał pola, konie, bydło i ogrody;— lecz gdy mu żona ciężko zachorowała i gdy na doktorów i aptekę zabrakło, pożyczał od brata potrochu, pożyczał, aż nareście brat mu oświadczył, że już sam nie ma, a jeśli on chce wszystko na żonę stracić, to niechaj się z nim porachuje, a resztę należną z jego sukcesyi mu wypłaci i będzie kwita.

Szymon, któryby tysiąc razy tyle, gdyby posiadał, dla swój Maryanny nie żałował, chętnie na brata przystał propozycją, z nim się rzetelnie obrachował; brat procenta policzywszy, kilkaset złotych reszty wypłacił i z domostwa wyprowadzić się zapowiedział.

Wyprowadził się Szymon w podłe do sąsiada; lecz tam dopóty mieszkał, póki grosza starczyło.

Bóg żonę podniósł z ciężkiej choroby, a lubo jeszcze nie była zupełnie zdrową, zamieszkał chałupę, gdzie przedtem siedział pastuch, ale go wilcy zjedli i od tego czasu stała pustkami.

W niej to Szymon ulokował swoje bogactwa, to jest: ukochaną mu żonę i najdroższe dzieci.

Nie już nie miał i żył z wyrobku, ale biednemu zawsze wiatr w oczy wieje; biedny Szymon, pracowitszy od wołu, nigdy nawet na to, bez czego jego dzieci, on sam i żona obejść się nie mogli, nie zarobił.

Wszędy go czém bądź zbywano, on w milczeniu znosił cierpienie, a co tylko zarobił, choć sam upadał z głodu i utrudzenia, niósł wszystko żonie i dzieciom.

Trzy lata takiej nędzy wyniszczyły do szczytu Szymona, postradał siłę, twarz mu znędzniała i tylko powleczone kości zeschniętą skórą wiódl za sobą, nogi i ręce zawsze mając zemdlone; serce, serce jego, kiedy smętném rzucił wzrokiem na podobne jemu nędzne dzieci, za każdy raz nowe dręczyły bóle, westchnąć już nie mógł, żyć nie urobił! — W pośród takiego nieszczęścia mieszkała cnota, wschód

słońca budził nędzarzy, nieopuścili oni żadnej modlitwy porannej, nie usnęli trawieni głodem, bez złożenia należnego hołdu Stwórcy i nie szemrali na Niebo, zdające się być głuchem na nieszczęśliwych zale, modły i cierpienia.

Jednej Niedzieli według zwyczaju, gdy Maryanna przyszła z kościoła, Szymon wybrał się na kazanie, idzie przez wieś, a przed domem jego brata Hilarego, aż do karczmy i przy kościele, pełno bryczek, furmanek i koni. — Powiadają, iż on przecię musi wiedzieć o zaręczynach córki jego brata z okolicznym dzierżawcą — «chwala Bogu» pomyślał sobie «będzie Hilary miał się jeszcze lepiej, to prędzej mnie dopomoże, a jeżeli dotąd odmawiał mi wsparcia i on też ma kilkoro dzieci i on wiele potrzebuje» — tak myślał sobie poczciwy Szymon i poszedł na kazanie.

W kościele widział brata, bratową, ich dzieci, wszyscy zajmowali ławki pierwszego rzędu, lecz on stał blisko drzwi wpośród biednych wyrobników i z jałmużny żyjących dziadów; modlił się z gorącym sercem, łzami w oczach, za siebie, żonę, dzieci swoje, brata i całą familiją, potem słuchał kazania z uwagą i skruczą.

Po skończonem nabożeństwie, wyszedł z kościoła prawie ostatni rzeźwiejszy jak wstępował w jego progi, w duszy swojej czuł jakowąś ulgę w boleściach. Boże! zawołał, czyś wysłuchał modłów moich, zlitowałeś się nademną, i wprzed-sionku świątyni padł na kolana, jeszcze wzniósł pokorne dłonie w górę, a uderzywszy po trzykroć czołem o ziemię, wyszedł i zdawało mu się, że jest zupełnie spokojny i szczęśliwy.

„Ja szczęśliwy mówił do siebie, ja! — a moje dzieci, moja biedna żona? z kądże mi ta wesołość? — ha wiem — Bóg przedwieczny wysłuchał mię, — skruszył zapewne twarde serce brata, — pójdę więc ku niemu, u niego dziś uroczystość, samo szczęście lgnie do jego domu, wydaje dobrze córkę za mąż, on mnie dziś wydzwignie z mojej niedoli.“

Z tak błogą nadzieją przybył do brata, ale widząc wiele gości za stołem siedzących przy obiedzie, stanął przed sienią, aby nędzną swoją odzieżą, nie zawstydzić brata, prosił jednego ze sług, aby panu Hilaremu doniósł o jego przybyciu.

Długo czekał, niż Hilary, przechodząc z kuchni do pokoju, spostrzegł Szymona i spytał czego żąda?

„Wszak wiesz panie bracie, mówił pokornie Szymon; o mojem położeniu, dzień dzisiejszy dla ciebie tak świetny... — pewny jestem, że z niczem nie pójdę.“

«Mój bracie, rzekł Hilary, gdyby nam pracowitym i rządym gospodarzom, wszystkich tobie podobnych przyszło wspomagać próżniaków, pewno jak wy z torbami iść byśmy musieli, staraj się i pracuj, a będziesz miał tak jak ja, darmo zaś nic ci nie dam, bo byłbym powodem do gorszej opieszłości w pracy i staraniu, a jeżeli jestem twoim bratem, to jedynie ślepy los tak zrządził, a więc bądź zdrów.“

Ani słowa Szymon nie mógł odpowiedzieć, na tak dobitne Hilarego słowa, stał jak posąg w miejscu martwy, serce mu bić przestało, — Hilary już odchodził, gdy z kuchni mięsne potrawy na półmisku niósł służący, wziawszy więc jedną sztukę, na której nic prawie mięsa nie było, podał ją na pół umarłemu Szymonowi, mówiąc: «masz na drogę, a idź precz.“ — Nie wiedząc Szymon, co czyni, wzięł w rękę podaną sobie sztukę, a raczej kość ogromną i chwiejący się wyszedł, i słabym krokiem dążył, sam nie wiedząc gdzie i w którą stronę; zawiedziona tak błoga nadzieja, w piersiach jego straszną zrodziła burzę!

Za wsią pod lasem, w przeciwniej stronie, gdzie stała nędzna, przez rodzinę Szymona zamieszkała chata, płynęła rzeczka do której mimowolnie Szymon przyszedłszy, stanął i począł myśli zbierać, spojrzął na wodę i już mu się w głowie roilo, aby w jej nurtach marne zakończył życie, gdy mu na pamięć przyszły dzieci, żona i mówił w myśli:

„O nie, tego zrobić nie mogę, bo gdyby mnie nie było, te nieszczęśliwe istoty głódby zamordował, a jak to okropna śmierć z głodu być musi. — Kiedy ja tak strapiony, że drugi dzień w ustach nic nie miałem prócz wody z naszego stoku, czuję jak mnie pożera, jak moje wnętrzości łaknące! ale pracować, prawdę mi brat powiedział, pracować będę dla moich dzieci, wszędy poszukam roboty, a gdy mi jej nie dadzą? muszą dać, bo inaczej... — ach! i cóżbym zrobił? — ale moja nadzieja? tak byłem swobodny wychodząc z kościoła, o Boże! udziel mi jeszcze choć cząstkę tej spokojności!”

Stał milczący nad brzegiem, a po chwili czując niejakię uspokojenie wzburzonego umysłu, uczuł potrzebę pokrzepienia sił zwątlonych, spojrzął na kawał mięsa, albo raczej kości, którą go brat obdarzył i resztkami żył, jakie mógł oderwać, zasilając się myślał o dzieciach — i cóż im zaoiosę? mówił, żona wyrzucałaby mi zebraninę u tak nieludzkiego brata, zamilczę przed nią o wszystkim, porzucę nawet ten smutek, co mnie bardziej od nędzy pożera, będę uginał się pod pracą, a będę wesoły.

Przyszłość jaką sobie rokował, rozpędzała czarne chmury z jego czoła; i z roskoszą dobywał reszty tłustości z wydrążenia kości, kiedy niespodzianie uderzyła go prośba stojącego za nim widma, aby się z niem temi szczątkami podzielił.

Obejrzał się Szymon i mimo smutku w jakim był pogrążony, nie mógł wstrzymać uśmiechu, na widok bladej, mądziej a wysmukłej postaci, która długie chude ręce, do niego wyciągała.

Nie czuł najmniejszej bojaźni, bo nie był trwożliwy, a z resztą mara ta w śród dnia w pokornej przed nim stała postawie.

„I cóż ty chcesz, ty sto razy marniejsza odemnie istoto? zapytał się Szymon.

„Abyś zemną podzielił twe pożywienie odpowiedziała.“

„A czemże będę dzielił się z tobą, kiedy widzisz, iż sam prawie nic nie mam.“

*Widmo.* — Od ciebie jednak muszę mieć coś koniecznie chociaż najmniejszą resztkę, najmniejszy ostatek.

*Szymon.* — Cóż to za śmiałość, coś ty za jedna, zkądże moja względem ciebie powinność, powiedz czy jesteś złym duchem? nie lękam się.

*Widmo.* — Jestem twoją biedą, tyś dobry i mnie dobrze przy tobie, dla tego od trzech lat trzymam się ciebie.

*Szymon.* — To to ty zapewne pochłoneñas mój cały dobytek, moje szczęście i doprowadziłaś mnie do tego stopnia iżem z oblicza tobie podobny?

*Widmo.* — Jak mnie tu widzisz w całej okazałości, ja ci zgotowałam ten los, przywiodłam do tój swobody, że nic nie masz?

*Szymon.* — Tylko same udręczenia mi pozostawiłaś — wszystko zniszczywszy, śmiesz jeszcze stawać przedemną?

*Widmo.* — I cóż mi za to zrobisz?

*Szymon.* — Zabiję cię, zniszczę, ty przebrzydła jędzo!

*Widmo.* — (ze śmiechem) Ciało moje powietrzem, lękać się nie mam przyczyny, lepiej ze mną wskórasz, oddając swój przysmak, bo inaczej mnie się nie pozbędziesz i radzę ci, uczynź zadosyć memu żądaniu, a za to na kilka godzin opuszczę ciebie, żonę i twoje dzieci.

Na wspomnienie żony i dzieci, Szymon oddał swój przysmak biedzie, która jak zwierz zażarty, chciwie kość obrabiać poczęła, a ujrawszy wewnątrz czyli wrurze dosyć tłustości włożyła weń chudą jedną rękę, dalej drugą, nareście głowę, a przez subtelną miękkość powietrznego ciała, większą część nawet wpakowała korpusu, nogi tylko do suchych badyli podobne wyglądały, gdy Szymonowi przyszedł do głowy concept nie lada, pozbycia się tak przywiązanej do niego jejmości.

Obejrzał się do koła i wsam raz spostrzegł stósowny kawałek drzewa, takowy podniosłszy, nożem który przy sobie nosił, naprędce zastrugał, a skoro bieda coraz z większym apetytem tłustość wylizywać się zdawała, z łatwością cienkie jej nóżki do rury wcisnąwszy czempędzej

przygotowanym kołkiem otwór zabił i mocno zaszpnował.

Tak zabita biedła w kości, do rzeki nad której brzegiem, działa się ta scena wrzucił.

Po takiej zemście na larwie, co była przyczyną zniszczenia jego dobytków, nie czuł Szymon najmniejszej zgryzoty umienia, szedł do domu z wesołą twarzą, z rozjaśnionem licem; gdy wieś przechodził, dawni znajomi uprzejmie nim się witali, a kilku z tych do karczmy go zaprosiwszy, o rozmaite roboty gospodarcze i spekulacye z nim się umawiali i jako poczciwego człowieka do spólnego handlu bydła, Szymona przypuściwszy, na dotrzymanie przy świadkach i mowy, na zaczęcie znaczną kwotę onemuż wyliczyli.

Upojony nie tak trunkiem bo był wstrzeźliwy, jak rozkoszą, spieszył dobry Szymon do żony i dzieci, z pełną kieszenią, aby podzielić z niemi rozkosz swoją; przybywszy zaś do izby naprzód na kolanach w gronie swych dzieci złożył Stwórcy podziękowanie, a potem wszystko im opowiedział.

Zdumiał się także nie mało, gdy żona również dobre nowiny opowiadać mu zaczęła.

«Idąc rzekła, krowę doić, zastałam już ją po ocieleniu, a wracając, aby pokazać małego byczka dzieciom, ujrzałam wchodzącego starościca z naszym Józiem, którego do chrztu trzymał, — uderzyła go okropnie nasza nędza, pytał się o ciebie, o nasze nieszczęścia, a wyjąwszy dwadzieścia złotych dukatów, do ich przyjęcia koniecznie mię zmusił i przyrzekł nam w gospodarce i we wszystkim dopomódz.»

Przez takowe i tём podobne pomysły, Szymon wkrótkim czasie doszedł do tego, że sobie wystawił porządy dom, przy nim założył ogród, kupił znaczny kawał pola, łąki, konie i bydło.

Szymon stawszy się na nowo z biedaka zamożnym gospodarzem, jednej Niedzieli porządnie ubrany, wychodząc z kościoła spotkał się z bratem swoim, ten mile go przywitawszy zaprosił do oberży, a przy dobrem śniadaniu, wszcze-

ła się między nimi gawędka (której Hilary był powodem) o rozmaitych sposobach zrobienia majątku.

Szymon długo milczał, lub mało co odpowiadał, ale kiedy Hilary, nawiasowo rzucał na niego podejrzenie, nie mógł wytrzymać dłużej i aby przekonać Hilarego o swęj uczciwości, począwszy od owęj kości, którą na zaręczynach jego córki, został obdarowany, wszystko mu wiernie opowiedział.

Hilary po rozejściu się z bratem, dręczoney zazdrością, szukał w myślach sposobu, którymby szczęście Szymona mógł nadwergężyć, szedł i myślał i wymyślił, biedę zaszpun-towaną z wody wydobyć i z tak ciężkiego uwolnić więzienia.

Ruszył więc czempredziej, do miejsca przez brata wskazanego, a na dnie rzeki znalazłszy w istocie drzewem kość zabita, przekonany był o rzetelności Szymona.

Na ten widok uniesiony radością, silną dłonią szpunt drewniany z kości wyrwał, a bieda jak z procy wyskoczywszy ściskając Hilarego, z rozczuleniem zawołała:

«O mój wybawco! dobry mój przyjacielu, już cię też nigdy nie opuszczę, śmierć tylko twoja ze mną cię rozłączy.»

Niewiele Hilary zważał na tę mowę biedy, lecz powróciwszy do domu dokładnie ją zrozumiał, na pierwszy bowiem wstęp dowiedział się, że pies wściekły najlepsze bydło pokaleczył, później, że wysłany furmanką parobek z końmi i towarem uciekł.

W kilka dni pożar zniszczył domostwo i pełną zboża sto-dolę a w krótkce przyszedł do tego, że nic nie miał prócz żony i siedmiorga dzieci.

Takiej przecież nędzy, jaką brat jego przebył nie cier-piał bo Szymon wziął go do swego domu. Ręką dobroczynną okrywał jego dzieci, wspierał żonę i co tylko mógł dopomagał, ale wszystko na nic się nie zdało. Hilary podźwi-gnąć się nie mógł, gdyż bieda ciągle go szczerze ściskała.

III.

**TOMIŁA.**

Między borami stał piękny dwór, we dworze mieszkali państwo, dziedzice obszernych włości a państwo mieli trzy wdzięczne córę.

Prócz włości, wód i boru, mieli państwo brylanty, srebro i złoto.

Nie jeden z młodzików dzielnych, z urodzenia i wiana w okolicy słynący, skoro ujrzał dziewicę z pięknego dworu co stał wśród boru, rozrzewniony miłością wdychał daremnie. — Państwo z pięknego dworu, czekali książąt dla wdzięcznych cór; cóż u nich znaczył z okolic młodzik? choć mężny w boju, na łowach z okiem sokoła, a przy tklivej dziewicy z językiem synogarlicy, cóż taki młodzik? dzieciuch wśród boru, nie zna wykwiutu, ni miast huczących, ni ubiorów niemieckich, ni francuzkich błyskotek.

Jeden taki młodzieniec z okolic pięknego dworu, kiedy ujrzał Tomiłę najmłodszą z trzech wdzięcznych cór, zaniechał w borach krwawy bój, porzucił rozkosz gonitwy i swych przyjaciół grono; — wolniej zwierzył się w kniei, swobodniej wysmukła sarna bujała w gąszczy parowu, bo róg myśliwski ucichł Rusława, a jego strzelba rdzewiała.

Hoża Tomiła z pięknego dworu, jedna z trzech wdzięcznych cór, kiedy ujrzała Rusława, serce jej dotąd spokoj-



ne z cicha zadrżało i wzrok spuściła; a kiedy Rusław siłą swą dłoń, śnieżną uchwycił z lekka jej dłoń, usta jej wierność wyrzekły, bo Rusław przysiągł wielbić ją wiecznie!

Od tego czasu wdzięczna Tomiła z krużganku pięknego dworu, w błękit żrenicą sledziła kroki kochanka, kiedy wychodził z boru; a jego zwykłą dróżyną, była dróżyna z ciemnego boru, pod mury pięknego dworu.

Państwo z pięknego dworu, czekali książąt dla wdzięcznych cór, a Rusław nie był książęciem, Rusław był synem Rusława, z okolic dworu sąsiada.

W pięknego dworu jednym pawilonie, była stara komnata, w której hełmy, pancerze, tarcze, szable i miecze, na wieczną paniątkę sławy pradziadów państwa ze dworu złożono.

Ale w starej komnacie duchy pradziadów często gościły; nie jeden mieszkaniec dworu, słyszał o tarczę szabli brzęk. — A więc żaden z mieszkańców, nawet i podstarości nie życzył sobie śród głuchej nocy odwiedzać szanownych gości.

Lecz, że miłość nie zna trwogi, Tomiła w oknie starej komnaty za żelaznemi kraty, nie raz i do północy na kochanka czekała.

«Rusławie» rzekła raz do lubego, wyciągając dłoń do niego, za okno starej komnaty:

«Jutro ze świtem spieszo a dworno jedziem do miasta i nierychło wróciemy; — a może nim wróciemy Rusław zapomni Tomiły»

«Rusław?!.. — Tomiła pewno nie kocha Rusława, myśląc, że Rusław, zapomni Tomiły» — powiedział Rusław kochance.

«Czy będziesz tęs kniif? — Tomiła znowu rzekła.

«Nie» mówi Rusław, a Tomiła zadrżała i zamilkła.

Rusław zaś mówił dalej.

«Rusław, dla tego, ażeby Tomiła nie tęskniła bez niego, chociaż od niej nie widziany, koło pięknego dworu, trawi noc bezsenne, błąka i wdycha i to jego nędzne pociesza

serce, że go Tomiła słyszy, że choć za murem jest przy niej blisko.

Szczęśliwy inny kochanek w domu rodziców kochanki, wesoło wieczory pędzi, wszyscy go lubią, wszyscy mu radzi — a Rusław jak wyklęty, w próg Tomiły rodziców nie może wstąpić, jak zbrodniarzowi w przybytek święty w bramę pięknego dworu biednemu wejść niewolno!

Tak Rusław mówił, a Tomiła drżała wciąż, biło jej serce, odejść już miała, ale jej śnieżna dłoń, w objęciu Rusława dłoni, którą w tej chwili Rusław do piersi cisnął, a w jego piersi wrzała krew; — ta wrząca krew, nadeła żalem pierś — jednak po chwili, wszystkie zebrawszy siły, tak jeszcze mówił do swej Tomiły:

«Tomiła, dla tego, iżby Rusława nie truła bez niej tęsknota, nie pojedzie do miasta. — Wszakże ztąd niedaleko, na drugiej stronie boru jest dom Rusławski, w tym domu Rusława ojciec i matka i dobre siostry przyjmą Tomiłę — i to jeszcze dziś przed świtem, przed wyjazdem do miasta państwa pięknego dworu.

«Boże! cóż to powiedział Rusław? drżąca dziewczica zawoła:

«Rusław dawno powiedział, że Tomiła jego być musi, chociażby ten dwór był daleko piękniejszy a jego państwo dumniejszy, prędzej z tych murów zostaną gruzy, bory wichur obali, niż Rusław przysięgę złamie, jedna śmierć tylko ach! śmierć Rusława, czy słyszysz Tomiło droga?»

«Słyszę, z ciężkiem westchnieniem Tomiła rzecze.

«Niechże Tomiła powie, czy jeszcze kocha Rusława?»

«Tak mi kazało serce i tak powtarza.

«Więc czekaj miła dziewico, — za chwile będziesz wśród uścisków w Rusława domu.»

I pobiegł jak strzała, znaną sobie dróżyną po narzędzia do wyłamania żelaznej potrzebne kraty; a w komnacie pawilonu gdzie, były tarcze, szable i miecze, wdzięczna Tomiła czekać przyrzekła, modląc się czekała.

Noc była piękną, spokojną, księżyc błyszcząc na niebie przez szerokie okniska, pół oświecał komnaty, zdrój tylko

mruczał i z dala z cicha szumiały bory i modląca się westchnęła czasem.

Tak lubą cichość nocy przerywa podziemny hałas i brzęk, Tomiła drży, bo szmer i brzęk znagła się wzmagą. Przełknięta chroni się za jedną tarcz rycerską, a nad tarczą, porozwieszane były szable i miecze.

Jeśli w tę północ pradziadów duchy zwiedzają komnatę starą, Tomiła nie ułęknie się przodków cieni, lecz jeśli kto ze dworu słyszał rozmowę z kochankiem, jeśli przychodzą by ich rozłączyć na wieki? na tę myśl Tomiła traci odwagę — ah! wieleżby znieść musiała, od pysznych siostr, ojca matki i braci!?

Takową dręczona myślą, słyszy jak podziemnych drzwi komnaty brzękają zamki, skrzypią zawiasy, a z pod uniesionej części podłogi, chociaż ostrożnie wiedzioną, straszną słychać rozmowę i taki rozkaz okropny zapewne zbójców herszta:

«Spieszno i śmiało najprzód Mściwoju, chociaż noc cicha i księżyc świeci, tylko bór z daleka szumi, rychło się zawiń do swój roboty, jak zawsze śmiało z krwią zimną uniesz toczyć krwi strumienie i dziś jest pora, dalejże, śmierć bogaczom, złoto nam!

«To zbójcy, w duchu Tomiła rzecze, zdejmując ze ściany stary miecz.

W tak wielkiej trwodze przyszło jej na myśl zbudzić dwór cały, ale wnet zwraca chwiejący krok, bo zbójca z nożem w rękę wychylił głowę i naprzód idzie, biedna Tomiła drętwieje, lecz zbiera myśli, wbijacém sercu szuka odwagi, patrzy, w jej dłoni miecz połyskuje, to miecz, to zbójca, ojciec i matka, śmierć albo męka, jej umysł gnębią odwagę rzeźwią.

Z cicha mileząco wznosi miecz w górę, a miecz ogromny twardy i ciężki, gdy spadł na głowę zbójcy, za jednym razem pękło zbójce skronie.

Jęknął spadając zbrodzeń do lochu, ale mężniejszy następca, ze zbójceją pałką w ręku chce wejść do starej komnaty.

Tomila z cicha dzwiga miecz w górę; a miecz ogromny, twardy i ciężki, gdy spadł na ramię zbójcy, za jednym razem zbójceją ręką z pałką, w starej komnacie została.

«Cóż to? herszt zbójców krzyknie i sam podnosząc drzwi lochu, skoro tylko u wierzchu żylastą oparł dłoń, wnet ciężki ostry miecz, dziewczyny wzniesiony ręką, ucina zbójceji palec.

Strwożona klęską morderców banda spieszo uciekła. — U drzwi podziemnych trzasnęły zamki, kiedy Rusław kłasnął w ręce. — Ale Tomila już na pół martwa, o zbroczony krwią miecz wsparta, może nie słyszy Rusława.

«Nie masz jej, Rusław narzeka» jutro pojedzie do miasta — lecz nim pojedzie do miasta, niech się dowie zdrajczyzna, że ten, co dla niej umrze, podług danego słowa, jak zbójca dla marnych bogactw, dla jej miłości wyłamał kraty. — W rozpacz sięga do okna starej komnaty, sypią się gruzy, żelazna krata wypada.

Noc była piękną spokojną, księżyc błyszcząc na niebie przez szerokie oknisko, pół oświecał komnaty i postać wbieli przybraną o zbroczony krwią miecz wspartą.

«To ona! Tomila droga! krzyknie Rusław uniesiony, podaj dłoń wierna kochanko dłoni Rusława.»

Imię Rusława rzeźwi znękaną, upada miecz krwią zbroczony, szczęk jego budzi Tomilę — idzie chwiejącym krokiem, wierną podnosi dłoń, chwytą ją Rusław jak skarby świata, na silnej piersi Rusława, składa swoją wzdętą pierś — i nim północ minęła, już był za borem rodzinny dwór a jeszcze za jedną chwilę, już dom Rusławski, był jej mieszkaniem na drugiej stronie boru.

Do pięknego dworu, co stał śród boru, zajechało trzech panów, — jeden Książę, drugi Hrabia, trzeci Starościc.

Książę przyjechał z Niemiec, Hrabia z Paryża, a Starościc z Podola. — Książę choć młody, przywdział modną perukę, Hrabia choć kształtny, już stracił rękę, zapewne w boju lub pojedynku po same ramię, a Starościc nigdy nie zdjął rękawicy,

Ci panowie, jechali każdy ze swego kraju szukać żony po świecie, a zjechawszy się razem blisko pięknego dworu, dowiedzieli się, że jego państwo mają trzy wdzięczne córki, a w okolicy niemasz dla nich młodzieńców.

Nie ślali dziwośtębów, bo to stare zwyczaję, ale sami otwarcie, jak moda każe, przychodzą prosić oręce wdzięcznych cór.

Państwo z pięknego dworu, czekali ksiąząt dla wdzięcznych cór, radzi byli swym gościom, przyobiecali dwie córki, a trzeciej nie.

Zmartwili się panowie, że tylko dwóch przyjęto a trzeci pójdzie z odprawą, nalegali na państwa, badali o przyczynę, aż im wreszcie powiedziano, że najmłodszą dziewczynę wykradł kochanek z dworu i uszedł w bór, a może i Bóg wie gdzie.

«Ha! ten podły nikczemnik» zawołali panowie, «jeśli za swoją zbrodnię jeszcze nie siedzi w piekle, my go znaleźć musimy i dziewczynę odbierzemy.

Wybrali się panowie szukać owęj dziewczyny, i wyjechali z dworu prosto do boru — każdego się pytali, kogo w drodze spotkali, czy nie widział dziewczyny takiej a takiej, córki bogatych państwa pięknego dworu. — I niedaleko jechali i zaraz się dowiedzieli, że na drugiej stronie boru, w domu starego Rusława przebywa młoda dziewczyna, lecz podobno żona syna.

Zatrąbił jeden pan w myśliwski róg, obróciwszy się na gęsty bór — i w krótkim czasie zajechało trzech służących, a każdy miał nóż i broń, a pod każdym dzielny koń.

Jak tylko zaszło słońce, a wboru była noc, choć na polach błady mrok, trzej panowie ze sługami, na dom Rusławki wpadli, czeladź pozabijali, młodego poranili, dziewczynę porwali i pojechali.

Na zielonej łące pod gęstym borem, stoi rzeźka drużyna, chłopcy, jak lalecзки, wąsik i czupryna, przy boku szablica, w ramieniu rusznica — każdy na koniku,

Siedzą i czekają, koń kopytem tupie, z sobą rozmawiają, węża pokręcają.

Było ich dwunastu, przyjechał trzynasty ale smutny, błady, z posepnym obliczkiem — tylko wzrokiem pała, a piersiami wzdycha, a jego westchnienie, ah! ciężkie westchnienie, wesołą drużynę smuci i przeraża.

•Jedźmy braciszku, jedźmy przyjaciele, mówi Rusław smętny, a rzeźka drużyna, jak chmura ze grzotem, ruszyła na koniach do boru galopem.

Wjechali do boru, żwawo i galopem, a potem stanęli i ruszyli stępa.

•Na lewo paniczu, na lewo za parów, za błota, rzeknął Witomir leśnika syn.

A syn leśnika od dziecka małego wychowany w lesie, wie najdokładniej gdzie parów gęsty, po którym dębie został pień, kędy wybiegłe szumiące sosny, albo liściasta olszyna, gdzie grzywacz grucha, kukulka kuka, jeziorko szemrząc głuszy słowika śpiew.

Witomir wszystko to wiedział — i wiedział jeszcze, że za chrapami i trzęsawiskiem, pod wzgórzem zbójcy mieszkali — i poprowadził rzeźką drużynę tuż pod zbójckie schronienie.

Stanęli — a smutny Rusław z swym Witomirem idąc na zwiady, pod samym wzgórzkiem zbrojnego zbójcę w krzaku ujrzeli. — Zbójca ten znać był na czatach; — gdy spostrzegł dwóch młodzieńców, pochwycił strzelbę, kurek odciągnął i już, już miał wypalić, kiedy śmiały Witomir uderzwszy

na zbójcę, bez wystrzału, pocichu, na ziemię go powalił i bez życia zostawił.

Idą, a im szli dalej, wyraźniejsze słycać głosy, krzyki, wiwaty i bezładną muzykę zbójckiego biwaku.

I weszli na samo wzgórze, gdzie przez otwór jaskini gęstym chrapem okrytej, ujrzeli bandę morderców. — I słyszeli ich słowa, a każde słowo zbójckie, Rusława raniło serce.

Spiewał jeden w peruce: «pijmy brachy poncz i wino, jutro koniec z dziewczyną, jak ona mnie łba nadcięła ja też jutro z nią tak zrobię.»

Spiewał drugi bez ręki — «pijmy brachy poncz i wino, jutro koniec z dziewczyną, jak ona mię ramię ścięła, ja też jutro z nią tak zrobię.»

Spiewał trzeci bez palca: — pijmy brachy poncz i wino, jutro koniec z dziewczyną, jak ona mi ścięła palec, ja też jutro z nią tak zrobię.»

«Ach! gdzież ona Witomirze? truchlejący Rusław rzecze.

» Patrzno w lewo mój paniczu, co tam leży na barłogu wtym kąciku?

«O wiem, widzę Witomirze, spiesz się — Boże! ratuj, prędzij»

«Cicho, cicho», rzekł Witomir i pobiegął po drużynę; — i za chwilę, cichótenko dwónastu młodzieńców dzielnych w zbójcką jaskinię jak piorun wpadło — a Rusław z orężem w ręce jednej z barłoga z kącika, ręką drugą porwawszy Tomiłę swoją, krzyknął, że mu jej piekło wydrzeć nie zdoła i rąbiąc siekąc, zbójcką toczył krew — a Tomiła jak nie żywa, na jego ramię upadła i zemdląła,

Tak napadnięta zbójców banda, w pół została wycięta a pół związana i do pięknego pojmana dworu,

Rusław z swoją drużyną i wierną sobie Tomiłą w pogodną noc, stanął niebawem pod pięknym dworem, zakofatał do bram, które gdy otworzyli, wjechał na dziedziniec prowadząc zbójców trzech.

Zbudził się cały dwór: zbudzili się i państwo; Rusław Tomiłę swoją, ujawszy za drżącą dłoń, wiódł kochaną

przed rodziców, a za niemi przyjaciele wiedli w łańcuchy oskutyk zbójców.

Rozrzewnili się państwo z radości i podziwienia, gdy ujrzeli Tomiłę, którą już oplakali, bo o wszystkiem wiedzieli.

Dziwno im także było, gdy ujrzeli tych zbójców, tak miłych swoich gości, ledwie nie mężów dwóch starszych cór — a dziś im złorzeczyli kłął na nich cały dwór.

Oswobodzoną błogosławili, rodzice, krewni i dwór, o wszystko się pytali, panu Bogu dziękowali — potem Rusławowi oddali, a zbójców powywieszali.

Za Tomiłę przykładem, starsze dwie idąc siostry, z grona rzeźkiej drużyny, wybrały sobie [młodzieńców — były hu- czne wesela, drżał radością cały dwór, cieszyli się rodzice choć nie byli księżętą mężowie ich cór.

---

#### IV.

## **SIEROTA.**

Chociaż biedna Jadwisia często wybiegała z domu, wszystko przy gospodarstwie jak należy było zrobione, daremnie jej macocha gorsza od jędzy z piekła najtrudniejsze zadawała prace, bo nawet odprawiła służebną, a kupiła drugą krowę, przez co cięższą nierównie stała się robota i w domu i w oborze i na polu; jednak pracą i wytrwałością wszystko to przemogła Jadwisia. — Ale gdzież to wybiegała z domu ta Jadwisia, skoro była tak dobrą, tak pracowitą?

Jadwisia była sierotką, od lat dwóch nie miała matki, a jej ojciec pojawiwszy drugą żonę, nie baczył na osieroczone



od matki własne dziecko — miał bowiem coś nowszego w domu, bo większą zdawało mu się widzieć pociechę w małym Stasiu. — Staś był tylko pieszczonym, Staś miał wszystko — a Jadwisia była piastunką małego Stasia, była ona w domu służebną, do wszystkiego, ona owszystkiem wiedzieć musiała i wszystko zrobić i za wszystko odpowiedzieć. — Co się tylko wydarzyło w domu złego, za każdy wypadek odbierała karę lub łajanie, — Kiedy krowa mniej dała mleka, trzodę kto zajął ze zboża, garnek pękł na kominię, obrecz na konewce trzasła, wszystkiemu była winna, Jadwisia, nawet, kiedy mały Stasiak za wiele płakał.

I Jadwisia często płakała, ale w sekrecie, pod ścianą chałupy, w polu, albo też w lesie, kiedy ją macocha po zbieraniu suchego drzewa posłała. — Płakiwała sobie Jadwisia, jeszcze w jednym miejscu, kędy spoczywała ukochana jej matka na cmentarzu, — tam, dwie smutne około grobu wyrosły brzozy, na tym grobie często klęczała sierota, tam to ona biegła!

Jakże biedna dziewczyna nie miała matki płakać? kiedy za życia matki nie znała Jadwisia smutku, lecz opływała w szczęściu i rozkoszy, — a tęp jej szczęściem, tą rozkoszą były uściski matki, — nad wszystko w świecie kochała Jadwisia matkę swoją, cały świat widziała matka w swojej Jadwisi — teraz nie ma już matki, nikt jej nie pieści, nikt jej może nie kocha, — od śmierci matki, nikt ją w domu jeszcze nie pocałował; prędzej kto obcy dawny jej matki znajomy, uzalił się biednej sieroty i na tęp koniec — jakże biedna dziewczyna nie miała matki płakać? — płakała!

Jak te łzy biednej sieroty, nic bardziej nie gniewało macochy; — ale nic nie pomogło, ani bicie, ni krzyki, ni groźby, biedna sierota płakała. — A więc innym sposobem dręcząc ją macocha pamięć w jej sercu chciała zagładzić. — Wymyślała dla niej najtrudniejsze roboty, — z domu na pole, z pola do domu, najcięższe kazała jej dzwigać brzemiona — robiła Jadwisia co tylko mogła, dzwigała brzemiona, lecz

biegała także na cmentarz — i tam gdzie około jej matki grobu, dwie smutne wyrosły brzozy, klęcząc płakała!

«Patrzno! ty nierozważna dziewczko» krzyknęła raz jednego Macocha na biedną sierotę, kiedy zrana uprzętały w komorze: «zmieszalaś jagły z makiem, a dziś jagły na obiad i kluski z makiem trzeba gotować — ja idę w pole, a ty czem prędzej wybierz ten mak od jagieł, i jagły zgotuj i uwierć maku — i cały obiad sporządź, skoro ja z ojcem w południe wrócę, by był gotowy.»

Tak rozkazując postawiła na środku izby faskę, w której były zmieszane jagły z makiem, zamknęła komorę i poszła w pole.

«Mój Boże!» — mówiła sobie sierota «moja matka niemieszalaaby jagieł z makiem, niekazałaby je przebierać, bo któż to potrafi? — Przyszło jej przecie na myśl, wynieść przedsień swoją robotę i prosić sąsiedzkich dzieci, aby jej dopomagały wybierać mak od jagieł — Sprzykrzyła się dzieciom taka robota, wołały one biegać po wsi, zмагаć kozły na trawnikach lub się bawić w piasku, a niżeli przebierać mak od jagieł — dzieci te miały swoje prawdziwe matki, — były to szczęśliwe dzieci.

Sama pozostała biedna dziewczyna, a drobne łamiąc ręczyny, ze łzami w oczach spoglądała na faskę i myślała o swojej Matce — i przyleciało dwóch gołąbków jak śnieg bielutkich, i trzepotały skrzydełkami i gruchały — i wpadł jeden z nich w faskę gdzie był zmieszany mak z jagłami, i faskę przewrócił, i wszystko wysypał; a dziewczynka drżała w bojaźni, bo to było blisko południa, a nie miała na obiad zgotowanego — i dwa białe gołąbki maleńkimi dziobkami *pacierzaby niezmówił*, odebrały mak od jagieł i trzepocząc skrzydełkiem, gruchając, odleciały — spojrziała biedna sierota, skoczyła w radości czempędzej i mak uwierciła, a złożywszy ogień, przystawiła jagły i pobiegła, — gdzież ona znowu pobiegła?

Tam, gdzie dwie smutne wyrosły brzozy na cmentarzu, leżała jej matka w grobie, tam pobiegła sierota, uknęła i modliła się — a było już południe.

Wróciła macocha z pola, patrzy, mak uwiercony, jagły przy ogniu już się gotują. — Przejęta złością woła dziewczyny, biednej sieroty Jadwisi — woła i woła, lecz nie przychodzi, bieży jej szukać, i widzi zdala jak tam coś kłęczy, tam na cmentarzu, kędy dwie smutne wyrosły brzozy, gdzie grób Jadwisi matki.

• To pewnie ona • w szaleństwie rzecze, • kłęczy na matki grobie, a w domu niema nikogo — ani co zrobić — ni się posłużyć. •

Biegnie na cmentarz macocha, woła Jadwisi, Jadwisia kłęczy — chwyta sierotę biedną za ramię, a ramię martwe — biedna sierota — nie żyje.

Strach przejął groźną macochę — uciekła z cmentarza, uciekając widziała jak przyleciało dwóch gołąbków bielszych od śniegu, i tam, gdzie dwie smutne wyrosły brzozy, usiadły na jednym grobie, na tym grobie, gdzie martwa kłęzczała Jadwisia, — tam, trzepocząc skrzydełkami, i gruchając, wzięły szczęśliwą duszę sierotki z sobą do nieba! —



V.

ROZMOWA BYDLĄT.

Po wili Bożego narodzenia (\*) u Mateusza zamożnego we wsi gospodarza, umówili się wszyscy domowi, krewni i zaproszeni: iż spać wcale nie pójdą, ale śpiewając kolendy, lub gawędząc, oczekiwać będą północy, a potem udadzą się na pasterkę. (\*\*)

Mateusz był to już człek stary i spracowany, miał się nie zgorzej jako pracowity a skąpy; — jego zaś powinowaci w biednym zostawali stanie, bo ich w niczém wesprzeć nie chciał; sam z rodziną żył zawsze bardzo skromnie, i tylko dwa bankiety na rok wyprawiał, to jest na Boże narodzenie i na wielkanoc. — Między zaproszonymi znajdował się uczony organista, który nie miał swojego we wsi gospodarstwa, gdyż był wdowcem i do tego bezdzietnym. U Mateusza można go było zwać gościem domowym, ponieważ od roku palił cholewki do jednej z jego dziewczek; — ale że prócz sta złotych i małej ordynaryjki na rok, nic więcej nie miał, wahał się Mateusz dać swą córkę biednemu organście,

Żyli jednak w zgodzie i przyjaźni, jedli razem wilią, potem śpiewali i gadali o różnych rzeczach — nic ich gawendkom nie przeszkadzało, najedli się, to prawda, lecz nikt się nie upił *do siego roku*. — Mateusz był wstrzemięźliwy. — Organista jako człek oświeceniwszy, najwięcej rozprawiał, a chociaż większa połowa słuchających drzemała, Mateusz dotrzymał mu placu, i czasem tylko poziewał, a nie sam nie

---

(\*) To jest: po sutęj kolacyi w wigilią Bożego narodzenia.

(\*\*) Pasterska Msza Sta o 12 godzinie w nocy.

mówił, a słuchając pomrukiwał. Mateusz nie był rozmowny, ale przemyślny, szpekulował on zawsze, czémby swój dobytek pomnożyć a choć był stary nie myślał jeszcze o śmierci.

„Rozmaite na świecie są cuda i tajemnice, mówił mądry organista, — mój pradziad człek także nie głupi, dowiedział się z ksiąg przez naukę: że w wilią Bożego narodzenia, po północy, rozmawiają z sobą bydłeta, zupełnie tak jako i ludzie — ha! wtedy nawet mędrsze było od ludzi — przekonał się o tym mój pradziad, to jest że był głupszym od swoich wołów; usadziwszy się dobrze wlaź na oborę, i słyszał bydła rozmowę, a jak powrócił, oddał mojej prababce trzosik pełen talarów i złota.

Przestał Mateusz dumać nadstawiając ucha, a organista mówił dalej:

Mój pradziad stał się od tego czasu bogatym, kupił zaraz parę wołów, bo ten, co się wygadał o zakopanym skarbie, w ten czas kiedy on podsłuchiwał, nie już potym nie robił — tylko stał sobie w stajni na obroku — ja też nie raz chciałem było podsłuchać, alem się zawsze widać spóźnił.

Ha! pomyślał Mateusz w duchu, może mój Krasuń wie o pieniądzech, może ja się nie spóźnię, jak ten pijak nasz organista, — i postanowił udać się zaraz na górę stajni swojej, — Powstał więc z ławy i zapowiedział, że już czas iść do kościoła,

Kiedy wszyscy wybrali się na pasterkę, chciwy Mateusz jak złodziej skradał się po cichu na własną górę, a wlaźszy zakopał się w słomę, aby nie zziął i do powały ucho przyłożył.

Jak pierwszy raz o północy kur zapał, jeden z wołów ciężko ziewnąwszy, powstał, drugi podobnie stanąwszy u złobu, rzekł do pierwszego:

•Czego tak wzdychasz, Krasuniu?

*Drugi woł.* — Czy nie wiesz! jutro zawieziemy gospodarza do kościoła.

*Pierwszy wół.* — Wiem, ale cóż ztąd? on już stary a jeszcze łakomy, sam tylko chce być syty — dziś nasza strawa, dla tego, że nie robimy, daleko mniejsza.

*Drugi wół.* — Prawda. jednak dawno mu służyliśmy, a może kiedyś wpadniemy w inne ręce, w ręce rzeźnika — na tę myśl serce mi się kraje.

*Pierwszy wół.* — I mnie to samo dręczy, może na rok przyszły, nie będziemy już rozmawiać z sobą?

*Drugi wół.* — Być może — a tak miło, choć i o smutku przemówić.

*Pierwszy wół.* — Cóż kiedy zbyt krótko?

*Drugi wół.* — Ach! prawda, i ta chwila już przemija, znowu będziemy milczeć i pracować nawet i jutro!

Drugi raz kur zapjał, przeraźliwie bydłeta ziewnęły, i spać się pokładły. —

Wszystko to słyszał Mateusz, a schodząc z góry tak sobie mówił: «głupie te moje woły, nic a nic nie wiedzą — żem stary, ale jary, pieszo do kościoła chodzę, któżby się włókł przy święcie wołami, jeszcze w mróz i pogodę? głupie woły, tylko że mocne i zdrowe, nie myślę ich sprzedać wcale, chociaż tam i obzarte — a one plotły o rzeźniku» — tak sobie mówił i poszedł do kościoła.

Gdy wszyscy wrócili do domu, zdziwili się, iż Mateusza jeszcze nie było — aliści niedługo, otwierają się drzwi izby, i wchodzi stary Mateusz, od dwóch prowadzony sąsiadów, — skoczyła zaraz Mateuszowa, skoczyły dzieci, krewni, pytają się, powiadają, że Mateusz bardzo zachorował, że go ledwo przyprowadzili — chorego Mateusza położyli w łóżku, gotowano pomocne ziele, ale nim takowe mu podano, skołał.

Jako zamożnego gospodarza ciało, krewni i przyjaciele do kaplicy kościelnej, własnymi jego wołami odwieźli.

Wkrótce po śmierci Mateusza, krewne sukcesory, cały sprzedawszy majątek, podzielili pieniądze między siebie wpośród kłótni i processów.

Dom i grunta kupili sąsiedzi, krowy, rządne gospodynie. — woły dostały się rzeźnikom — i koniec.

## VI.

**.WIANEK HELISI**

W wigilię Sgo Jana, wszystkie ze wsi dziewczęta, według zadawnionego zwyczaju, miały puszczać wianki na wodę.

Zielony brzeg wartko płynącej rzeczulki, przed zachodem słońca, już był napełniony znaczną liczbą rzeźkich, młodych parobczaków, przygotowując wiosła i czółenka, do wodnych za chwilę wyścigów.

Dziewczęta, które od kilku dni spletały w sekrecie jedną przed drugą wianki, usiłując aby każdej był najpiękniejszy, schodziły się nareszcie po trzy lub cztery razem, każda ubrana jak w niedzielę, niosła ukryty pod różnobarwnym fartuszkim wianek strojny wstążkami, które można było ujrzyć, jeśli wietrzyk w rączym biegu lekkiej dziewczyny, odsłonił część tego fartuszka.

Prócz dziewcząt i młodzieży wiejskiej, zeszło się na przypatrywanie kilku gospodarzy z żonami i dziećmi.

Słońce zachodząc ostatnie rzucało promienie, dziewczęta zaczęły puszczać wianki, a młodzieńcy z wiosłem na czółenkach śmiało i chciwie uganiały się za takowemi.

Nie jedna z dziewcząt spaliła raczka, kiedy ujrzała jak jej kochanek zręcznością zdobyty wieniec dumnie przy-

pinął do swego boku — bo nie jeden z chłopców, kilka schwy-  
ciwszy wianków, tylko swój lubej do piersi przypiął, a reszta  
innych zdobyła rond kapelusza, gdzie były wstęgi i pawie  
piórko. —

Opodał rzeczki, w którą rzucano wianki szła droga — a  
drogą jechali podróżni — ci ujrawszy tak miłą w tym dniu  
rozrywkę, bo wróżącą zeniaczkę młodzi wiejskiej, przyjecha-  
li bliżej.

Między podróżnemi był znać jeden pan, a reszta służy  
jego — bo pan ubrany świetnie, stanął nad samym brzegiem,  
i zsiadł z konia, służy uczynili toż samo i stanęli za nim.

Gospodarze i parobcy zdjęli przed panem czapki choć go  
jeszcze nie znali, a on im głowy nakryć kazawszy prosił,  
aby mu pozwolenia w używaniu tej rozrywki nie odmawiali.

Uradowani pana prośbą, parobcy chcąc się popisać, rze-  
źwiej i śmieiej wiosłem krajali głębie, a dziewczęta w naj-  
piękniejsze kwiaty i kokardy przyozdabiały wieńce.

We wsi była dziewczyna imieniem Helisia, najmilsza ze  
wszystkich, jej twarz jak śnieg bielutką, okrywał wdzięczny  
rumieniec podobny do róży, kiedy się z pączka wywija, oczy  
jak bławatek lub niezapominajki, a usta od koraliny piękniej-  
sze; w ciemne włosy wplatała czerwone wstążki, jej gorset był  
zawsze najzgrabniejszy, spódniczka i fartuszek najlepiej u-  
szyte — ale że była przytem dobrą dla swych rowiennic  
przyjaciółką, one jej też nie zazdrościły tego wszystkiego.  
lecz tylko pragnęły ją we wszystkiem naśladować.

Dusza Helisi nie ustępowała piękności jej twarzy, była  
cnotliwą, pobożną, szanowała rodziców, krewnych i star-  
szych, i w tém wszystkiem wzajemność od nich odbierała.

Antek, dziarski i pracowity syn jednego z możnych go-  
spodarzy, pokochał się w niej szalenie, ale cóż, onę się ani  
śniło o niczem — zdawała się go unikać, i jedynie na wieki  
wieków mu odrzekła, jeśli ją spotkawszy, niech będzie po-  
chwalony Jezus Chrystus, powiedział.

Biedny chłopiec, poznał że ona go pocieszyć nie może,  
a przekonany o jej niewinności, pożegnał rodziców i ze łzami



w oczach, poszedł w świat, jak mówił na trzy lub cztery lata nauczyć się jakiego rzemiosła u Niemców — przysła Helisia z swoim wiankiem, ubrana tak chędogo i tak starannie, iż powszechnie mówili przytomni, jakoby jeszcze nigdy ładniejszą nie była.

Panu podróżnemu zaraz wpadła w oko — a kiedy promyk słońca z zachodu spoczął przez chwilę na jej jagodach, wykryli te wdzięki, jakich za pierwszym spojrzeniem dostrzedz było trudno.

Pytał się pan obok stojącego starego Jonka, co by to była za dziewczyna? «z naszej wsi» mówił Jonek uradowany, że miał porę, o Helisi coś powiedzieć, «urodna ta jest dziewczka — Piotr mój sąsiad jest jej ojcem, siedzi pod kasztanem ze swoją, i czasem się spojrzy na swą jedynaczkę, którą po Bogu i dobrych ludziach, kocha nad wszystko, ba! i ona ich też kocha, ta pęczciwa Helisia — bo żeby Wielmożny Pan wiedział, jaka ona dla ubogich, dla chorych — mojej nieboszezki do samej śmierci nieodstąpiła, tylko jej ciągle usługując — ale co tam moja gadanina, każdy o niej coś więcej powie.»

Serce pana, musiało czuć jakąś radość, gdy słuchał o Helisi przymiotach, bo niejaki czas nią zdawał się być wyłącznie zajęty — wreszcie poszedł ku niej, a skłoniwszy się, jakby przed jaką panią, pytał o nazwisko rodziców, czy tu przybyła puścić wianek, i czy ma napiętego, któryby podług jej życzenia, powinien gonić wieniec? — na co rozumiała, szczerze odpowiadała, aż pan wszczął rozmowę z ojca, po czem stanął nad brzegiem, patrzył w wodę i dumał.

Helisia przysła nad sam brzeg rzeki i rzuciła wianek — na jego widok każdy z chłopców zapomniał o innych, za Helisi pędząc tylko wiankiem — powstał nieład i zamieszanie, nie jedno wiosło trąciło drugie, łódź starła się z łodzią — a nikt nie zważał, bo nie miał czasu, jak pan rzuciwszy się w pław pod wodę, pierwszy, Helisi pochwycił wieniec, a skoro brzegu dopłynął, czem prędzej dosięgnął konia i pojechał galopem, a śludzy za nim.

Każdemu z przytomnych zdarzenie to było dziwne, a nawet i Helisi — nikt nie wiedział z kąąd był pani co za jeden — miarkować tylko było można po nim i po jego sługach, że to musi być książę jaki, starosta lub hrabia — ale był młody, przystojny, krew miał wrzącą i odwagę, kiedy tak śmiało zmierzył głębinę, nie szczędząc zdrowia, ani bogatej sukni, za jednym wiankiem ładnej wiejskiej dziewczyny.

Na kilka mil do koła, krążyła wieść o tym wianku, nie jeden był pewny, że Helisia pójdzie za mąż, za bogatego pana — i nie jeden z poczciwych znając jej dobre serce, z duszy jej tego życzył; w głowie dziewczyny także coś podobnego się roilo — serce miała wzruszone — wiele sądzić nie mogła bo nie umiała; rodzice zdawali się wyglądać postów na dziwstęby, ale rok mijał, ani postów, ani pana widać nie było.

Nadeszła znowu wigilia Sgo Jana, dziewczęta jak przeszłego roku, puszczały wianki, niektóre z zeszłorocznych poszły za mąż, ale na ich miejsce inne dorosły — Helisia należała do tych, które jeszcze zdołał dziewiczy wieniec.

Podobnie jak przeszłego roku pięknie była ubraną — strojny przez nią puszczonej wianek, na środek bystrzej rzeczki szybko wypłynął, i jak okręt na rozhukanym morzu pędził z wody biegiem a wstążki i kokardy niby zagle od silnego wiatru wzdęte, unosiły go na małej wód przestrzeni; to zdawał się niknąć w nagłym pędzie, to wionął krasnemi wstęgi i bujał śród fali i bałwanów, a żaden z goniących za nim młodzieńców nie mógł onego dosięgnąć — silne ich dłonie omdlały, bezczynne wiosło pod zmordowanem ramieniem spoczęło i wianek Helisi zniknął.

« Nie masz tu » mówiła matka Helisi « zeszłorocznego pana, on jeden bez łodzi, bez wiosła umiałby wstrzymać w tym pędzie wianek mojej jedynaczki — nie masz dla niej kochanka i nie ma męża.

« Juścić to i prawda, mówił wdowiec Jonek » mojej marychny tamtego lata, Kuba wianek zdobył i już jest jego żoną — a młodziej Salki coć i Jędrzej koło niej z wianeczkiem się kręcił

już z nim po zaręczynach — a waszój dziewczyny, pani Piotrowa, nurkiem popłynął wianek — Bóg wie, może tam, gdzie nad brzegiem daleko, stoi zadumany o niej pan przeszłoroczny a może popłynie aż tam, gdzie jego dwór stoi nad wodą.

Drugi rok mijał od tego zdarzenia, Helisia była jeszcze dziewczką — a pana ani widać, ani o nim słyhać — każdy z ojców, którzy synów chcieli z nią swatać, nie będąc przyjeżdżając, syna swego z inną ożenił, gniewali się trochę, ale cóż mieli robić.

Jednej niedzieli po nabożeństwie, kiedy już ludzie wychodzić mieli z kościoła, ksiądz Proboszcz wszedł na ambonę, wszyscy się zatrzymali a on zapowiedział: — «że J. W. Starościc, syn dziedzica, wrócił z zagranicy, i jest u swego ojca w Warszawie, a żeniąc się za trzy niedziele uszczęśliwi parafią biorąc ślub w tym kościele, a jako przyszły pan i dziedzic, całą gromadę z żonami i dziećmi, na wesele zaprasza.» —

Po takiej nowinie o niczém wieś nie myślała, jeno o przyśnięm weselu i dziedzicu.

Starsi gospodarze rokowali ztąd wiele dobrego, mówiąc, iż musi być dobry panicz i będzie dobrym panem, skoro tak poczyna.

Dziewczeta ciekawe go były widzieć, pytały się ojców jak wygląda, czy ładny, młody? — ale im tego powiedzieć nie mogli, bo chociaż wiedzieli, że ich pan ma syna, tego żaden z nich nie widział od czasu, jak miał lat sześć, bo był ciągle w mieście w szkołach, lub za granicą. —

Ledwie minęły owe trzy niedziele, nazjeżdżało się wielu panów do dworu, który rządca odnowił i pokoje poprzystrajał.

Przed wieczorem cała gromada wybrała się na ślub do kościoła, ale nie mogąc się wszyscy pomieścić koło drzwi; kručchy postawali — aż przybył jeden z przyjaciół pana młodego, i naprzód dziewczęta uszykował w pierwszym rzędzie na przeciw ołtarza paradnie w kobierce, kwiaty, srebro, i złoto ubranego — dalej dał miejsce znaczniejszym gospo-

darzom z ich żonami, parobcy stanęli w końcu, a reszta mieściła się jak mogła.

Kiedy już organista pozapalał świece, i wszystko było gotowe. otoczony gronem państwa wszedł Starościec, a jeden z družbów zaprowadziwszy go przed ołtarz, złączył się z drugim družbą, a tak we dwóch udali się do rzędu dziewcząt gdzie stała w najpiękniejszej bieli z kwiatami ubrana Helisia; dwóm innym dziewczętom, Ance i Ruzi przypięli do boków bukiety mianując je druchnami, a Helisia tym widokiem zajęta, mniemając się być opuszczoną, dla nie stósownego stroju, lub innej przyczyny, nie zważała jak starościanka siostra pana młodego, stroiła jej gors w mirt, róże i barwinek, a między ich liściem widać było wianek Helisi przed dwoma laty w wigilią Sgo Jana puszczoney na wodę, a schwytyany przez podróżnego pana.

Serce Helisi biło okropnie, słowa rzec nie mogła — matka jej płakała, ale wiedzieć nie mogła czy z radości — ojciec złożył ręce, i stał nie poruszony — przytomni ciekawie czekali końca i żaden szmer nie powstał, i było cichuteńko. —

Na pół zemdloną, na poły udurzoną Helisie Starościanka, w towarzystwie dwóch druchien, zaprowadziła przed Ołtarz, gdzie stał pan młody w gronie panów i swity — z polecenia dyrygującej wszystkiem starościanki, przyprowadzono Helisiorodziców. z którymi złączył się ojciec pana młodego siwy jak gołąbek, sami dziedzic i starosta — wszyscy widzieli jak Helisia uklękła, a on ją błogosławił.

Dalej nastąpiła zwykła formalność przedślubna, po której Helisia drżącą podała panu młodemu rękę — muzyka na hórze hucznie zagrzmiała, i biedna ze wsi dziewczyna, z wielkiem podziwieniem przytomnych, została J. W. Starościaną, panią sióstr, braci, krewnych i znajomych.

Wesele odbyło się sute, jakby Starościec ożenił się z Księżniczką i dostał za nią z pół miliona.

Helisia nie zmieniła się wcale, w tém jedynie, że będąc bogatą, łatwo jej było wspierać ubogich, kochała swoje równiennice jednakowo, każdej stosowny posąg lub zapomo-

ge wyznaczając, była też za to wielbiona od wszystkich i wszyscy Bogu składali dzięki za jej wywyższenie, którego tak była godną, — mąż jej był najszczęśliwszy, jak często sam powtarzał, że się nie omylił i że się spełniły jego nadzieje, o których od poznania Helisi ciągle marzył.

Wiedziała ona dobrze o różnicy swego stanu, i kiedy przyjmowała dostojnych w domu gości, przyjaciół lub krewnych męża. mając głos miły i dźwięczny, za ich uproszeniem, powtarzała ulubioną piosnkę:—

*Dawniej sobie spiewywałam dana, dana!*

*Teraz tak nie spiewuję, bo mam męża Pana.*

## VII.

# MACIEJ PYTA.

Katarzyna, była dziewczka biedna, ale pracowita i poczciwa; służąc u jednego gospodarza lat kilka, wysłużyła sobie wiano, to jest, trzy letnią jałowicę, prośną maciorę, postaw drelichu na pościółkę i sto złotych, — tak uposażona, poszła za macieja Pytę, syna gospodarskiego, który po zmarłych rodzicach w téjże wsi osiadł grunta i chałupę — ale Maciej, kiedy jeszcze był parobkiem, chodził do karczmy i tam częstokroć po całych nocach wywijał sztajera, więc wszedł w nałóg i po ożenieniu się z poczciwą Katarzyną, bardziej jeszcze sobie pozwalał; — był bowiem jaki taki dobytek, i nie najlichsza chudoba, przeto Maciej całe święta i niedziele przepędzał w szynku, pojąc grajków i siebie.

Tym sposobem wracał późno, a czasem ze świtem do domu — Katarzyna zawsze się martwiła. a bardziej, kiedy Bóg dał maleńkie, biedna kobieta trawiła nocy przy kołose i nadstawiała ucha czyli Maciej rychło zapuka.

Tak zeszło dwa lata, a Maciej ciągle zapijał, przez ten czas, Katarzyna suszyła sobie głowę, jakby temu zaradzić, aby jej mąż był lepszym? — próbowała rozmaicie, płakała, prosiła go, pieściła, później się gniewała, kłóciła, i parę razy się pobili. Od tego czasu naprawdę rozzłościła się Katarzyna, i postanowiła zemstę, bo ją niebogę nieco poturbował; ale zemsta dobrego jest niewinną — i dobra Katarzyna o złém nie myślała.

Jednej niedzieli, podług zwyczaju, powrócił Maciej Pyta do domu, a że to było pod jesień i po deszczu, noc oziębiona, dreszczem go przejmowała; do tego towarzyszył Maciejowi zły duch, który go od dawna opanował, i tej nocy spodobało mu się z Maciejem potaćcować — wodził więc biedaka długo po kałuży i błotach, gdzie tak mu głowę zakrecił, iż nieborak ze sto razy się przewrócił — zmokły i w błocie znurzany, kiedy kur zapiał, Maciej ledwie trafił do drzwi swojej chałupy — stanął i sztuka:

«Któż tam?» — zapytała się w izbie Katarzyna — «Ja» — odpowiada jej — «Co za ja?» — zapytała znowu — «Ba dyć ja twój mąż.» —

«Idź precz pijaku! nie mań mnie i spać nie przeszkadzaj.» — rzekła Katarzyna.

«Czyś oszalała? ja zmokły i zimny, a ty mi nie chcesz otworzyć — otwieraj, bo jak cię dostanę to popamiętasz!»

*Katarzyna.* Idź precz drabie, bo jak zbudzę mojego to się z tobą rozmówi.

*Maciej.* Jak zbudzisz twojego? — cóż to? a ja kto jestem jeśli nie twój mąż?

*Katarzyna.* Co ty mąż? — mój Maciej, jak dobry gospodarz położył się od zmroku po wieczery i śpi przy mnie — więc go nie budź, bo jutro dzień i robota — a jak nie odstąpisz, wnet na niego zawołam.

*Maciej.* Jak to, ja nie twój? —

*Katarzyna.* A złe tam wie, czyj ty jesteś.

Przez kilka chwil jeszcze Maciej usiłował Katarzynę przekonać, że to on jej mąż, Maciej Pyta stoi za drzwiami — ale gdy to

nie pomogło, mówił sam w sobie: «musi ona mieć i rację, znam ją, kobieta trzeźwa i dobra — ale ja, ja nieszczęśliwy! to ja nie Maciej Pyta, jak miałem tu iść — lecz cóż ja za jeden? — ach! muszę być nic dobrego, złe mnie wodziło po topielach, jestem znużony, zimno mi, a ten Maciej Pyta śpi sobie przy kobiecie — a ja, gdzie się podzieję?» — i przyszła mu myśl pobożna i postanowił, jak się tylko dzień zrobi, iść do spowiedzi, i przytém zapytać księdza Proboszczą, czy on z tej parafii? będąc pewnym, że się dowie gdzie jest i gdzie się ma udać — przedewszystkiem zaś na własnym stogu siana resztę nocy smaczno przechrapał.

Katarzyna uważała jego obroty, raniuteńko z komotrami dobrze jej życzeniami, pocziwami ludźmi, ostrożnie zaniósł ją jeszcze śpiącego Macieja do izby, położyła w łóżko i koło śniadanka krzątać się poczęła.

Maciej zbudzony nie wierzył znowu sobie — wyszedł obaczyć czy kto na stogu leży, ale i śladu niebyło; żony nie śmiał zapytać — pojąć więc niemógł, jak się to wszystko stało — ale od tego czasu pić zaprzestał, pilnował gospodarki i domu, a Katarzyna dziękowała Bogu, że ją natchnął tą myślą, która ustaliła jej szczęście i pokój domowy.



## VIII.

# KAGANIEC. (\*)

## LEGENDA.

### *Treść.*

Chciwy a niezdolny gospodarz, w dni świąteczne podczas nabożeństwa, jeździł po drzewo do lasu — a jego żona (Salka) wtedy miasto iść do kościoła, siedząc w domu z drugą podobną sobie (kowalką) w podłe mieszkającą, trawiając czas na gawędce, spijała.

Na wiosnę w niedzielny dzień, był i jest zwyczaj, zielonym liściem i zieleń tatarak (*calamus acorus*) przyozdobić mieszkania; w jeden więc z tych dni świątecznych, córka Salki, wysłana rwać wspomniane ziele, ujrzała zdaleka córkę kowalki (Kachnę) także zrywającą tatarak; lecz w takim miejscu, na błocie i trzęsawiskach, gdzie dostąpić niepodobna — w postaci tej Kachny był djabeł, który miał zamiar zwabić do otchłani dziewczynę, (\*\*) tak samo, jak da-

---

(\*) Idąc z Zarzycy do Gołeniów (w Krakowskim) między innymi, jest mały stawek albo raczej źródło, noszący nazwę Kaganiec, od tego, że w zimie nie zamarza; który podług powieści gminu, ma być bez-denny.

(\*\*) W Sandomierskim około Końskich, również podobne w części krąży podanie, o dziewczę, która zrywając tatarak ciągle



lę w legendzie udało się temuż czartowi oszukać wracającego z lasu z drzewem chłopca, w postaci jego własnej córki.

Bezbożny gospodarz ukaranym zostaje stratą nietylko wozu z wołmi, i przez spalenie się od pioruna jego chałupy, ale nawet nigdy więcej nie dorobiwszy się przy kościele, do którego nie miał zwyczaju uczęszczać, żył z jałmużny.

W końcu Legendy, wzmianka jest o spaleniu kuźni, a zatem i kowalkę dotknęła kara, albowiem tak ona, jako i Salka, z upadkiem ich mężów, przyszły do tego, iż zmuszone zostały żyć z przedzenia u możniejszych gospodyń, jak żyją wiejskie biedne wyrobnice.

---

przez stojącą w głębi Jeziora znaną jej dobrze dziewczynę byławołana,— a przecież nastąpiło przekonanie, że ta jej znajoma dziewczka w tym właśnie czasie, na krok nie wychodziła z domu.— w podaniach ludu djabeł rozmaite na kuszenie ludzkie przybierac może postacie—o podobnej przemianie, następującą także słyszałem powieść.—

« Młody parobek miał kochankę, ale aż w drngiej wsi— z trudnością więc przychodziło mu onę odwiedzać—

Jednego razu po robocie i po wieczery idąc do lubej, usłyszał naprzód rzeżki tentent kopyta, dalej rżenie żrebca, a nareszcie ujrzał rączego konia, w czaprak, siodło, i uzdy przybranego— stanął przed nim dzielny konik, przychyłał się jeźdźcowi jako najlepszy wierźzchowiec, rżąc parskał i tupał nogą— ale parobek, myśląc sobie, że to koń dworski być musi, obawiał się jego klusa do swęj kochanki spróbować, aby go nie schwytano i o kradzież nie posądzono— był to poczciwy parobek, szedł pieszo, albo raczej biegł spiesznym krokiem, a konik tuż i wciąż za nim— przy drodze stała figura, parobek się przeżegnał, koń zarżał, tupnął i odbiegł galopem— zdala tylko slychać było śmiech szyderski, i kłaskanie w ręce.—

---

## KAGANIEC.

Ogień w piecu ehléb na desce, } Gdy się kuma, z kumą zejdzie,  
Napijmy się kumo jeszcze.— } Kwaterką się nie obejdzie.  
(Dawne przysłowia).

Chłop drzewo rąbał w niedzielę, kiedy msza była w kościele; a jego żona Salka i z podła kuma kowalka, dobre przyjaciółki obie, godność świadczyły sobie.— Salka stojąc przy kominie, mówiła swojej dziewczynie: — Kachno! dzisiaj Niedziela, trzeba w izbie posprzątać; idź po tatarak i narwij ziela, ja do obiadku zacząć się krzątać.

Jak dziewczynka wyszła i drzwi zamknęła, gospościa miasto jadło sporządzać, do karczmy z flaszką drapnęła — i wnet wróciła, choć bez złotówki, ale z kwartą anyżówki. — «Do was kumo!» — i nalala — i kumie kubek podała, który kuma chyląc duszkiem, usta obtarła fartuszkciem. — «Dalej drugi» — rzekła Salka, — nie spierała się kowalka, — jeden za drugim kumeczki chyliły, aż z pełnej flaszki dno zobaczyły,

Chłop drzewo rąbał w niedzielę, kiedy msza była w kościele; żona zaś jego Salka, i z podła kuma kowalka, dobre

przyjaciołki obie, godność świadczyły sobie, — a iżby nie było świadka, jak się żaląc kumy płaczą, wtenczas, kiedy się raczą, swoją dziewczynę po zielsko, wysłała matka.

«I ja z tą moją starszą, co w jednem lecie z waszą» mówiła Salce kowalka — «aby się z moim niewadzić, umiem se teraz poradzić — bo kiedym się jej nie strzegła, co tylko usłyszała albo okiem dojrzała, gdy za ojcem pobiegła, to wszystko wygadała — a z tąd kłótnie i zwady — wiedzą o ym sąsiady, kiedy nas rozbraniali, jakeśmy się szturchali.»

«Teraz powiadam kumie, lepiej u mnie w rozumie, jedną po chwast, drugą w pole, i gorzałka jest na stole; — a zaś, kiedy kumo z wami siedzę chwilę i gawędzę, jedna i wije z motków przędzę, a druga nad ziemniakami, do pieczonki, co ją dusi, z godzinę kawęczyć musi, — O! ja dziewczki mam na oku, a z chałupy ani kroku.»

Salce, mówiła kowalka, z uwagą słuchała jej Salka, a kiedy pierwsza skończyła, Salka mówić zaczęła, — i nie mogły się nagadać, to kowalka, to Salka. — wciąż rozprawiały — sąsiadki obmawiały.

A był czas jako w niedzielę, choć msza była w kościele, chłop drewska rąbał w lesie, — co zrabie to na wóz ledwo znieśie; — jego zaś żona Salka, i z podła kuma kowalka, dobre przyjaciółki obie, godność świadczyły sobie — a na stawie dziewczyna, Salki córka jedyna, jako w niedzielę, rwie na maj tatarak ziele.

Dziewka rwie na maj tatarak ziele, strug (\*) spienione kłęby ciska, a msza w kościele! — Ni pacierza ni różańca,

---

(\*) Strug i. aczej stok — wola, gdzie bije źródło.

jeszcze dziewczka nie mówiła, bo jej matka nie uczyła;— lecz rwać zielsko z pod Kagańca, gdzie śród lata jego wody, zimniejsze jak twarde lody, nie ogrzeją się od słońca; gdzie źródło od piekieł dna, bezprzystanne wiry sączy, i morskie szyby łączy, to dziewczyna dobrze zna.

Więc rwie na maj tatarak ziele, wyśpiewując o kochanku, o strumykach, nocy, ranku,— a msza w kościele!— Strug spienione kłęby ciska, wiatr kołysa drzewiska, dziewczyna słyszy znane wołanie:— Kachno! moje kochanie!

Gdzie się kończy bez dna struga, tam rwie zielsko dziewczka druga, i na Kachnę ciągle woła: — «Kachno obejdz do koła, saw (\*) tatarak wybująy. przyjdź, razem będziemy rwaly.» — Córka gościnniej Salki, patrząc zaraz poznała dziewczkę co nań wołała, — myśląc, że to Baśka córka kowalki.

Tak się Kachnie zdawało, ale się nie tak miało, bo kiedy Baśka zielsko rwać się zdawała, i na Kachnę wołała, — tam po trzęsawej drodze, ciężko stapać ludzkiej nodze — tam w każdą północ prawie, w rokicie za bez dna stawie, z topielcem bies tańcuje i wędrowca napastuje. — Kachna o tym wiedziała i do Baśki iść nie chciała, dziwno jej tylko było, co tam Baśkę sprowadziło?

Na południe w Niedzielę, po nabożeństwie było w kościele z brzemieniem zielska wróciła Kaśka, w izbie jej matki sąsiada, wciąż pijąc wódkę gościła, — a więc śmieje rozpowiada, że jej starsza córka Baśka w rokicinie ziele rwała, tam gdzie co północ prawie, za Kagańcem na trzęsawie, z topielcem bies tańcuje i wędrowca napastuje.

---

(\*) Saw, znaczy tu, — albowiem, *przyjdź tu* — gmin w Krakowskiu utrzymuje, że tak mówi się do psa a nie do człowieka.

«Co?» — krzyknęła kowalka, aż się przelękała Salka — Baśka poszła po ziele, i bez opowiedzi, do południa sobie siedzi, to jej się łatwo nie zmiele — mówiła w złości kowalka, reflektowała ją Salka; lecz rozgniewana sąsiada nie słuchając perswazyi w najstraszniejszej fantazyi, do swojego domu wpada. —

Wpada patrzy — dziewczki w domu, każda przy robocie ślęczy, i zapewnia i przyrzeka, że je matka darmo dręczy bo ni jawno ni kryjomu, kroku nie zrobily z domu, —

Na południe w niedzielę, po nabożeństwie było w kościele, — chłop drzewo zrąbał w lesie i wozem z drabinami, i parą w jarzmie wołami, ku domu wiezie — a nie syt pełnym wozem, stos wielki gałęzi w lesie, związał mocnym powozem i na własnym karku niesie. —

Z Czarnego lasu (\*) to kawał drogi, mdleją chłopu stare nogi — więc krzyknąwszy na woliska spoczął na miękkiej murawie — siedzi i patrzy aż tu przy stawie, gdzie wiatr kłębami ciska, tam jego Kachna, jako w niedzielę rwie na maj tatarak ziele. —

Tak się chłopu zdawało, ale się nie tak miało — bo kędy Kaśka stała i zielsko rwać się zdawała, tam po trzęsawej drodze ciężko stąpać ludzkiej nodze — tam w każdą północ prawie, za kagańcem na trzęsawie z topielcem bies tańcuje i przechodnia napastuje. —

Z Czarnego lasu to kawał drogi, chłop chcąc oszczędzić stare swe nogi — «Kachno!» — zawoła z murawy wstając, pod brzemieniem drew stękając — «Wiatr się zrywa, i z chmur na-

---

(\*) Las pod Szczekocinami, pod którym stoją sprosokie chałupki, a z drugiej strony wieś Sprowa, nosi nazwisko czarnego lasu —

wał, deszcz poleje, a stąd do wsi jeszcze kawał; — ja pójdę grząbą wedle stodoły, a ty drużyną pędź spieszo woły —

Dziewka jako w niedzielę, zdaje się rwać tatarak ziele, wysławiając o kochanku, o strumykach nocy ranku — strug spienione kłęby ciska, wiatr śwista przez groble, zarośla, doły, idą leniwie ciężkie woliska, idzie chłop grząbą wedle stodoły. —

Chłop idzie grząbą wedle stodoły, a dziewczka z drogi zawraca woły, i miasto je gnać ku domu, bo wiatr śwista i zchmur nawał deszcz poleje, a im do wsi jeszcze kawał, do stawu gdzie wir kłębami ciska — żenie biedne woliska. —

Wiatr przeraźliwie dmie i śwista, z chmur nawał deszcz gęsty leje, piorun za piorunem trzaska, w rokicie djabeł się śmieje, szczeka, wyje, w ręce klaska. —

Chłop do nitki przemoknięty, stojąc wedle stodoły, widział zdaleka jak bies przekłety, zrzuciwszy postać człeka, do kagańca wpędził woły, — darmo się żegna mówi pacierze, diabeł nie zwróci kiedy zabierze, — dziwno mu tylko było, co się to z dziewczki zrobiło. —

Wiatr co strasznie świstał, dmuchał, niezadługo z deszczem ustał. — Chłop by prędzej do dom wrócił, stos drzewa na drodze rzucił. — «Choć diabli wzięli i wóz i woły» — mówił do siebie — «jeszczem nie goły, mam jeszcze w domu i wóz i konie» — tak mówiąc widzi na niebie łunę, i wieś jak w ogniu chłonie. —

Więc chłop, co drzewo rąbał w niedzielę choć nabożeństwo było w kościele, kiedy mu djabli i wóz i woły, zawiedli w bezdenne doły, a on się jeszcze z końmi pochwalił, gdy piorun trzasnął — chałupę, konie, i kuźnię spalił, pozostał biedak jak bizon goły. —

Teraz narzeka, płacze i kwęka, drzewa nie rąbie w niedzielę, od żebraniny mdleje mu ręka, gdy ją wyciąga w kościele — a jego żona Salka i owa kuma kowalka, po chałupach nad gawędą (\*) kądziel na wyrobek przędą.

---

## IX.

# PENIĄDZE.

---

Idąc pielgrzym drogą znalazł wór pieniędzy, a miasto je podnieść, dopóty swoim okładał kijem, aż nadeszło trzech podróżnych — a gdy ci podróżni zobaczyli owe pieniądze, naśmieli się z pielgrzymem, i wór zabrali, — ciekawi tylko byli czemu pielgrzym kijem, tak długi czas bił pieniądze? —

Rzekł do nich pielgrzym: «w tym worze śmierć zawarta, więc ja śmierć kijem okładał, aby mię nagle nie ozionęła» —

«Jakże on głupi, rzekli podróżni, i poszli w dalszą drogę — a pielgrzym sobie poszedł na puszcze. —

Ucieszeni podróżni, jak słońce zaszło, wstąpili do karczmy zjeść porządną wieczerzę, podzielić się pieniędzmi, i zanoćować.

Zjedli więc w karczmie sutą wieczerzę, a wypiwszy po kwatereę, spać się pokładli.

---

(\*) Nad bajkami, czyli trawiąc czas nad powieściami. —

Różne są ludzkie natury, jeden mocniejszy w ręce, a inny w nodze, tak się i z głowami dzieje. — Jeden z naszych podróżnych słabą miał głowę, i jak się tylko szczęśliwie położył, tak zaraz usnął — a zaś dwaj drudzy silniejsi w mózgu po drugim wypiwszy, długo w noc baręczyli.

Tak to gwarząc ze sobą, pocichu i w sekrecie, zmówili się na jedno, by dla zwiększenia swych części, ze znalezionych pieniędzy, kolegę śpiącego zabić, część jego pieniędzy zabrać, i między siebie rozdzielić.

Zabiwszy więc kolegę, wszystkim co miał przy sobie, na pół się podzielili, aby ich nie schwytano z karczmy uciekli i w bliskim lesie, resztę z flaszki wypiwszy, spać zamierz yli.

Na tym w lesie noelegu, jeden z tychże zbrodniarzy, choć miał siła pieniędzy, skraść kolegę zamyslał — myślał i myślał i nie mógł zasnąć, a djabeł go podkuszał — ale jakże go okraść, kiedy w trzosie za pasem tamten miał te pieniądze, gdyby go tylko ruszył, wnetby się mógł obudzić, więc o innym sposobie myślał i myślał a oka zmrzyć nie mógł i djabeł też nie próżnował.

I tak sobie tłómaczył: «tamtego zabić, on mnie pierwszy namówił, mnie teraz sumienie dręczy, a on śpisobie spokojnie, musi być zbójca wytrawny, a zbrodnia we dwóch spełniona rychlej się wydać może — jeśli go więc zabiję, siebie uchronię, a ukaram zbrodniarza.»

Na tak słusznych powodach, opierając złe myśli, zgodnie z djabła życzeniem, który mu potakiwał, chrapiącemu kole-dze odebrał życie.

I stał się panem wszystkich pieniędzy, które pielgrzym nadybał twierdząc, że to śmierć, a nie złoto, kijem one okładał, aż je ci trzej zabrali.

I z tak wielkim dobytkiem, wszedł podróżny do miasta, z czarnym swoim sumieniem — lecz dręczony okropnie spełnionymi zbrodniami, aby osłodzić życie, spijał trunki, grał w karty, hulał i tańcował.

A gdy wszystko już przeszło, czarne jego sumienie, jak się spiknęło z nędzą, w łożu kamiennego serca, spłodziły



zbrodniarzowi trującego robaka, a ten tak mu gryzł piersi, smętny umysł zawracał, iż tej doszedł rozpacz, że uciekł z szumnego miasta, a idąc bez celu borem, ostatnią szatą związał swą szyję i na jednej gałęzi chciał się powiesić.

I znowu myślał, i wreście na drzewo skoczył, — ale go zepchnęła silna dłoń — stanął i patrzy — aż tu pustelnik z siwą brodą i laską w ręku, stoi przed nim poważnie, jak święty.

«Grzeszniku,» rzeknie mu starzec — «śmierć znalazłeś z tamtymi — ale nie na tym koniec, przez ciebie niewinność straszny los czeka, bo za tve ciężkie zbrodnie, gościnnie, co wam dał nocleg spokojny, w więzieniu jęczy, na śmierć skazany, gdyż wszystkich jest mniemaniem, że on zabił podróżnych. Ja tylko jeden prosilem Boga, by niewinność ocalił, dobry Bóg mnie wysłuchał zsyłając ciebie w te tu ustronie, gdzie moja puszcza, moja siedziba.»

Uklęknął zbrojca, przed pustelnikiem, wyznał swe grzechy, potem do miasta spieszo pobiegnął, przed sądem siebie oskarżył, który go słusznie śmiercią ukarać kazał.



X.

**TWARZ KRÓLEWSKA.**

---

Zbłądziwszy król na polowaniu, ujrzał się pod lasem bez sług, bez dworzan, sam jeden. — Idąc napotkał jednego chłopca orzącego rolę ciężkim pługiem, a jednym koniem — Wywiedziawszy się król od chłopca o drogę, zapytał go czemu sam orze i jednym koniem, kiedy nie ma parobka, czy nie ma i dzieci, aby z nich które poganiało konia? — a chłop który nie wiedział, że pytający się król był królem, odpowiedział: «Mam ci ja mój panie trzech synów jak sosna w sosnę, ale pomocy do orki z nich mieć nie mogę.

«Czemuż to? zapytał król — a chłop, mając króla za bardzo ciekawego szlachcica, poganiając swojego konia, rzekł: «Jeden jest dziadem, drugi złodziejem, a trzeci zbójcą» — i orał dalej.

«Także, mówił król i szedł przy pługu, a nie lepiej to było w młodości ich zapędzać do roboty, a mieć teraz pomoc i pociechę?»

Chłop właśnie skończył skibę, nowy zawrócił zagon i zawołał prrrr — koń stanął — a on zajrzawszy woczy królowi, tak dalej wężłowato i krótko, rzekł:

«Mój panie, dyć ja dobrze moje chłopaki ćwiczyć kazał, bo mieli i bakałarzy i chodzili do szkoły, wszystko nie było darmo, wyrosli, żyją pocziwie i chwałą Boga; a choć jeden jest dziadem, nie prosi, drugi złodziejem, nie kradnie, trzeci zbójcą nie rozbija.» Potem jał się swojego pługą, wio het! ksobie — i orał skibę.

Król, jako zwyczajnie każdy król, co lubi mądrość, a nawet krotofile i błażenstwa nagradzać, chociaż mu chłop wbił klin w głowę, poszedł za nim i rzekł:

«Gospodarzu, widzę, iżeś człek nie wszkole ćwiczony, ale masz rozum swój naturalny, widzę i to, żeś nie bogaty, zapomoga być się zdała — możemy się więc zgodzić, naprzód masz wiedzieć, że ja jestem od królewskiego dworu, a potem że za swoją gadkę będziesz wynagrodzony, ale byś jej wprzód nie wyjawiał, aż ujrzysz twarz królewską.» — Wreście król, wypytawszy się o imię i siedzibę chłopą, poszedł szukać swych dworzan, z którymi się złączywszy, do miasta wrócił.

Król wyprawił wielki obiad, na który wielu, a wielkich panów zaprosić kazał. — Po skończonym obiedzie, wszczęły się jak zwykle rozmaite gawędy, jeden gadał to, drugi owo, a król tak się odezwał do wszystkich panów gości swoich:

«W tym kraju mieszka chłop, który ma trzech synów, pierwszy z nich jest dziadem, a nie prosi, drugi złodziejem, a nie kradnie, trzeci zbójcą, a nie rozbija; który więc z was panowie gości moich (daję czasu niedziel dwie) wytłomaczy mi, co za jedni ci trzej mogą być synowie chłopą, moją łaską i starostwem udarowany zostanie.»

Łaska króla i starostwo, to przecież nie byle bzduurstwo — schły pańskie głowy nad zgadnieniem, co za jedni są chłopą synowie, ale schły darmo, i choć dwie niedziel mijało, panowie nie wiedzieli.

Jeden szlachetka na dworze króla zostający zapragnął króla łaski i starostwa. Siadł przeto na konia, mówiąc w duchu, muszę być starostą, pojechał.

Ten szlachetka, ma się rozumieć, wiedział, w której stronie i kiedy król jeździł po kraju — a więc objeżdżając i on te miejsca, pytał się wszędy o chłopą, który jest ojcem trzech synów, i chociaż blisko dwie niedziel jeździł, znalazł szczęśliwie czego szukał, to jest owego chłopą, którcmu dawszy pieniędzy pewną summę, upraszał go, aby mu jasnie i dobitnie stan swoich synów wyjawil.

Przeliczywszy chłop pieniądze i przypatrzwszy się im dobrze, powiedział.

«Mam jednego syna, który jest dziadem a nie prosi, bo bo on jest w naszej parafii klechą (\*); drugiego który złodziejem, a nie kradnie, bo on jest organistą, który jak złodziej do dziesięciny i innych datków na kościół w części sprawiedliwie należy, — trzeci mój syn jest zbójcą, a nie rozbija, bo jest doktorem, a doktorzy, bo to czasem i niewinnie i uczciwie nie zabijają ludzi kiedy chorzy ich rad i przepisów nie słuchają, he?»

Tak mu rzecz całą wyłożywszy ojciec klecha, organisty i doktora, pieniądze schował, a szlachetka wsiadł na koń i do domu wrócił.

Mineło niedziel dwie, król swych gości zaprosił, ale żaden królewskiej gadki wytłomaczyć nie umiał. stawil się więc szlachetka ze dworu i całą rzecz jak należy przed wszystkimi, tak, jako się od chłopą dowiedział, odgadnął. — Wnet mu panowie króla łaskę i starostwa winszowali i wszyscy mu prawdę przyznali, jępo sam król nie był bardzo kontent z tego, a pomyślawszy trochę, kazał się gościom zatrzymać, a pancernym sprowadzić chłopą owego ojca trzech synów. Pancerni bezzwłocznie wykouawszy rozkaz króla, chłopą przed nim stawili i tak rozmówil się się król z chłopem:

*Król* — (zgniewem) znasz mię?

*Chłop* — znam.

---

(\*) Przed laty Klech miał swoje znaczenie u parafian, był bowiem przy kościele przy Księdzu, i uczył dzieci, za co wdzięczni parafianie znosili mu artykuły żywności.

*Król* — Pamiętasz kiedyś ci zakazał, byś nikomu nie wyjawiał gadki o swoich synach, dopóki nie ujrzysz twarzy mojej?

*Chłop* — Pamiętam i nie wydałem gadki o moich synach, dopóki nie ujrzałem twarzy królewskiej mości.

*Król* — Jakto? — kiedy?

*Chłop* — (dobywając z kieszeni jeden pieniądz z tych, które dostał od szlachetki, na którym wybita była twarz królewska a spojrzawszy się na króla i na pieniądz, rzekł pokazując go panom.)

O. — Kubek w kubek.

Król uśmiechnął się i za królem wszyscy — chłop był wynagrodzony, a szlachetka został starostą.

---

## XI.

### DJABEŁ I MADRY CHŁOP.

---

Chłop jeden potrzebując pieniędzy, poszedł o północy do czarnego lasu, przywołał djabła, i zawarł z nim o pożyczanie pieniędzy umowę na duszę swoją w tej treści: — że mu diabeł pożyczycy pełną czapkę pieniędzy, a on mu ją odda z czubem, lecz skoro chłop nie będzie miał oddać djabłu owych pieniędzy. odda mu duszę swoją, ale pod tymi warunkami, to jest:

Najprzód termin jak chojna zwiędła w lesie opadnie; powtóre jeśli potrafi świsnąć tak jak chłop; dalej jeśli tak wielki cię-

zar jak on, djabeł wyrzuci w górę, i tak prędko jak on, djabeł biegać będzie.

Śmiał się djabeł z takich warunków, i pewny będąc duszy, kontrakt podpisał — a chłop zabrał pieniądze i poszedł do domu.

Minął rok jeden, djabeł przychodzi do lasu, chojna zielona, przychodzi na drugi chojna zielona, przychodzi jeszcze za pół roku, a chojna zielona.

Rozgniewany djabeł obdarł cały las z chojny, i przyszedł po pieniądze albo po duszę do swojego dłużnika.

Chłop zaprowadziwszy djabła do drugiego lasu pokazał mu zieloną chojnę, ale djabeł, przypomniał chłopu, że nie o ten, ale o tamten las była umowa, i przez to chłop ma mu oddać pieniądze, lub duszę, — bo on (djabeł) jest gotów tak głośno świsnąć, że aż w piekle usłyszą.

«No gwiźnij, gwiźnij,» — chłop rzecze.

A djabeł jak świsnął, z pobliskich drzew liście zleciały, ptaki pierzchliwie uciekły i słychać było jak na wsiach psy wyły. —

Chłop tym czasem robił, obrączkę, a djabeł mu rzekł:

«Porzuć niepotrzebną robotę i gwiźnij głośniej odemnie.»

«Zaraz» — odpowie chłop «tylko skończę tę obrączkę.»

«A to na co?»

Odpowiedział spokojnie chłop:

«Obręcz na twoją potrzebną głowę, bo jak ja gwiznę, a nie miałbyś na swoim łbie tej obręczy, ten choć wielki twardy twój łeb, na półby ci rozpeknał.»

«Nie gwizdaj, nie gwizdaj, kiedy mi łeb ma pęknąć, a cóżby mi ta słaba obręcz pomogła? — prędko wymówił djabeł, a chłop od gwizdania został uwolniony.»

Do skutecznienia drugiego warunku djabeł przyniósł z sobą z piekła ogromną żelazną kulę, i tę jak wyrzucił w górę, obłoki ją okryły i dopiero za godzinę spadła.

«No rzuć wyżej tę kulę» — rzekł djabeł do chłopca — a chłop ciągle patrzył w niebo.

«I czegoż się tam patrzysz, już kula spadła, rzucaj — a chłop na to:

«Bo ja mam brata, świętym kowalem jest w niebie, o patrz, jak on wygląda i kiwa, bym tę kulę mu rzucił.

«Stój, stój — zawoła djabeł, utraciłbyś mi tę kulę, a ja pożyczylem ją sobie u starszego w piekle, dażebym sobie, jeślibym jej mu nie zwrócił» — a zatem i od rzucenia kuli chłop został uwolniony,

«No, to jeszcze jedno» djabeł rzecze, — mamy się *ścigać*, i był pewny że chłopą przegoni,

Ale chłop miał przy sobie zająca, którego pokazując djabłowi, rzekł:

«Na taką bagatelę nie będę się sam fatygował, lecz oto ten nawet mój mały brat przegoni ciebie.

Djabeł obejrzawszy zająca był pewny, że brat chłopą tak małemi nóżkami nie potrafi go *prześcignąć*.

Stanęli więc w równi, raz, — dwa — trzy — i ruszył djabeł jak chmura, a zając kontent że się wyrwał na wolność, uciekł zwyczajnie jak zając, djabła przepędził, a djabeł za nim poleciał, — i nigdy się już o pieniądze ani o duszę chłopą nie upominał.

---

XII.

**TUMEK.**

---

*Następującej powieści opowiadacz, nim zaczął, z takim popisał się zdaniem, (tylko że nie wiem dokładnie, czyli to zdanie jego było oryginalne.)*

*•Zeby każdy człowiek był bogaty, niktby nie wiedział co to jest bieda, azeby każdy był mądry, toby nikogo nie zwano mądrym — i dla tego są bogaci i biedni, mądrzy i głupi, abyśmy wiedzieli, co bogactwo co bieda, co rozum, co głupstwo, — a że się to wszystko na świecie przyda, opowiem o głupim Tumku, bo i on ze swoim głupstwem się przydat.*

---

Miała baba trzech synów, dwóch było mądrych a trzeci głupi. Jednemu było imię Jantek, drugiemu Wojtek, i ci byli mądrzy, a trzeciemu Tumek i ten był głupi.

Chałupa w której siedziała owa baba ze swemi synami, należała do dworu; litościwy pan po śmierci jej męża, który był włodarzem, pozwolił w niej siedzieć jako ubogiej wdowie, dopóki nie wyrosną chłopaki i na nią robić nie będą.

Chłopcy rośli jak na drożdżach, wyrosli jak chójki, ale nie mieli się jać czego, nie było ani zagona, woza ni powroza.



Jantek i Wojtek łowili ryby, łapali ptaki, wykrecali gniazda, i z tego żywili starą matkę, siebie i głupiego brata, który jeno siedział za piecem, jadł kluski albo kaszę jaglaną i nic nie robił.

Stara ich matka od trzech lat leżała w łóżku i chorowała, aż nareszcie jednego razu jedząc pyzę, umarła.

Wrzasnęli z płaczem dwaj bracia Jantek i Wojtek, aż Tumek z przypiecka zleciał i resztę pyzy spucował.

Jak synowie pochowali matkę swoją, pan z chałupy wynieść się im nakazał.

Nie czekając więc aż ich wyrzucą, Jantek i Wojtek sprzedali wszystko co im tylko zostawiła matka, za co zebrawszy trzy talary bite, rzetelnie z głupim Tumkiem podzielić się chcieli — zaś potem uradzili iść w świat szukać szczęścia dla siebie.

Ale Tumek ani należącego mu talara nie przyjął, ani z zapieca wyleść nie chciał, aż przyszedł ekonom, a widząc że się jeszcze wszyscy nie wyprowadzili, drzwi z chałupy wyjął i do dworu zaniósł.

Jantek i Wojtek niemogąc z upartym a głupim nic poradzić, zabrali resztę manatków i poszli w drogę.

A głupi Tumek zważając przecie że to nie żarty, i że z chałupy wynieść się trzeba, wylaź z zapieca, a wyjąwszy drzwi od komory, wziął je na plecy i braci dogonił, — ci ujrzawszy Tumka spytali, na co drzwi od komory zabrał, a on im odpowiedział, iż jeśli gdzie napotkają w drodze chałupę z której drzwi ekonom wyjął, to on swoje drzwi wstawi, zamknie się i wlezie na piec — śmieli się z niego bracia jak zwyczajnie z głupiego, a on dźwigając drzwi na plecach mruczał sobie pod nosem, że przecie żaden ekonom jego drzwi nie będzie miał wzięść prawa.

Wędrując trzej bracia, wstąpili na nocleg do jednej karczmy. Jantek i Wojtek usiedli za stół, kazali sobie dać wieczerzę, a Tumek podług zwyczaju wlaź za piec — niezadługo weszło do tejże karczmy dwóch podróżnych — i przy tym samym stole, gdzie siedzieli dwaj bracia jedząc i pijąc, roz-

gawędzili się wszyscy. Od gawędki przyszło do wódki i piwa — dwaj podróżni byli szczerzy i dwóch braci traktowali.

«Dobre wasze, dobre i nasze, anuże panie gościny! pół kwarty» zawołał Jantek, potym zawołał Wojtek — i pili — ale dwaj podróżni choć mniej od nich pili, bardzo się popili, upił się lepiej Wojtek, zasnął na stole Jantek — aż przecie poczciwy gościny przyniósł słomy, na izbie rozesał i wszyscy się jak należy spać pokładli.

Jantek i Wojtek posnęli jakby zabici — a dwaj podróżni zaczęli z sobą cicho rozmawiać — potem septów przestali i jeden wstał po cichu z posłania, z kieszeni Jantka i Wojtka wybrawszy pieniądze, schował do kieszeni swojej kamizeli, i poszedł spać na prawdę.

Na stole, gdzie śpiący podróżni się raczyli, została reszta w kwaterce wódki i dobra z wieczerzy przekąska.

Z pieca na wszystko patrzył głodny głupi Tumeł, ale odezwać się do mądrych nie śmiał, i dopiero jak wszyscy posnęli, z zapieca wyszedł, wódkę wypił, przekąsił, z kamizeli podróżnego pieniądze braciom skradzione wyjął, do swojej kieszeni schował, za piec wlaź i zasnął (\*).

Dwaj bracia na posłaniu i trzeci za piecem spali smaczno do białego dnia, aż ich gościny zbudził. — Powstali patrzą, a podróżnych z którymi wczora jedli i pili już nie ma, pytają się, powiada gościny, że tamci jeszcze przed wschodem słońca wstali i poszli w drogę, bo mają daleko i pilno. — Żałowali bardzo mądrzy bracia, że się z nimi nie pożegnali.

Czas było iść w dalszą drogę, a wprzód należało za jadło i picie zapłacić, — bo gościny już wszystko zrachował i na pieniądze czekał. — Patrzy Jantek do swjej kieszeni, ani grosza,

---

(\*) Prócz tych z głupia frantów, niniejsza powieść w opowiadaniu zawiera jeszcze inne odznaczające się z niechcenia dowcipem i humorystką, ale ze tłuste i grube, dla zachowania przystojności, opuszczone zostały.

patrzy Wojtek ani grosza, i obces na gościnnego, że tu byli chyba złodzieje, a nie poczciwi ludzie, bo ich skradziono. Gościnnie powiedział, że chyba oni takimi są co nie mają ani szeląga i tylko szukają szczęścia po świecie — od słowa, do słowa pobili się, potem gościnnie ich zwołał od ostatnich i ze swoim sąsiadem z karczmy wypędził.

Szli smutnie dwaj bracia w dalszą drogę, nie mieli ani grosza, nie mówili nic do siebie, na płacz im się zbierało, a za nimi gonił z drzwiami na plecach głupi Tumek brat trzeci — i gdy ich dopędził, zapytał go, jak też z nim gościnnie się obszedł?

„Dał mi półkwartek wódki, i chleba z masłem na drogę, odpowiedział — oni mu nie wierzyli, ale głupi Tumek na prawdę wyjął z kieszeni partykę chleba z masłem i zjadał; czemu się mądrzy dziwili. (\*)

I szli dzień cały o głodzie i noc nadeszła, ale niemogąc wstąpić na nocleg do karczmy bez pieniędzy, uradzili spać w lesie do którego wchodzili.

Gdy stanęli w środku gęstego boru, dwaj mądrzy bracia zmęczeni drogą i snem, a najbardziej głodem, chcieli odpocząć — ale miarkując sobie, że skoro w karczmie ich skradziono, w lesie złodzieje z odzienia mogą ich obedrzeć, a zbrojcy zabić, więc jako mądrzy uradzili, iż gdyby się mogli wdrapać na drzewo i zanocować, od rabusiów i złodziei bezpiecznemi będą.

Wybrali więc jeden wielki rozłożysty świerk za miejsce swojej gospody, na który łatwo dwaj mądrzy dostawszy się, na gałęziach łożyska jakie takie urządzili; głupi Tumek ledwo że się wdrapał, bo mu przeszkadzały drzwi, które za sobą dopoty ciągnął, aż je wewłókł na drzewo, na gałęziach spartł i przy nich się położył.

Kieź się tak usadowili podróżni trzej bracia, pod to samo drzewo przybyło dwóch ludzi — jeden głośno na pal-

---

(\*) Opowiadający dodał nawiasem: że ma się rozumieć głupi Tumek za wszystko w karczmie zapłacił

each gwiznął, i po chwili przyszło trzech, potem jeszcze któryś gwiznął i przyszło czterech — jedni wiedli ciele, a drudzy różne nieśli rzeczy. I ci ludzie rozpalili ogień prawie pod owym świerkiem, ciele zabili, ze skóry obdarli, wyprawili, na wielką tykę wsadzili, i jakby na rożnie piekli. — Z rozmowy tych ludzi poznali trzej bracia na drzewie siedzący że to są zbójcy, i cieszyli się dwaj mądrzy, iż przed nimi są bezpieczni, głupi zaś narzekał że tak mu dymią pod sam nos, że już wytrzymać nie może i musi nietylko kalsznąć ale i kichnąć, prosili go mądrzy, aby zatkał nos i gębę, jednak nic pokurać z nim nie mogli i głupi krztuszając się kilka razy tak dziwnie kalsznął i kichnął, że zbójcy myśleli, że jakiś ptak nocujący na drzewie od dymu wytrzymać nie może.

Uspokoił się mądrzy bracia z takowego mniemania zbójców, a głupi począł narzekać, że jak wiatr wionął drzwi na gałęziach wsparte obsunęły się i byłyby zleciały gdyby ich nie zatrzymał, ale tak mu już ręce zemdlały, że dłużej dźwigać ich nie może — i prócz tego tak rzewliwie zajęczał, że aż zbójcy, którzy jedli, pili i rozmawiali, usłyszeli, a jeden z nich rzekł, że to nie ptak na gałęzi, ale coś złego nad nimi dyszy. Zwyczajnie *na złodzieju czapka gore*. — Zważali więc zbójcy, czyli jeszcze nie usłyszą czego, — głupi Tumek znowu na pół z płaczem dwa razy jęknął — zatrwożyli się zbójcy, a dwaj mądrzy bracia drżeli od strachu — i mówił jeden do drugiego, jak to wszystko się wyda i zbójcy poznają że to my na drzewie ich straszemy, to nas pewno tak obedrą jak to ciele co się dopieka na drewnianym rożnie — uradzili zatem między sobą, aby głupiemu dopomódz drzwi przytrzymać, ale ta rada na nic się nie zdała, bo jak tylko jeden z mądrych sięgał ręką do drzwi chcąc je przytrzymać, już je głupi upuścił, i wielkie okute drzwi padły na ognisko, około którego zbójcy siedzieli, ogień natychmiast przyduszony zgasnął, węgle, głównie i popiół, zasypały zbójcom oczy, twarz i ręce poparzyły, a odzienia zatliły.

Przestraszeni zbójcy zerwali się i uciekli, zostawiając co tylko z sobą mieli a nawet i wielki trzos pieniędzy — a głupi zląwszy z drzewa, co tylko miał gardła krzyczał; héj! łapaj trzymaj! bierz go! wiąż go! kuj go!! — co zbójcy słysząc, jeszcze dalej uciekali. Zaś głupi Tumek zaświecił sobie szczypą, trzosem pieniędzy się opasał, drzwi z ogniska uprzął, wódki się napił, dopieczone ciele z popiołu obrał, kawał sobie ukroił i smaczno zjadał — dwaj mądrzy bracia jego głodni jak psy, zleźli także z drzewa, wódki golnęli, z połowę cielaka zjedli, a gdy kości dogryzali, mówili sobie: dobrze ten głupi zrobił — a głupi nic nie mówił, — potem wszyscy spokojnie w krzakach się pokładli i do dnia spali.

Jak do dnia spali, tak się wyspali, wstali i mądrzy dwaj — chcieli iść dalej, głupi zaś Tumek powiedział, że nigdzie już nie pójdzie, jeno do tej chałupy w której się zrodził i szczęśliwie na piecu siedział — a bracia wspomnieli o ekonomie, na co on odpowiedział, że jak przyjdzie ekonom, to mu tym workiem pieniędzy zatka gębę — a gdzie są jakie pieniądze? zapytali go mądrzy: O! — rzekł pokazując na swój brzuch, który opasał trzosem pieniędzmi napełnionym. — Ha! to i chwala Bogu, powiedzieli mądrzy, — z głupim bratem do domu się wrócili, chałupę zapłacili, grunta kupili. potem się poženili i wszysey byli szczęśliwi.



### XIII.

## KLAMSTWA NAD KLAMSTWAMI.

---

Zamożny pan lubił gądkę, i dla tego wszędobylskie trzymał sługi. — Słudzę, który umiał wiele rozpowiadać o dawnych dziwach, dobrze było u zamożnego pana, ale tylko dopóty, dopóki się sługa ze wszystkiego co umiał nie wygadał; — a gdy już sługa nie miał panu do opowiadania, czyli powtarzał przez niego słyszane historye, albo też prawił rzeczy nie zbyt dziwne i do prawdy podobne, zamożny pan, zaraz takiego sługę odprawiał i na jego miejsce nowego przyjął.

Z tych to przyczyn zamożny pan często sługi odprawiał, aż trafił na jednego franta przedpokojowego wyjadacza, któremu było imię Spitosław a nazwisko Podpączyk.

Razu jednego miał pan wiele na obiedzie gości, dla uciechy których i swojej satysfakcyi wygadanemu Podpączykowi różne historye przy jedzeniu kazał opowiadać.

Krotofilny Podpączyk z pięćdziesiąt powiedział ucieśnych facecyy lub dziwnych gadek, ale przy końcu żadna się panu nie podobała, bo za ukończeniem każdej historyjki, utrzymywał pan, że takowa podobna jest do prawdy, a więc musiało być takie zdarzenie, a o zdarze-

niu lub wypadku w jednem miejscu wynikłem, wiedzą ludzie na dziesięć mil w około — więc rzekł pan do Podpączyka.

«Znudziłeś mię mój bracie, szukaj sobie służby, albo mi rozpowiadaj dziwy nad dziwami.»

«Nie trudnego» — odpowiedział Podpączyk.

«Kiedy ci nic trudnego» — rzekł znowu pan kładąc na stole niezgorszy wór pieniędzy, — «patrzaj, ten oto worek będzie twoim, jeśli mnie i gościom moim opowiesz coś takiego, co być nie mogło, o czem ja sam powiem, że nie było, zadam ci wyraźne kłamstwo, i żeby mi to każdy przyznał, — a jeśli nie wiesz nic podobnego, oddał się ztąd natychmiast, bo jeśli się podejmiesz, a to nie będzie według rozkazu, każę cię ekonomowi wychłostać i od siebie wypędzę.» —

Dobrze panie, przystaję na te wszystkie warunki i zaczynam historią» — śmiało odrzekł Podpączyk i zaczął następnie opowiadać historią swojego, życia, a pan i goście ciekawych nadstawili uszów:

#### HISTORIA SPITOSŁAWA PODPĄCZYKA.

*Podpączyk.* Urodziłem się na drugim końcu świata, za morzem w mieście stołeczném Grządzielewie...

*Pan.* (do gości) albo to na drugim końcu świata nie może być takie miasto?

*Podpączyk.* (jakby nie zważał mówi dalej) Ojciec mój był Książęciem a matka szewcową, którzy mię spłodzili w czasie cudownej przemiany księżnej i szewcowej.

*Pan.* (do gości) Słyszałem podobną historią i sam onę kadencją wydrukować kazałem, a on mi to za nowość i dziwy chce prawić — podobno będzie chłosta....

*Podp.* (mówi wciąż) Ale po odwrotnej odmianie, księżna była księżną, a szewcowa szewcową, przez co ja zostałem na koszu, ni książęciem ni szewczykiem.

*Goście.* (śmieją się).

*Pan.* Oczywiście.

*Podp.* (dalej) Łitościwi zwali mię sierotą, a złośliwi wydrzeźniacze bęk....

*Goście.* (znowu się śmieją).

*Pan.* Ma się rozumieć, bardzo słusznie, nic dziwnego.

*Podp.* Najbardziej dokuczał mi jeden pastuch trzody zowiący się Dobrogost....

*Pan.* Imię mojego dziada, — hm — *albo to jednemu psu tysek.* (\*)

*Podp.* Niemogąc tego wszystkiego wytrzymać i wzięwszy się nasamprzód, na tego wisusa Dobrogosta, zbiłem go *na leśne jabłko.* — Potém nakręciwszy mu karku pobiegłem nad morze, a w złości i rozpaczy (*poprawiając do góry włosów na czole*) uchwyciwszy się za moją czuprynę, na drugi brzeg przerzuciłem się.

*Pan.* No, trochę śmiesznie — ale może być i nic nowego, bo przecież w tysiąc dni i jeden, są historye o czarownikach, którzy po powietrzu na wozach latali.

*Podp.* Jakem się na drugi koniec morza tym sposobem przerzucił, naturalnie, padłem wznąk i musiałem cokolwiek odpocząć,

*Pan.* *Chłop z dębu spadnie a odpocznie* — cóż dopiero?...

*Podp.* Po odpoczynku, przyjąłem służbę u jednego wielkiego pana, do paszenia jego pszczoł.

*Pan.* Nic dziwnego, głupiś — nawet głupszy od podstarościego malca, który cukrem pasie muchy — ale kończ, kończ swoją historyę, lecz o dziwach, o jakich rozpowiadać miałeś, bo inaczej ekonom ją dokończy.

*Podp.* W tej atoli służbie wielkie przytrafiło mi się nie-szczęście, bo kiedyś się razu jednego zagapił na palące się pieniądze, których dostać miałem chrapkę, z bliskiego boru wilki porwali mi jedną pszczołę i uciekły.

*Pan.* *Dobra psu mucha kiedy nie ma chleba* — wilk może był głodny, zjadł pszczołę i koniec — ale on bredzi, brak

---

(\*) Dawne przysłowie.



mi cierpliwości — zawołać ekonoma, niech mu sto hanajów ognistych wypali.

(Goście proszą o kilka chwil zwłoki, pan daje się nakłonić).

*Podp.* (prowadzi swoją historią) Mój pan właściciel pszczoł, był okropny złośnik, batożył ludzi, a żydów, strzelał jak lisów — nie mogłem się spodziewać żadnej łaski za niedopilnowanie pszczoł jego — więc pobiegłem czemprowadzaj do lasu szukać porwanej pszczoły, i zaraz ujrzałem na wierzchołku jednej choiny, jak ją wilcy rozdzierali.

*Goście.* No — niezgorzej.

*Pan.* Gdzie tam, nic dziwnego, bo to może były wilkołaki, a wilkołak jak zły duch, co zechce może dokazywać, nic mu też trudnego wleść na sosnę, gdzie nietylko pszczołę, ale i wielbłąda ma siłę na sztuki podrzeć.

*Podp.* W oka mgnieniu wlałem na sosnę i gdy byłem w połowie do wierzchu, jakim zatrząsnął, moje wilki jakby gruszki na ziemię spadły i nie wiem gdzie uciekły.

*Pan.* Nie powiedziałem, to Wilkołaki, nic dziwnego.

*Podp.* Pszczoła na dwie połowy rozdarła, do swoich poleciała.

*Pan.* A przecież i chrząszcza na dwie połowy przeciąć, to dość długo żyje i lata — to nie żadna osobliwość — a ja już nie mogę wytrzymać, i gdyby nie dostojni goście moi, którym przyobiegałem moment cierpliwości, tobym cię kazał nie na dwie połowy, ale na sztuki kańczugiem krajać.

*Podp.* Jak pszczoła uciekła, i ja chciałem zejść z drzewa, lecz w tym spostrzegłem niepodobieństwo tego wykonania, bo sosna była zupełnie gładką, i prócz tego przekonałem się, że był bliżej nieba jak ziemi — wybierając z dwóch jedno, wolałem dostać się do nieba, niżeli na ziemi kark skrócić.

*Pan.* Gust miałeś nie zły — ale co po psie w kościele kiedy pacierza nie mówi?

*Podp.* Zasztukałem do nieba — Święty Piotr, choć bardzo poważny dobry staruszek, i chociaż drzwi otworzył, wpuścić mię nie chciał — zatem myślałem nad fortem za pomo-

ęą którego mógłbym się tam wkreślić, że zaś tego dokazać nie mogłem (\*) postanowiłem wynagrodzić sobie za moją pracę, aby przynajmniej mieć pamiątkę z nieba. W przedpokoju niebieskim przy drzwiach leżała na stołku piękna czapka, którą zaraz świsnąłem, bo moje wówczas czapczy-sko, zupełnie się styrało — potem skręciwszy ze słomy po-wróśło, na dół spuszczać się zacząłem.

*Pan.* Wszystko nic dziwnego chociaż długo słuchołem, dalej — baty — i fora ze dwora.

*Podp.* Zaraz skończę hojny panie.

*Pan.* Czekam chwilkę, więc mów prędko.

*Podp.* (mówi prędczej) Kiedym się spuszczał owym po-wróśłem, co moment musiałem u góry zrywać, a u dołu sztu-kować — przez co tyle narobiło się węzłów, że gdy już nie-podobna było je związać, nadto mniemając, że już nie zbyt wysoko jestem od ziemi, puściłem się na dół, ale z tak wielkim z wysokości leciałem pędem, iż wpadłszy w ziemię na trzy sążnie głęboko, na żaden sposób wyleść z tamtąd nie mogłem, aż zmuszony zostałem udać się, do w bliskości mie-szkającego grabarza, który gdy mi rydla pożyczył, szczęśliwie odkopałem się.

*Pan.* Więc już koniec — a nie dziwny — dalej chłosta, bierz go.

*Podp.* Chwilkę panie — a ja skończę.

*Pan.* No — minuta — za minutę, łozy, baty.

*Podp.* Dobrze panie — (mówi dalej dobitnie).

Kiedy tak sobie szedłem po odkopaniu, patrzę, aż tu zaraz za przykopą jakaś znajoma mi figura wieprze pasie — choć go je-szcze od razu nie poznałem, grzecznie się pozdrowiliśmy i gdy się ze mną rozgadał, przyznawszy się, że był bar-dzo biedny, do tego stopnia, że nawet czapki nie miał — a ja przypomniawszy sobie, że moją starą czapkę mam pod pa-

---

(\*) Według innych był w niebie i grał tam w karty.

chą i jest mi niepotrzebna, takową mu podarowałem, a gdyśmy się lepiej poznali, dowiedziałem się, że ten ubogi skotak, to był ów Dobrogost dziad JWPana.

*Pan.* Kłamiesz łotrze — baty, łoży — zawołać ekonom — a to hultaj — (do gości) no proszę, mój dziad, od dziadów i pradziadów, był panem z panów — wie o tém cała okolica, a ten niegodziwiec.... sto kańczugów, dwieście łożów....

#### Z A K O Ń C Z E N I E.

Kiedy zamożny pan tak wielkim był przejęty gniewem i pałał zemstą za swego przodka — Podpączyk *capnął* worek z pieniędzmi, a goście przyznali, że powiedział historią składającą się z kłamstw nad kłamstwami, — Po skończeniu której pan jego, najmocniej zadał mu to kłamstwo — więc po dokładnem zrozumieniu rzeczy i przypomnieniu swoich warunków śmiejąc się do rozpuku, krotofilnemu Podpączykowi według umowy darował pieniądze i przy swym dworze do śmierci go zostawił.



XIV.

# JAMUŻNA.

Szedł ubogi dziadek przez wieś po prośbie i wstąpił do Błazkowej. — Ale Błazkowa tak była skąpa i chciwa, że kawałka suchego chleba nie dawszy dziadkowi, jeszcze go ofuknąwszy z izby wypędziła, nie rzeknąwszy nawet: *izby go Pan Bóg opatrzył*; dziadek po prośbie od chałupy do chałupy chodził, i jak wyszedł od Błazkowej, poszedł w podle do Janowej.

Janowa to była dobra i miłosierna kobieta, jak jeno ujrzała ubogiego dziadka, zaraz dwa głonki chleba, dopiero dzieciom masłem posmarowane oderwała od gęby i onemi dziadka obdarzyła, mówiąc: *by go Pan Bóg czém lepszym wspomógł, bo ona jest biedną i nic więcej nie ma w chałupie.*

Bóg zapłać miłosierna kobieto, oby cię Bóg w dziesięcioro obdarzył, obyś twoje nagie ogarnęła dzieci i była szczęśliwą, *a jak co zaczniesz dziś robić, byś do zachodu słońca ledwie skończyła.*

Tak wychodząc, mówił ubogi staruszek.

«Bóg zapłać, — Bóg zapłać!» — za błogosławieństwo dziękowała Janowa, — ale wszystkiego, co dziadek mówił do brze nie zważała i nie rozumiała. (\*)

---

(\*) Nadmienić tu wypada: iż gmin utrzymuje, że owym dziadkiem był Święty Piotr Apostoł.

Janowa, biedna była kobieta i do tego wdowa, miała dwoje dzieci, które żywiła z wyrobku, gdy ubogi dziadek od niej wyszedł już było po południu, a jej dzieci nie jadły jeszcze obiadu, ani na wieczera nic dla nich nie miała.

Biedna Janowa dostała na wiosnę od Błażkowej trzy zagony lnu, za które wiele dni ciężko odrobić musiała — ale odrobiła; len sobie zebrała, zmoczyła, omiażliła, wycesała, przędła, wszystko jak należy sama zrobiła i z tego lnu zrobił jej tkacz ze dwadzieścia łokci płótna — i to płótno cały swój majątek chowała na zimę, na koszule dla dzieci i dla siebie. —

Jak ubogi staruszek od niej wyszedł, taka była w domu *bieda, że ani utnij siekiera* (\*) dzieci jeść płakały, i jej się na płacz zbierało.

Nie wiedziała co począć, aż przyszło jej na myśl zanieść na sprzedaż do żyda z kilka łokci płótna i kupić chleba i soli. Jęła się więc do mierzenia tego płótna — dzieci się uspokoiły, a ona mierzy i mierzy, co wyciągnie na łokieć, mierzy bez końca, mierzy i mierzy i do zachodu słońca płótno mierzyła.

Ze swoich dwódziesięciu łokci, tysiące łokci płótna namierzyła.

Uradowana, podziękowała naprzód Bogu, a iżby czem prędzej posilić dzieci, nie chciała bieczyć nakoniec wsi do żyda, więc wzięwszy kilka łokci płótna, sprzedała go Błażkowej, prawda że za *psie pieniądze* (\*\*), ale cóż miała robić, kiedy jej dzieci były głodne.

Na drugi dzień w mieście był jarmark, Janowa poszła ze swoim płótnem, a że jej płótno było dyktowne i gładkie zapłacili jej dobrze, — i tak Janowa z przeróżnemi rzeczami i *tegin* workiem pieniędzy z jarmarku powróciła do domu,

---

(\*) *Ani utnij siekiera* (taka bieda) przysłowie używane, kiedy w domu tak dalece nic nie masz, że nawet siekiera nie byłoby co porąbać.

(\*\*) Wyrażenie ludu, rozumieć wypada: *za marną zapłatę*.

Nie zadługo poczciwa Janowa kupiła sobie dwie krowy kawałek pola i łączkę, przyjęła czeladkę, chwaliła Boga i pracowała.

To szczęście Janowej, nie było rażne Błażkowej, a choć z sobą teraz często jadły i piły, a nawet się pokumały, Błażkowa nie była zawsze Janowej szczerą.

Jednego razu przy kieliszku wódki dopytywała się Błażkowa Janowej, jakim też to ona sposobem przyszła do swjej chudoby i gospodarki? — A Janowa, jak było wszystko z początku, jak do niej przyszedł po prośbie dziadek, jak mu dała oderwane od gęby dzieciom dwa glonki chleba, jak on jej pobłogosławił i prosił Boga, jak ona tego nie zważała, jak potem dzieci jeść płakały, jak ona chciała na chleb i sól płótno do żyda zanieść, jak to płótno mierzyła do zachodu słońca, wszystko, wszystko, wiernie Błażkowej opowiedziała.

Błażkowa pijąc do niej wódkę, kiedy wysłuchiwała, rzekła:

«O moja kochana kumo, żebyście wiedzieli, jaka też to i u mnie czasem bięda, bo to i ja mam dzieciśka, a mój wystarczyć nie może, a choć i oboje pracujemy, to wszystko jeno się zje — o moja kumo, jeśli ten dziadek do was kiedy zajrzy, powiedzcie mu też, niech i do mnie wstąpi.»

Janowa dobrze każdemu życząca kobieta, Błażkowej odpowiedziała:

«Moja kumo, jeśli go Pan Bóg do mnie ześle, bądźźta pewna, że go będę prosić aby was nie minął.»

Błażkowa jeszcze kazała dać po jednym, potem się całowały, ścisnęły i rozeszły.

Od owego czasu może upłynął tydzień, a może nie, szedł dziadek przez wieś, ten sam dziadek co dla Janowej o szczęście uprosił Boga i wstąpił do niej; — ona kobiecina nie wiedziała gdzie go posadzić, dziękowała mu, raczyła go i obdarzyła, — a kiedy dziadek polecał ją Bogu i wychodził, prosiła go, by jej kumy Błażkowej nie minął — a dziadek przyobiecał, że jak będzie z końca wsi wracał, to i do niej wstąpi.

Szedł ubogi dziadek z końca wsi po prośbie, z daleka przez okno ujrzawszy go Błażkowa, nasmarowała swoim dzieciom po głonku chleba, a kiedy dziadek wstąpił do niej, ona czémprędzej poodrywała im chleb od gęby i ubogiemu dziadkowi oddała.

«Bóg zapłać» rzekł dziadek: «abyś, jak co zaczniesz robić, do zachodu słońca ledwie skończyła» — i wyszedł.

Błażkowa mając naszykowane płótno do mierzenia, już wyciągnęła z kąta łokieć, i już, już mierzyć miała, kiedy dzieci pięć zawołały i jej się samą strasznie pięć zachciało — aby nie stracić wiele czasu, na *jednej* nodze pobiegła do źródła z konewką po wodę, ale jak przyniosła konewkę, pobiegła po drugą, jak przyniosła drugą, pobiegła po trzecią, czwartą, dziesiątą, i tak do zachodu słońca bez potrzeby wodę nosiła.



XV.

**ZEMIR.**

Wszedłszy macocha do komory, ujrzała w kącie siedzącą swoją pasierbicę, która ocierając oczy fartuszkim, schyloną mając na piersi głowę, cicho, a ciężko płakała.

•*I ty szkaradne plemie, będziesz tu jeszcze ściany chałupy zagłuszać obmierzłym krzykiem;— trzy dni się krzywisz, becysz i becysz, a mnie już trudno wytrzymać— ani roboty, ani posługi i czegoż możesz te gębę? Żal jej braciszka... ona siostrzyczka... do djabeł, to dwa;— a więc leć za nim, goń go po świecie, kiedy nie umiał szanować chleba u tak wielkiego naszego pana— źle mu tam było? — oj łatwo brykać pańskim obrokiem.*•

Tak mówiła macocha, a dziewczyna płakała i nie mogła się utulić.

•*Ha, bierz cię djabli, leć na siedem wiatrów*• — zawołała w złości macocha — i okładając dziewczynę pięścią, za drzwi wypchnęła, a klnąc i łając, zapowiedziała jej wyraźnie, że jak się wróci to ją zabije.

Zbita, wypchnięta z domu, w którym się urodziła, biedna sierota, rzewnie płacząc szła w pole, w pole? — nie, — szła gdzie ją prowadziły złane łzami żrenice.



Księżciu przed laty umarła młoda i piękna żona, a pozostała się jedynaczka córka, *jakby z matki zdjął skórę*. (\*) — Księżniczka dorosła, ojciec chciał ją wydać za mąż, ale szukał dla niej stósownego rodu męża.

Książę był to człowiek pan z panów, nie lada z kim jadł i pijał; chciał więc by jego córka poszła za takiego, któryby nie miał tylko coś gdzieś i nie był tylko czemsiś — a panna jak na złość miała w prawdzie ładnego, lecz podług ojca, gołego i nic dobrego amanta.

Z dała pałacu księcia w ubogiej chacie żył poczciwy wieśniak, któremu gdy wczesnie umarła żona zostawiwszy dwoje drobnych dzieci, aby je wychować ożenił się z drugą — ale druga żona to nie pierwsza, — *pierwsza tylko na tamtym świecie stanie przy boku męża, druga zaś, trzecia i reszta innych, zostaną w tyle*. (\*\*)

Poczciwy wieśniak, nie miał szczęścia z drugą żoną, była ona złośnica, poniewierała jego dzieci, czego biedak nie mogąc wytrzymać, umarł, a macocha cały dobytek zagarnąwszy dla siebie, zapomniała o dzieciach, które jej pozostawił.

Książę pan litościwy po śmierci poczciwego wieśniaka wziął Janka starszego od Anki do swego domu, i bardzo tam Jankowi dobrze było, tak dalece, że miał wolność zanosić reszty z pańskiego stołu swej siostrze, którą macocha głodem morzyła.

Dobrze z tém było macosze, dla tego udawała że bardzo kocha Janka, a Janek też co mógł, to poddawiany przez macochę do domu znosił. — Skarżyli go dworscy, ale książę był dobry i Burgrabia *przez szpary na to patrzył*.

Byłby Janek do śmierci u dobrego księcia, ale jak się dowiedział książę, iż jego córka miała tajemnego, owego

---

(\*) Gminne zastosowanie podobieństwa.

(\*\*) Sąd ludu.

nie po jego myśli amanta, o którym wiedział Janek, okropnie rozgniewany, pannę córkę zamknął na wieży, a Janka jako niewdzięcznika ze dworu wypędzić kazał.

Dla tego to siostra biednego Janka w komorze płakała, a macocha izby ją nie żywiła, przez ojca zostawionym jej chlebem, gdy już nie było Janka we dworze, który znosił do domu, chleb, mąkę i kaszę, wypędziła dziewczynę.

Tym to sposobem brat i siostra ubogie sieroty, na szeroki świat wypędzeni, nie mieli się gdzie podziść, nie mieli rodziców, ni krewnych, jedno poszło w jedną, a drugie w drugą stronę — czy się też kiedy zejda?!

---

Idąc Anka polem weszła w bór, a bór był gęsty i wielki, a w tym borze mieszkali zbójcy. Dziewczyna zgubiła drogę i zbłądziła — szła, gdzie ją niesły zalane łzami źrenice — lecz noc nadeszła — sierota szła dalej i ujrzała zdala światełko, a doszedłszy gdzie błyszczało, stanęła w progu niskiej chałupy, stanęła i zaszukała: «Kto tam?» odezwał się chrapliwy głos w chałupie — «uboga sierota, przez macochę wypędzona z domu, prosi o nocleg» — odpowiedziała Anka.

Otworzyła jej drzwi stara babina świecąc zapaloną szczy-pą (\*) i wprowadziła do izby.

«Jakżeś ładna i młodziuchna» mówiła stara baba do ubogiej dziewczyny, «dziwno mi żeś wypędzona z domu, ale wierzyć ci muszę, bo te łzy w twoich oczach są prawdziwe, jednak po cóżeś tu przyszła? po śmierć? — ja mam dwónastu synów zbójcami, oni tak ludzkiej krwi chciwi, jak sam wilkolak — przyjdą i zamordują cię.»

«O moja matko, ratujże mię niebogie!» — błagała dziewczyna matkę zbójców.

«Dobrze biedna dziecino, wleź pod komin, a ja cię okryję popiołem, by ten najstarszy krwiożerczy syn mój, który jest hersztem cię nie zwąchał.»

---

(\*) Drzazga czyli luczywo.

Wiaźła dziewczyna pod komin, zbójcka matka zasypała ją popiołem, a jeden ze zbójców wszedł do izby.

«Matko, był tu ktoś u was, *bo człeczka dusza śmierdzi.*»

«Mój synu, był ubogi kaleka po prośbie, dałam mu chleba i poszedł.»

«Złe matko, złe — ten ubogi kaleka po prośbie, mógł być przebrany ciarach (\*) na zgubę naszą zesłany — nie wpuszczając więcej ubogich do domu, choćby umarł z głodu przy progu.»

Przyszło potem dwóch zbójców i obydwaj mówili, że *człeczka dusza śmierdzi* — dalej weszło trzech, czterech i wszyscy zgodnie utrzymywali, że *człeczka dusza śmierdzi*, a matka wszystkim jednako się tłumaczyła; aż przybył ostatni zbójca najstarszy ze wszystkich braci herszt całej bandy i zaraz krzyknął:

«Cóż to? *człeczka dusza tu śmierdzi*, tu w tej stronie koło komina, ot pod kominem, za popiołem, i schyliwszy się, wyciągnął z popiołu za włosy ubogą nic nikomu niewinną sierotę.

---

Wypędzony Janek z pałacu księżęcia, szedł, gdzie go prowadziły oczy, a przebywszy długą i trudną drogę, przywalony smutkiem, udręczony letniego dnia skwarem, usiadł na błoni pod pełną gruszą — obfity pot kroplisto padając z czoła zlał mu twarz, piersi, ramiona — nie mógł odetchnąć.

Zaszumiła liściasta grusza, miły wietrzyk ożeźwił biednego wędrowca, a młodzieniec do anioła prawie podobny, stanął przed nim.

Janek się zerwał, a ogarnięty swobodniejszą myślą, jakby przeczuwał, że dobry duch przy nim stoi, rzekł:

«Zlituj się o panie nademną, gdybyś wiedział, jak jestem nieszczęśliwy!» — odpowiedział młodzian:

---

(\*) Zawistny gmin na szlachtę, zowie ją *ciarachami*.

•Biednyś, to prawda, — lecz siostra twoja biedniejsza, — ona w śród zbójców gorzkie łyzy leje, twarz ociera popiołem, a może za chwilę krew jej popłynie. •

Janek załamał ręce, i słowa nie mógł wyrzec, a młodzian dalej mówił.

Na skrzydłach, które ci daję, biegnij w te bory sinym błękitem odziane, tam w głębi kniei, znajdziesz siedzibę dwónastu zbójców, załadaj od nich twój siostry, a ja ci wreszcie pomogę. •

Zaszumiała liściasta grusza, miły wietrzyk orzeźwił biednego wędrowca, i młodzian zniknął.

A Janek leci na skrzydłach w bory sinym odziane błękitem, leciał i leciał, i ku północy śród boru ujrzał z daleka światelko, i doszedłszy gdzie błyszczało, stanął u progu nizkiej chałupy, i nie zasztukał, bo choćby pięścią walił w ściany, niktby go nie usłyszał, tak straszny wichur z djabelskim tańcem zawył i trząsnął knieją.

Janek wchodzi do izby, zbójcy truchleją, wywleczona za włosy, nie nikomu niewinna uboga sierota, ze złożonemi rękami na klęczkach błaga zbójcy litości.

•To siostra moja!• — krzyknął brat Janek, a wichur z djabelskim tańcem zawył i trząsnął knieją.

Janek ją bierze za drżące dłonie, ona braciczka poznaje, tuli się pod jego ramię — zbójcy posepni do koła stoją, żaden swęj palki wzniesić nie śmie, spoglądają na herszta, herszt błednieje — a wichur z djabelskim tańcem zawył i po raz trzeci wstrząsnął knieją.

Wtedy Janek wyprowadził swą siostrę z chaty, a ująwszy ją pod ramię, pod liściastą zaniósł gruszę, gdzie spoczęli, i sen zawarł ich powieki.

---

•Dwa obłoki się starły, trzask obudził uspiomych, na śnieżystym posłaniu, pod niebieską powatą spoczywały sieroty,

brat na jednej, siostra na drugiej stronie im nieznaną komnaty.

A komnata szeroko ciągnęła się w cztery końce, a ścian oko nie przejrzało.

Na wyniosłym jakby tronie siedział starzec siwo-brody okryty szatą mglistą wiewającą jak chorągwie. Przy podnożu stało kilku w różnych szatach, które im się w różne strony powiewały.

«Gdzieś bywał?» rzekł tronowy, do jednego, zapytany odpowiedział:

«Ja północny, dałem ciągle z mojej strony, przebiegałem ocean, stepy, morza i pustynie, zatopiłem trzy okręta, zasypałem karawany.»

«A ty wschodni?» — rzekł tronowy, — zapytany odpowiedział:

«Dałem ciągle z mojej strony, przebiegałem lasy, bory, stare dęby poskręcałem, pożar miasta podniecałem, drzewa sadne i parkany w poniewierkę przewróciłem, aż w chatach szyby brzęczały i ptaszyny potruchnęły.»

«Południowy, cóżes robił?» znowu zapytał tronowy, — zapytany odpowiedział,

«Z skwarem słońca spiekłem zboża, wysuszyłem wód koryta, rolnik smętnym patrzy okiem, na swe łąki na swe niwy, ryby, żaby zeschnęły w piasku.»

«Ty zachodni, gdzieś bywał?» zapytał dalej tronowy, zapytany odpowiedział:

«Jak wiadomo tobie panie, po owej morskiej burzy, miałem wprawdzie wypocznienie, lecz zdarzyła się robota, i tej nocy po nad borem sinym błękitem odzianym, djablim tańcem zaszumiałem, na postrach tamecznych zbójców; o co wyznam szczerze panie, prosił mię Zefir.»

«A gdzie Zefir?» spytał się w końcu tronowy; — tylko co wszedł i powiedział:

«Jestem panie.»

«Gdzieś bywał i tak długo?»

«Naprzód przebiegłem bujne łąki i ogrody, orzeźwiłem tysiąc kwiatów, z ranną rosą milion róż wzniosłem łona wędniejące — szumiałem strumykami, nachylałem tulipany, wędrowników moim wiewem z trudów, z potu ocierałem i nareszcie powiem szczerze, mą księżniczkę zbyt na wieży udręczoną i kochanka pod tą wieżą, od niłości palonego, ochładzałem.

«Wszystko nie źle» rzekł tronowy, ale po co ludzkie plemie tu sprowadzasz?» — odpowiedział zapytany:

Oni na poły uspieni, co dziś widzą, przeczytają za marzenia, a są godni tej litości, bo sieroty wypędzone, opuszczone i nikomu nic nie winne. Ona cierpi przez macochę, a on jej brat, że był szczerym powiernikiem wzajemnej sobie pary.»

«Zawsześ trzpiotem, ciągle tylko, to królowna, to księżniczka, to leśniczy, to pasterka — lecz rób co chcesz, tylko mi tu śmiertelników nie sprowadzaj.»

Po tak surowym zakazie, roześmiał się tronowy i skończone posiedzenie — zaś wiatry, do takiej roboty, jakie miały przeznaczenie rozleciały się po świecie, a ludzkie plemie z komnaty, co szeroce ciągnęła się w cztery końce, z śnieżystego posłania, z pod niebieskiej powały, poszło na padół ziemski.

---

Myślałby kto że to wszystko trwało dzień, dwa, albo dziesięć — a to lata przeminęły.

Gdy te lata przeminęły, zła macocha już nie żyła, książę stary także nie żył — tylko piękna córka jego, w pałacu starego księcia żyła z dziarskim swoim mężem.

Kiedy byłem w tym pałacu, Anka złoconą kołyskę chwirutala zgrabną nóżką, a Janek był burgrabią i miał żonkę jak anioła i wszyscy byli szczęśliwi.

---

XVI.

**KOCHANIE.**

---

Zakochała się dziewczka w parobku okrutnie i szczerze — parobek zaś ją zbywał obietnicami i nie zenił się — aż zaprzestał u niej bywać i gdzieindziej na zaloty chodził.

Serduszek biednej dziewczki bardzo bolało, martwiło się, płakała i narzekała.

Drugie dziewczki dobrze jej życzące litowały się nad nią, a jedna z nich *naraiła* (\*) jej babę znającą się na takich czarach, że już nie jednej dziewczce za ich pomocą umiała wrócić kochanka.

Udała się rozkochana dziewczka do owej baby, a wszystko onę opowiedziawszy, o radę prosiła.

Posłuzna babina dała dziewczce garść wyczesanego lnu jak na kądział, który zażegnawszy, kazała ów len z chustami wsiąść do rzeki i póty go prać kijonką, aż kochanek przyleci.

Jak baba kazała, dziewczka zrobiła.

Kijonką len pierze, woda szumi i burzy, a kochanek przylata i mówi: — O moja droga, czegoż mię tak męczysz, cóżem ci krzyw (\*\*) że mię tak dręczysz? o zlitujże się, zlituj!

---

(\*) *Naraić* — nastężyć.

(\*\*) *Cożem ci krzyw* (cożem ci *winien*).

A dziewczka odpowiada:

•Moje serduszko, co ciebie kochało kiedyś do innej poszedł na zaloty, daleko więcej cierpiało — i prała garstkę lnu i biła kijanką — a kochanek się prosił, u jej nóg leżał — i kiedy już nie mógł wytrzymać, już omdlewał, — dziewczka przestała len prać i orzeźwiła kochanka wodą.

Nareszcie widząc parobek że nic poradzić nie może, z tą dziewczką się ożenił.



## XVII.

# MARY.



Strachy widokiem swoim przerażają mieszkańców, kto się boi, temu się strach nie pokaze, drwiący tylko ze strachów tego doświadczyć może.

Z jednej wsi poszły dziewczki na kiermas, dopiero późno w nocy były spodziewane w domu.

Wesoły i śmiały parobek umyślał sobie wracające owe dziewczki z kiermasu w nocy przestraszyć — ubrał się więc w białe prześcieradło, a jeszcze je podniósłszy kijem nad głowę, jakby jaka wysoka biała mara stanął na rozstajnych drogach pod figurą o północy i czekał.

Nie zadługo wracały dziewczki z kiermasu, a gdy ujrzaly przebranego w prześcieradło parobka, rozumiejąc że pod



figurą stoi mara, bojaźliwie zegnając się i mówiąc pacierze do domu spieszo uciekły.

Zostawszy sam parobek pod figurą, już powolnym krokiem za dziewczkami ku wsi miał postępować, kiedy na drugiej stronie drogi naprzeciw siebie ujrzał także stojącą pod figurą marę jak on z kijem wysoką, lecz gdzie u niego nad głową był kij okryty prześcieradłem, tam u prawdziwej mary sterczała prawdziwa trupia głowa.

Parobek o mało nie umarł ze strachu zdrętwiąły, i zimnym zlany potem, ledwie wrócił do wsi i wszystko opowiedział.

#### MIEDZY WIELU JEST JESZCZE PODANIE:

W pięknym chociaż starym zamku tak przeszkadzało, iż państwo o nie mogąc dłużej wytrzymać, wyprowadzić się z niego na folwark musieli.

Pewnego razu mieli państwo bardzo wiele gości u siebie — wieczorem wszczęła się burza, lał deszcz, grzmiało i pioruny były.

Śród tej burzy, przybył jeszcze nieznamy, biedny wędrownik i o gościnę państwa prosił — został mile przyjęty, zasadzono go do stołu, gdzie jedli, pili, gawędzili — kiedy nastąpiła rozmowa o starym zamku gdzie przeszkadzało, rzekł nieznamy wędrownik, że on się niczego w świecie nie boi, że w tym zamku sam jeden spać będzie.

Radzili mu państwo i goście aby z djabełem nie igrał i tak niebezpiecznego zaniechał kroku — nic nie pomogło, on się odwieść nie dał i nawet w końcu państwo na to zezwolili, więcej dla tego, że goście jedli i pili dzień cały i cały wieczór, państwo ich puścić nie chcieli i wszyscy na noc zostali, przez co dla nieznamego wędrowca, nie było dogodnego w całym folwarku na nocleg miejsca.

A więc nieznamy wędrowiec poszedł spać na pusty zamek, gdzie tak przeszkadzało, że państwo wyprowadzić się z niego musieli.

Wędrowiec wziął z sobą do zamku święconej wody, święconej kredy, mirry, kadzidła, gromnicę i butelkę wina.

Wędrowiec był to stary i dymisywany żołnierz, gdy przybył do zamkowego salonu naprzód drzwi na klucz zamknął, potem zaświeceł gromnicę, okręcił się do koła święconą kredą, palił fajkę i wino popijał.

O samej północy, kiedy zegar na zamku skończył bić dwónastą, drzwi na klucz zamknięte roztworzyły się nagle, zawionęło grobowe powietrze i czterech trupów na marach czarno osłoniętych winieśli czarną do salonu trumnę i odeszli.

Wędrowiec siedział przy kominku, palił fajkę, popijał wino i nic nie mówił.

Z tej trumny wyszedł wielki biało-sinawy duch z zakłętymi oczami, sinemi ustami — i szedł prosto ku siedzącemu w kącie wędrowcowi — którego strach ogarnął, nabrawszy jednak odwagi sięgnął do pałasza, z pochwy go wyjął, i w ducha machnął — ale cóż, choć pałasz na wpół ducha przemięknął, on się nawet nie uchylił, bo duch był jakby z powietrza, albo ze mgły, a powietrza i mgły żaden pałasz nie przetnie.

Ten wysoki duch wychodząc kiwnął na wędrowca ręką, co znaczyło aby szedł za nim — wędrowiec przeto wzięwszy zapaloną gromnicę, wodę i kredę święconą, udał się za owym duchem. —

Zaprowadził duch wędrowca do podzamkowych grobów, gdzie mu wskazał ogromny kamień, który odwaliwszy wędrowiec, ujrzał pod nim duży kocioł pieniędzy, chciał się spytać owego ducha, co z temi pieniędzmi robić — ale kur zapiał, i duch zniknął, tylko zdaleka usłyszał słowa <dziękuję ci.>

Wędrowiec wzięwszy kocioł, zaniósł go do salonu, a że był snu spragniony, położył się i późno w dzień zaspał.

Państwo i goście widząc, że wędrowiec nie wrócił, byli pewni że w zamku umarł ze strachu — udali się wszyscy do

niego i wielce się zdziwili, gdy go ujrzeli przy kotle pieniędzy smaczno śpiącego.

Jak się wędrowiec odecknął, wszystko co było państwu i gościom opowiedziawszy, dodał: iż te pieniądze pochodzą od ich przodka, które ów dawno zmarły, może jeszcze ich pradziadek, sekretnie zachował i nikomu niepowiedziawszy, umarł — że za taki postępek musiał dopóty pokutować, aż się kto znajdzie któremuby owe pieniądze pokutnik mógł okazać — przez co wybawi go z pokuty — że właśnie on tego swoją odwagą dopełnił, a pieniądze jako do sukcesorów zmarłego, należą do państwa.

Państwo wędrowcowi naprzód podziękowali, potem go wynagrodzili, a sami wprowadzili się napowrót do swego zamku, bo od owego czasu nigdy nic nie przeszkadzało.



## XVIII.

### TRUPIA GŁOWA.

---

Jeden niby filozof, ni głupi ni mądry, a rzeczywiście półgłówek, następujące kiedyś miał mieć zdarzenie.

Był to organisty wnuk, w domu jego rodziców, po zmarłym dziadku pozostało się kilka obdartych ksiąg — długo one leżały na zgniętej półce, myszy i szczury szperały w nich długo — aż młody wnuczek powróciwszy z miasteczka i to ze szkoły, przez nabytą mądrość swoją, okurzył księgi owe i odczytał z *końca do końca*. — W tych księgach doczytał się o filozofij — on chciał zostać filozofem. — A izby całym był filozofem, w izbie swój urządził bibliotekę, poszedł na cmentarz, przyniósł trupa głowę i nią bibliotekę swoją przyzdobił. — Nadszedł zaduszny dzień — filozof po nabożeństwie wrócił do dom, a po obiedzie i kolacyi poszedł spać. W najlepsze sobie w nocy śpi, aż tu do niego przychodzi bez głowy mara, kościstą wyciąga rękę, na jego oczach kładzie dwa zimne skościałe palce; on się przebudza, a mara znika.

Jak się filozof zbudził widział dokładnie, że owa mara pod pachą niosła trupa głowę — i od tego czasu wnuk organisty był smutny i łzami zalany — i tak wiele płacząc lat, smutny poszedł do grobu.

---

## XIX.

### POGRZEB ŚKOMY. (\*)

Kiedy życie tak drogie, bo niczem go okupić nie można, ze śmierci żartować nie należy.

Tak się przed laty stało:

W jednej chałupie pewnego dnia we święto w kilka dni po babki pogrzebie, nie było nikogo w domu prócz dzieci — do tych dzieci zeszły się sąsiadów dzieci, i na wzór pogrzebu który widziały, urządziły sobie zabawkę.

Jedno dziecko było ksiądz, drugie organista, trzecie dzwonnik, a reszta *skomo* krewni i znajomi starej babki.

Dzieci urządziły katafalk, położyły na nim dziewczynkę, będącą po *skomu* umarłą babką (\*\*) nad nią śpiewały, kropiły wodą, i już ją miały wyprowadzić *skomo* na cmentarz, kiedy przyszli rodzice i przekonali się, że dziewczyna na katafalku leżąca w istocie nie żyła, bo nie na *skomo*, ale na prawdę umarła.

---

(\*) Skomo znaczy, żartem, nibyżeżto — po skomu (udawać, żartować).

(\*\*) Udająca umarłą babkę.

XX.

# ZWIERCIADŁO.

Idąc matka na wesele, do karczmy, albo na chrzciny, zamykała córkę w domu, a sama jadła, piła i tańcowała. — Zaś córka sama w domu siedząc, nic nie jadła, nie zapijała. Bo matka była wdową i nie podstarzała i chciało jej się jeszcze drugiego męża, dla tego nie ubierała się ona po wdowiemu, ale gdyby nie jeden czepiec, w czystej spódnicy, w czerwonym gorscie, z owemi wstążeczkami i koralami, jakby dziewczka wyglądała.

A kiedy się tak ubrała, szła zaraz do cudownego zwierciadła i pytała się: «zwierciadło! piękna ja? a zwierciadło odpowiedziało, pięknaś, ale córka twoja piękniejsza.»

Widziała to sama owa matka, że jej córka piękniejsza, i przez to światu ją pokazać nie chciała, a iżby straciła świeżość twarzy, by z jej policzków zniknął rumieniec, dręczyła ją pracą i zamykała w domu, — nie każdy nawet wiedział, że ta matka ma córkę.

Ale gdy to wszystko nie pomogło i córka zawsze była piękniejszą, namówiła matka parobka który się jej podchlebiał, aby dziewczynę wyprowadziwszy w manowce, zabił i

na znak przyniósł jej serce. Parobek wyprowadził dziewczynę w manowce, ale że jej zabić nie miał odwagi, litując się nad jej losem, opowiedział jej rozkaz matki, a zabiwszy idącego przy nim ulubionego psa swojego, wyjął z niego serce, dziewczynę polecił Bogu, w manowcach zostawił, i gospodyni swojej zaniósł psie serce.

Biedna dziewczyna nie miała się gdzie podziąć, szła póki jej sił starczyło, a szła o głodzie z płaczem — a kiedy jej sił zabrakło, upadła i omdlała.

I jechali zbójcy i znaleźli biedną dziewczynę, z początku myśleli że umarła, ale jak się przekonali, że jeszcze żyje, wzięli ją z sobą w głębokie bory i knieje, do swojej siedziby, — tam przypatrzwszy się dobrze dziewczynce, że była tak piękną i miłą, nic jej złego zrobić nie śmieli — zbójca był lepszym od matki!

Dziewczyna zbójcom jeść gotowała, brudną ich odzież z krwi opierała, a gdy szli na rozboje, «nie zabijajcie!» we łzach wołała, i zbójcy nie tak jak wprzódy krew przelewali.

Upłynął cały rok, dziewczyna żyła między zbójcami, a matka sobie w duchu myślała, że już oddawna córka nie żyje. —

Razu jednego ta matka, wykąpawszy się w mleku, potarłszy twarz burakiem, kiedy się ubrała w najśliczniejsze odzienie i stanęła przed cudownym zwierciadłem i zapytała go: «piękna ja?» a zwierciadło odpowiedziało: «pięknaś, ale córka twoja piękniejsza.» domyślając się z odpowiedzi zwierciadła, że córka żyje: «i gdzież ona?» zapytała zwierciadła: — «w głębokich borach i kniejach w zbójcekiej siedzibie, strawę zbójcom gotuje, brudną ich odzież ze krwi opiera» — zwierciadło odpowiedziało. W ten czas taka niegodziwa zazdrość ją opanowała, taka złość w jej wyległa się sercu, że pobiegła do czarownicy, by jej w tém co poradziła, ażeby córkę oskaradzić, albo zgubić mogła.

«Ni tego ni owego uczynić nie mam mocy, czarownica odpowiedziała «ale kiedy chcesz aby ładna córka twoja

tobie nie zawadzała, ja pójdę w głębokie bory i knieje, kędy zbójckie siedziby i tam się z nią zobaczę i będzie koniec.»

Uradowana matka przewrotna, wieloma pieniędzmi opłaciwszy czarownicę, poszła do domu.

A czarownica poszła w głębokie bory i knieje, i biedną dziewczynę nieszczęśliwą córkę ową napotkała idącą z płaczem od wody, i rzekła do niej: «Nie płacz, nie płacz dziewczyno, matka błąd swój poznała, byś do niej przyszła mnie tu wysłała, a na znak ten pierścień dać ci kazała» — i dała jej pierścień zaczarowany.

Na jedno słowo o matce, rozradowała się dziewczyna, porwała pierścień z rąk czarownicy, przycisnęła go do serca, pocałowała, i ubrawszy nim swój palec, długo na niego patrzyła, aż nareszcie, bladła, bladła, i na ziemię jakby bez duszy upadła, a czarownica wróciła do jej matki, i gdy wszystko jak zrobiła powiedziała, drugie tyle pieniędzy przewrotna matka jej dała.

Wróciwszy zbójcy z rozboju, patrzą nie ma dziewczyny, idą jej szukać, wołają, niema i niema — idą i idą, a gdy szli wedle wody, patrzą leży dziewczyna, ale nie żywa. Żałowali jej zbójcy, ale cóż robić, i już, już ją do wody wrzucić chcieli, kiedy na jej palcu pierścień spostrzegli, a jako zbójcy chcieli, natychmiast pierścień zdjęli, — dziewczyna oczy otwiera, i tak boleśnie westchnęła, że nawet zbójcy zadrżeli, i już ze strachu uciekać chcieli, kiedy ona wstała żywa. Zdziwili się zbójcy, zamiast dziewczynę, pierścień do wody rzucili, a onę dziewczynę do siebie wzięli — i znowu była między zbójcami, znowu im jeść gotowała, brudną ich odzież z krwi opierała.

Razu innego kiedy przewrotna matka, wykąpawszy się w mleku, potarłszy twarz burakiem w co najśliczniejszym odzieniu stanęła przed cudownym zwierciadłem i zapytała się. «Zwierciadło, piękna ja?» — a zwierciadło odpowiedziało: «pięknaś, ale twoja córka piękniejsza.» — A gdzież ona? zapytała się zdziwiona cudownego zwierciadła, a zwierciadło odpowiedziało: «W głębokich borach i kniejach,



w zbojeckiej siedzibie, strawę zbójcom gotuje brudną odzież z krwi opiera.»

W ten czas jeszcze większa złość ją opanowała i z tą złością do czarownicy pobiegła.

Czarownica zdziwiła się, ale tak zrobić przyobiegała, że dziewczyna raz na zawsze przepadnie.

Poszedłszy więc czarownica w głębokie bory i knieje, ujrzała dziewczynę na murawie śpiącą, biedna dziewczyna kiedy po ciężkiej pracy tak zasnęła, śniło jej się, że ją matka ściska i całuje, a nie wiedziała nieboga, że nad nią stojąc owa czarownica, jej sen czaruje.— Jak jej sen zaczarowała za paznokcie u serdecznego palca wbiła jej zaczarowaną szpilkę i uciekła, a dziewczyna chociaż zbójcy ją znaleźli, nie obudzili się więcej. Niewidząc zbojcy pierścienia na żadnym palcu, myśleli że już na prawdę umarła, ale że była tak piękną, jakby żywą, z niewinnym na twarzy uśmiechem, bo przez oczarowanie zasnęła w tej chwili, kiedy jej się śniło że ją matka ściska i całuje — nie chcieli jej zbójcy ani wrzucić do wody ani w ziemię zagrzebać, ale za to, że była tak dobrą, cichą i cnotliwą, (bo i zbójcy chociaż zbójcami, znają Boga i cnotę szanują, a nawet niektórzy w wielki Piątek do świętej spowiedzi chodzą) (\*) uradzili między sobą aby ją w szklanej trumnie na jedwabnych sznurach między jodłami na powietrzu zawiesić — i tak zrobili.

W niedługi czas król wicz będąc na łowach zapędził się w głębokie bory i knieje, aż tam gdzie kiedy wicher trząsnął jodłami, szklaną kołysał trumnę — widząc to król wicz wielce zdziwiony i ciekawy co to za dziewczyna (bo ją widział przez szklaną trumnę) tak dziwny ma grobowiec, kazał dworzanom trumnę zdjąć i otworzyć. Biedna dziewczyna jakby dopiero zasnęła, tak wyglądała i twarz rumiana i uśmiech i ręce wolne i pierś biała — tak piękna, mówił król wicz, i nie żyje, i wziął ją za dłoń i oglądał drobną rękę, a wszystkie

---

(\*) Zdanie opowiadającego.

palce jak chciał wyginał, tylko jeden palec średni, gdzie była wsadzona za paznokcie szpilka zaczarowana, był sztywny i umarły, — królewicz gdy chciał koniecznie i ten palec z innymi złączyć, spostrzegł ową szpilkę, i myśląc, co za morderstwo, żeby komu po śmierci szpilki za paznokcie wbić, szpilkę zaczarowaną wyciągnął. Skoro królewicz szpilkę wyciągnął, dziewczyna powoli otworzyła oczy, potem żałośliwie westchnęła, aż królewicza dworzanie uciekli, sam tylko królewicz nie bał się wcale, i nawet rzeźwić się jej dopomagał.

Biedna dziewczyna znowu ożyła.

Kiedy biedna dziewczyna ożyła, i tak pięknego pana jak był królewicz przed sobą ujrzała, wielce się zadziwiła i zawstydzona, ale on jej to wyperswadowawszy, kto ona jest i z kąd? aby mu powiedziała, biednej dziewczyny bardzo prosił. Ona widząc w nim taką przychyłność, wszystko o matce, o zbójcach, o pierścieniu, co wiedziała opowiedziała. — Królewicz nad wszystkiemi wydziwić się nie mógł, a patrząc na dziewczynę rozkochał się w niej tak, że ją do pałacu króla swego ojca zawiózł, i za jego pozwoleniem zaślubił.

Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że jak tylko królewicz z zapoznania wyjął szpilkę dziewczynie, przez co ona się ocuciła, a czarownica przez czary o tem dowiedziała się, sekretnie matce jej cudowne owe zwierciadło stłukła, i matka nie już niemogąc się o córce dowiedzieć, więcej się czarownicy nie naprzykrzała, ale była pewną, że córka za tym drugim razem, na prawdę i na zawsze z tego świata zglądzona.

---

Królewicz zostawszy królem, wyprawił wielki festyn, na który nie tylko panów, ale i lud swój zaprosił. Między temi wszystkiemi zaproszonymi na festyn, była matka jego żony — podczas festynu kiedy rozmaite o różnych zdarzeniach toczyły się rozmowy, król zapytał się ludu:

«Coby takiej zrobić kobiecie, któraby własne dziecko zatracić chciała?» jaki taki milczał, a matka jego żony rzekła:

«Taką kobietę, gdybym była królem, kazałabym we cztery konie rozszarpać.»

Król powstał, na służbę mignął, przyprowadzili cztery konie, i tę co wyrok na siebie sama wydała, w oczach wszystkich rozszarpać kazał.

Na tenże plac sprowadzono sześciu zbójców, których sąd także na rozszarpanie końmi skazał, — królowa spojrzawszy na nich, padła do nóg królowi mężowi swemu, a król gdy ją wysłuchał, zbójcom życie darował, bo to byli owi zbójcy, którym królowa będąc biedną nieszczęśliwą dziewczyną, winna była przytułek i życie.

---

## XXI.

### PAN KOZUSZEK,

---

Młody jeden wielki pan, mieszkał sobie w pałacu zwyczajnie jako pan, a pod pałacem były piwnice, a w tych piwnicach, beczkami stały pieniądze, a tych pieniędzy tak było wiele, że jeszcze ojcowie młodego pana, jakby wodę ze studni, brali i brali, a wybrać nie mogli, i gdy poumierali, jeszcze synowi pozostawili.

Będąc tak bardzo bogatym ów młody pan, żył sobie lepiej niż wojewoda, choć czwórka po mieście nie grzmiał, bab nie potraçał, żydów nie rozjeżdżał — ale tak robił:

Kiedy miał którego z panów odwiedzić, lub mu interes wypadł jaki, że się bez drogi obejść nie mógł, kazał zawołać sześciu parobków, czterech ustawił, jak cztery konie, jednego z biczem jako woźnicę, drugiego w końcu jakby lokaja, a sam ubrany w kozuch barani, stanął we środku między woźnicą i między tym, co to był niby lokajem, i mawiał: jedź tu, a tu, a jedź galopem i trzaskaj biczem.

I tak wszyscy owi ludzie i sam bogaty młody pan, piechotą sobie jeździli — ale gdzie zajechali, naprzykład do austeryi, woźnica wołał pruu — lokaj pana pod pachy trzymał i jakby z karety wysadzał. Kiedy pan wszedł do karczmy, ludziom strawne wyliczył, i obrok na cztery konie do złobu w stajni dać kazał — potem sute śniadanie, obiad lub kolacyą, sobie i ludziom wyprawił, za wszystko złotem zapłacił i jechał dalej albo do domu. — A jeśli w jakim dworze wizytę dawał, kiedy go lokaj meldował, panem Kozuszkim się zwał. Przytym miał bardzo litośne serce i pańską prawdziwie duszę, bo nietylko, że ubogim dawał, cudze długi płacił, ale nawet jedną babinę, którą wojewoda za czarnoksiężtwa utopić kazał, wielką summą pieniędzy od śmierci wykupił.

Taki to był ten wielki pan, każdy od niego zarobił, każdy się najadł i napił, aż miło było. I takby zawsze bywało, do samej śmierci pana, gdyby nie te psu braty hajdamackie plemienia zbójcy z czarnego boru, — oni, kiedy według zwyczaju pan ze swoją służbą piechotą po świecie jeździł, jego dwór najechali, pałac spalili, a pieniądze zrabowali.

Gdy pan z drogi wrócił i to nieszczęście zobaczył, mało się nie zapamiętał, tak się zasmucił, a nic, ani słoweczka nie mówił i tylko wszystkich pożegnał i poszedł w świat.

Jak poszedł pan w świat, tak i szedł, a póki z reszty miał grosz, to połatawszy, ale jak tego zabrakło, to rób co chcesz, — i on też nie mając nic do roboty, ani z czego żyć, w jedném królestwie, do którego z wielką wszedł biedą, za prostego żołnierza do tamtejszego wojska przystał.

W tém Królestwie, król miał jedynaczkę córkę i tak piękną, że najpierwsi z Królów i Książąt ojca o nią prosili, ale jej żaden nie dostał, bo Królowna będąc razu jednego z swoim dworem na polowaniu, zginęła i *jakby kamień w wodę wrzucił*, przepadła. — Król dowiedziawszy się o stracie córki w tak wielkie wpadł zmartwienie, taki mu smutek przywalił serce, że się swemu ludowi nawet nie pokazywał. Naród wielce tym tknięty razem z królem się smucił.

Wielu panów i poczciwych ludzi wybrało się szukać królowny, a Król ogłosić kazał: że ktooby królownę znalazł, i do pałacu przywiódł, odda mu ją za żonę, a iż ona jedyna córka jego, mąż jej po nim będzie panował.

Poszli więc szukać królowny przeróżni Królewicze i Książęta, wielcy panowie i rozmaici ludzie na wszystkie świata strony — a między temi wszystkimi był także i ów młodzieniec panem Kożuszkim zwany, który za prostego żołnierza służył, a którego jeden chorąży zabrał z sobą. —

Idąc chorąży z żołnierzem, gdy przebywali straszny bór nieświadomi drogi błędząc, wśród gęstej zarośli i skał znaleźli wielką jaskinię i w niej do podziemnych lochów otwór. Zgodnie więc uradzili, aby się tam po sznurze spuścić i co by tam było zobaczyć — do długiego więc sznura przywiązali duży kosz i któryby z nich pierwszy spuścić się powinien, ciągnęli obydwalosy, — los wypadł na żołnierza — więc żołnierz wsiadł w kosz, a chorąży go spuszczał, i tak się umówili, że gdy żołnierz będzie w lochu, a tamby mu co złego groziło, jak szarpnie sznurem, aby go chorąży wyciągnął.

Spuszczając się żołnierz do lochu, z początku widział światło z góry, które im był niżej niknęło, aż nareszcie, kiedy stanął na ziemi, zupełna ciemność go ogarnęła — trzymając zatem linę w jednej ręce, stąpił ostrożnie przed siebie, wyciągając napróżd drugą, aby się czołem gdzie nie uderzył — idąc w takiej ciemności, namacał na drzwi żelazne ale bez klody i klamki, macał ręką i macał, aż znalazł wiszący łańcuch którym kiedy zadzwonił, otworzyły się drzwi, i żołnierz ujrzał małego człowieka, na łokcie wysokiego z trzy-łokciową siwą bro-

da, z ogromnym przy boku mieczem i z jasno palącą się pochodnią, który się go zapytał: «Kto jesteś, czego żadasz?». A żołnierz myśląc sobie, że taki mały staruszek nie potrafił mu nic zrobić, odpowiedział: «Ja jestem z królewskiej służby, przyszedłem tu szukać królowny i gdy ją znajdę, odebrać» — rzekł na to mały staruszek: «Jeżeli tu chcesz śmierć znaleźć, powtórz to, coś powiedział, a ja ci się wnet przyślę, i dobił ogromnego jak drąg miecza i machnął, a żołnierz dobił swojego pałasza i wielki miecz odbił, ale się jego pałasz wyszczerbił, karzeł drugi raz mieczem swym machnął, żołnierz drugi raz miecz odbił, ale się jego pałasz na dwoje rozpęknął.

Żołnierz widząc że z nim sto razy większa sprawa, jak on sam i z brodą nawet, z jaskini wybiegł, do kosza wskoczył, za linę szarpnął, i czekający na górze chorąży, czempredziej go wyciągnął, a drzwi z wielkim trzaskiem i łańcuchów brzękiem zawarły się. —

Wyciągniony z lochu żołnierz, opowiedział chorążemu wszystko co widział, co słyszał, i co się stało; a że z mowy owego karła miarkował, że królowna pod ziemią się znajduje, myśleli nad sposobami jej wyswobodzenia — żołnierz radził, aby chorąży także do lochu się spuścił, i jako przecie mądrzejszy inaczej sobie niż on poradził, ale chorąży nie chciał, mówiąc: «ty idź, ja będę komenderował.

Koniec końcem uradzili, aby się do lochu po tak pewną śmierć nie spuszczać, lecz przy owym otworze, na przemiany wartować.

I, mieli na przemiany wartować, ale że chorąży od warty się odzwyczaił, na warcie zawsze zasypiał, a żołnierz do takowej nawykły, za siebie i za niego wartował.

Tak pilnując otworu od podziemnego lochu, razu jednego o samej północy usłyszał szelest i brzęk, a że miesiąc w pełni świecą przez gęstwiny promienie rzucał, iżby się lepiej przekonać, a postrzeżonym nie być, za gęsty krzak się schował, i wychyliwszy głowę niewidziany wyglądał — aż tu na koniu od brylantów błyszczącym, w złocistym płaszczu

jedzie rycerz uzbrojony, we mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany, jedzie i jedzie, koń parska, rząd na nim brzęczy i brzęczy zbroja rycerza; a miesiąc promieniem rzucił i żołnierz dobrze go widział — Rycerz otwór przemiął, jeno tam okiem rzucił, i za skałę pojechał; tam stanąwszy mieczem trzykroć w skałę uderzył i czekał — aż za chwilę nie małą zapytano ze skały: *»Jak żyjesz, jak jesz i pijesz?»* a rycerz odpowiedział: *żyję nie życiem, jadam nie syty, a piję krew niewinną* wnet spadły ciężkie zapory, skała się roztopiła, i rycerz wjechał do skały — a żołnierz wszystko to widział, dobrze rozmowę słyszał, lecz przed chorązym wszystko zamilczał i do drugiej nocy spokojnie czekał. Jak druga nadeszła noc, bardzo śpiącego udał, i chorąży do rana wartować musiał, a on do tejże zaszedł skały, swoim pałaszem trzykroć uderzył, a na pytanie w skałę, jak rycerz poprzedniej nocy, on odpowiedział, i jak rycerzowi, roztopiła się skała, gdzie sobie bez trudów wszedł.

Jak żołnierz wszedł do skały, spadły ciężkie zapory i skała się zamknęła — jak się skała zamknęła, ujrzał się żołnierz zrazu wpośród ciemności i nie wiedział gdzie stąpić, gdzie się obrócić, aż blade światło błysnęło, potem jaśniej świeciło, aż potem jeszcze, pokazała się stara babina z zapaloną pochodnią, która przypatrzwszy się dobrze nieproszonemu gościowi zawołała zdziwiona. «O Panie, wybacz iż się zapytam pocoś tu przyszedł, i tak samotnie bez ludzi, bez swego dworu? a on jej odpowiedział: —

Oho! jużem nie pan, już nie mam ludzi i nie mam dworu, ale jestem z królewskiej służby, i idąc szukać zaginionej Królowny, tu wszedłem — ale z kądże mnie znasz moja babino?

— «A któżby cię lepiej mógł znać nademnie, o mój Panie! ja cię znam jeszcze, kiedyś piechotą poświecie jeździł bogato i szumno — ale mi powiedz o panie, cóż się to z tobą zrobiło?»

A on jej też powiedział, że go zbójcy zrabowali — ale to już nie o tym mowa, tylko o królownie. —

— «O mój panie, mój panie, mój wybawco, rzekła babina kiwając głową, a nie zważając na wzmiankę o królownie — «gdybyś miał chociaż te pieniądze które ci wydarli za moje niewinne życie, ale gdzie tam, *co wilkowi w gardło wpadło to przepadło.* —

«Cóż robić? bąknął żołnierz, alem ja o tém już dawno zapomniał, już teraz myślę o czém inném, myślę znaleźć Królownę, którą niedawno ktoś porwał i gdzieś podział — a baba wytrzeszczając na niego małeńkie krucze swe oczy rzekła: «Królowny, królowny ci się zachciało, słuchaj mój panie, słuchaj; gdybyś chciał tyle pieniędzy wiele tobie zbójcy wydarli, możebyś prędej ich dostał — ale o królownę ciężka sprawa... Czy ty wiesz gdzie jesteś, u kogo? czy ty wiesz że gdyby nie ja, nie długobys żył na tym świecie» — żołnierz był ciekawy, dla czego — a baba mówiła dalej:

«To całe podziemne królestwo należy do mego syna, bo on wszystkich co tu mieszkali pozabijał, i wszystkie bogactwa, które oni z nim posiadali, sam teraz posiada, i nie masz tu nikogo, tylko on sam, ja i mój ojciec, czyli jego dziadek, który choć stary i mały, ale tak prawie mocny jak mój syn, a nad mego syna, niemasz mocniejszego w świecie człowieka — cóżbyś więc zrobił sam jeden, mój syn jednym palcem gdyby chciałtoby cię zabił — ale nie bój się ja tu jestem, ja którąś ty od śmierci wykupił, i mój syn wiedząc o tém, pewno ci podziękuje — ale królowny by ci nie dał, bo ją, sam porwał dla siebie — Że zaś ona nie przeznaczona dla niego, spuść się na mnie we wszystkim, ja za pomocą méj sztuki może co zrobię, ale sam nie mów zaraz nic o tém, udaj żeś tu nie po to przyszedł, i w tamtym lochu czekaj cierpliwie.

Żołnierz poszedł do osobnego lochu, a ktoś, trzy razy w skałę mieczem uderzył — słysząc to owa staruszka, do zaporu pobiegła, a zapytawszy się: «*jak żyjesz, jak jesz i pijesz*» po odpowiedzi: «*Żyję nie życiem, jadam nie syty, a spijam krew niewinną.*» — spadły ciężkie zapory, skała się rozstąpiła i rycerz na koniu od brylantów błyszczącym, w złocistym płaszczu odziany, w mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany,



do skały zbrojny wjechał — z konia zsiadłszy: «Cóż tu sły-  
chać?» matki zapytał:

— «Mamy tu gościa» — matka odpowiedziała, —

— «Któż taki, czy który zbójca z bliskiego lasu?» «Nie»  
rzecze, nie zbójca ale ten, który, kiedyś była na śmierć ska-  
zaną, od śmierci mię wykupił.»

— «Ach! to ten Pan Kozuszek, którego zbójcy zrabowa-  
li, i jam ich za to skarał?»

— «Ten» —

— «Gdzież jest ten jeden człowiek na świecie którego ja  
kochać mogę, gdzie jest i co chce, wszystko dla niego uczy-  
nię, jeśli chce skarbów, niech bierze, na pół się z nim po-  
dzielę» —

Wszedł żołnierz, zbójca przyjazną podał mu rękę i na  
wieczereżę zaprosił. —

Matka zastawiła wieczereżę, a nim do stołu usiedli, rzekł  
zbójca: «Aby nam się weselój jadło i piło: niech tu moja przy-  
szła żona przyjdzie» — i nie bawem weszła Królowna, siadła  
do stołu i razem wszyscy jedli, pili, i rozmawiali — a matka  
im usługiwała, i synowi do każdej szklanicy, zaczarowane  
proszki sypała — kiedy sobie zbójca podchmielił, rzekł do  
żołnierza: «powiedz po coś tu przyszedł, jeśli chcesz skarby  
swoje odebrać, bierz, dla ciebie uczynię wszystko:»

«Wszystko?» zapytał żołnierz. —

«Wszystko» zbójca powtórzył — a żołnierz mówił:

«Kiedy mam twoje słowo, śmiało tobie wyznaję żenie-  
chcę skarbów, ale się domagam uwolnienia Królowny, i po-  
to tu przyszedłem.» —

Słyszac to zbójca, zgrzytnął zębami i nogą tupnął, aż na  
nim zbroja zabrzękła, ale jednak po chwili łagodnie się ode-  
zwał:

«Gdyby te słowa, inne nie twoje usta wyrzekły, nie ja,  
ale mój miecz na nie by odpowiedział» — po tém chwile  
zbójca milczał, a po chwili rzekł: «Oddam wam wszystkie mo-  
je skarby, a dajcie mi szczęście, dajcie mi czyste sumienie! —  
skarbów nie chcecie, a szczęście wydzieracie mi gwałtem.

więc kiedy nie ma szczęścia dla mnie na tym świecie, odstępuję ci Królowny, ty bądź szczęśliwy, a kiedy będziesz Królem, a będziesz kiedy sądził zbrojce, pamiętaj, że i zbrojca ma serce.—

---

Weszło pogodnie słońce, żołnierz ze skały wyszedł z królowną, i przy jaskini złączywszy się z chorążym, do Króla swego wiódł piękną córę Jego— ale chorąży dręczony od zazdrości myślał sobie:

«Ów żołnierz, który znalazł królownę, on będzie moim Królem, a ja czém byłem zostanę— dręczony tą zazdrością, wymyślił straszny zamiar, żołnierzowi odebrać życie, i na jednym noclegu, pałaszem swoim żołnierzowi przeszył pierś, zaś królownie zapowiedział, iż jeżeli mu nie przyrzecze, że Królowi ojcu swemu, powie, iż on jęj wybawicielem, albo ją samą zostawi w pośród straszego boru, albo tymże samym pałaszem skróci jęj życie—

Drżąca królowna, wybawcę swego widząc we krwi nie żywego, na wszystko co ten morderca żądał, przystała, i dotrzymać słowa swego przyrzekła,— i zdawało się jęj to nie trudnego, bo chorąży był młody i układny młodzian,—

Przybywszy więc ten chorąży do Króla, z urodną córką jego, jako jęj wybawca od wszystkich był witany, a król według swego dekretu, jemu za żonę dać ją obiecał, i swym następcą go nazwał.—

A iżby uswięcić dzień powrotu Królowny i naród smutny rozweselić, rozkazał król wyprawic ucztę dla całego dworu i ludu.—

Kiedy cały kraj wrzał radością, biedny żołnierz sprawca tęj radości, na rozstajnych drogach leżał bez duszy—i kiedy się nurzał w własnej krwi, szła matka zbrojcy do miasta, owa babina, którą żołnierz, będąc bogatym Panem Kozuszkim od śmierci wykupił, i ujrzawszy go tak nieszczęśliwego, to pomocnemu ziołani, to czarami wróciła do

życia — a skoro żołnierz powstał, zaprowadziła go do skały mieszkania syna zbójcy i tam dopóty przebywał, aż zupełnie ozdrowiał, —

Jak żołnierz ozdrowiał, swój dobrodziejce podziękował, z jej synem się żegnał, a syn zbójca do niego rzekł — «Byś o zbójcy nie zapomniał dam ci pamiątkę po sobie, patrz, oto ten koł z srebrną i od brylantów grzywą będzie twoim, w ten płaszcz złocisty odziej swe ramię, te mgliste szarfy przywiąż do boku, w pióra wiejące kołpak swój ubierz, i ten miecz ciężki weź z sobą i jedź do Króla do swjej kochanki, niechaj ci zwróca tve prawa; a gdy ci zwróca tve prawa, i jeżeli osiądziesz na tronie, przyjdź do tej skały, trzy razy mieczem w nią uderz, na zapytanie jak wiesz, odpowiedz, lecz przyjdź, przyjdź pewno.» —

Żołnierz uklęknął i przysiągł że przyjdzie — a pożegnawszy się we łzach ze zbójcą i jego małką, na koniu ze srebrną od brylantów grzywą, w płaszcz złocisty, w mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany i z ciężkim mieczem pojechał.

---

Na swym tronie król siedział, a po jednej stronie jego stała córka, a po drugiej stronie chorąży.

I otwarły się drzwi szeroko i wszedł rycerz w złocistym płaszczu, we mgliste szarfy, wiejące pióra przybrany i z ciężkim u boku mieczem.

Tak pięknego rycerza kiedy wszyscy ujrzeli, napatrzyć się mu nie mogli, sam król dopytywał się ciekawie, co to za jeden, myśląc że to drugi król jaki wielki — ale rycerz nie mówił, i nie miał dworzan żadnych, aby co o nim powiedzieć mogli. — Każdy mu się przypatrywał, wszyscy mu się dziwili — najlepiej przypatrył mu się chorąży i poznawszy go krzyknął, że to jeden ze zbójców straszego boru, z tego samego, z kąd on królownę wybawił — na ten krzyk i rozkaz króla, skoczyła ze wszech stron służba i na prawdziwego wybawcę królowny, zajądło się rzuciła — a rycerz nie

nie mówił, ale jak dobył miecza swego, jak machnął, nie tylko wielu ze służby, ale nawet chorążego ze świata zgładził.

Jak tyle trupem położył, skrwawiony miecz do pochwy schował, kto jest i czém, królowi powiedział — złężniona królowna prawdę przyznała, a on mówiąc «bądź zdrowa» wyszedł.

Idąc w straszny bór zaszedł, w skałę trzykroć mieczem uderzył, na trzy pytania odpowiedział i gdy się skała rozstąpiła, wszedł do podziemnej krainy i ujrzał, jak zbójca kłęcząc, wznosił do nieba ręce, a który widząc przychodnia, przyjazną podał mu dłoń i rzekł: osądź mnie, osądź mnie teraz — a on mu odpowiedział:

«Nie jestem królem, ni sędzią, przybyłem tylko by ci dotrzymać przysięgi i za twój dzielny miecz podziękować — a zbójca powstawszy mówił:

«Wiem o wszystkim, zdrada pozbawiła cię królestwa, a ty zdradę pozbawiłeś życia, wiele dopełnił, ale jeszcze nie wszystko, jeszcze jedną rzecz wykonać musisz, słuchaj: moja matka chodząc po świecie z czarami swemi, nie uszła drugiego wyroku, bo nie było tam już Pana Kozuszką; mój dziadek bijąc się z wielkim olbrzymem, przez jego podstęp i zdradę, postąpił brodę, w której całą moc swoją posiadał, przez co poszedł za córką swoją — i jestem jeden — ale czekaj, za chwilę ja także zakończę życie; kiedy na wieki wieków zamknę powieki, włóż ciało moje na ten stos drzewa za skałą, i kiedy spalisz ciało i kości moje, popioły moje rozruć na cztery strony świata, aby nie było i znaku po zbójcy, który żył nie życiem, jadł nie syty, a spijał krew niewinną.»

Zbójca wymówiwszy ostatnie słowo skonał, a on jego ciało na stosie za skałą spalił, popioły na cztery strony świata rozrucił — poczem wszedłszy do skały, co mógł bogactw nabrał, a mając tak ogromne jak wprzód pieniądze, znowu piechotą sobie dworno po świecie jeździł — będąc i w naszej stronie, wszystkim stypę wyprawił, ale gdzie się od nas zapodział, to nie wiem.

## XXII.

### BLADA PANNA. (\*)

Podupadły gospodarz miał piękną córkę, z którą stary kawaler dzierżawca wsi koniecznie i z gwałtem chciał się ożenić, — ale że go dziewczka nienawiedziła i ojcowie na to małżeństwo zezwolić też nie chcieli, dzierżawca czém tylko mógł, tém ich dręczył, tak im pańszczyznę dokuczał, i tak za najmniejszą okazją batożyć ich kazał, że podupadły gospodarz wytrzymać nie mógł — i z tej wsi wynieść się z całą rodziną postanowił. — W chałupie, którą gospodarz ten zamieszkiwał, za piecem ciągle coś skrzypiało, a chociaż nie raz szukając, przypiecek do góry nogami przewrócili, nie przecież znaleźć nie mogli. — Ale kiedy się wyprowadzając, ostatnie zabierali graby, usłyszeli za piecem co raz głośniejsze skrzypienie, i kiedy ciekawie wszyscy słuchali, aż tu skrzyp, skrzyp, hyc, hyc, i wyskoczyła z zapieca figurka cienka i blada, a do zgrabnej panny podobna.

---

(\*) Obszerniejsze opowiadanie podobnej treści jest na karcie 12 pod napisem *Bieda* — że zaś podania ludu o tym przedmiocie są dosyć liczne, a różne, albowiem nawet kiedy drzewo pod siekierą lub klinem skrzypi, czyli też na ogniu złożone piszczy, utrzymują że to głos biedy, a zatem i powieść niniejsza o bladej pannice, na uwagę zasługuje.

«A to ki djabeł. zawołał ojciec,» — «o la Boga!» krzyknęła matka i wszystkie za nią dzieci.

«Nie jestem ja żaden djabeł» — rzekła cienka blada panna, ale jestem wasza bieda, i skoro ztąd już się wynosicie, i mnie także na nowe mieszkanie powinniście wziąć z sobą.

Gospodarz biedny, *nie był w czemie bity*, pomyślawszy trochę, biedy swojej nie łapał i nie dławił, bo ona tak była wysmukłą, żeby jej pewno nic nie zrobił — ale skłoniwszy się jej do nóg rzekł: «dobrze moja jejmość kochana, kiedy ci się tak między nami podobało, to i pójdź z nami, ale że sama widzisz, my sami sobie wszystko przenosimy, to nam też co wziąć dopomóż, a rychlej się zabierzemy — bieda na to przystając, chciała wziąć parę sprzętów drobnych z domu, ale gospodarz drobne sprzęty rozdawszy dzieciom do przeniesienia, mówił: że na podwórzu jest jeszcze klocek, który także wziąćby trzeba, i wyszedłszy na podwórze, klocek z wierzchu siekierą w pół rozszczypił, i zawołałszy biedy iżby klocek ten wziąć mu pomogła, grzecznie jej prosił. — Bieda nie wiedziała z której strony kloc dźwigać, aż gdy jej gospodarz rozszczypienie pokazał; ona swoje długie a cienkie palce w szparę włożyła — gospodarz niby z drugiej strony kloc dźwigając, siekierę z rozszczypienia raptem wyjął, i biedy długie a cienkie palce, tak dobrze w kloc wszczepione zostały, że ich na żaden sposób wyjąć niemogąc, co tylko jej ducha starczyło wrzeszczała, — ale nie nie pomogło, gospodarz zabrał wszystkie z dziećmi manatki, zupełnie się z chałupy wyprowadził i więcej na to miejsce nie wrócił.

Kiedy gospodarz ten, w drugiej wsi zamieszkał, tak mu się wiedło szczęśliwie, że niedługo z całej wsi był najbogatszym — z urodną jego córką ożenił się poczciwy i dobrze się mający dwudziesto-letni syn kmiecia i cała familia była szczęśliwą.

Dzierżawca zaś pierwszej wsi, ów biednych ciemężyciel, mając rozdawać nowym gospodarzom puste chałupy, przyszedłszy zobaczyć chałupę przez owego podupadłego gospodarza, który mu córki dać nie chciał opuszczoną, kiedy ujrzał

biedę przy pniu, jak tam z boleścią palców duleżała, ulitował się nad bladą panną, palce jej za pomocą klina wyjął i zupełnie onę uwolnił.

Blada panna od czasu uwolnienia swego, na krok wybaciwiciela nie odstępowała — a gdy prócz tego, jeszcze i djabeł w starym piecu zapalił, i dzierzawca na starość z zakochania oszalał, hulał, hulał, i co tylko miał wszystko przehulał.

---

## XXIII.

### DJABLI TANEK.

---

Wyrobniica miała dwie dziewczki w domu, ale jedna była jej prawdziwą córką, a druga pasierbicą. — Jako że sama wyrabiała na życie, tak też i owe dziewczki robić na siebie musiały — całą więc wiosnę i lato, wszystkie trzy po ogrodach kopały i w polu żęły a zimą kądziel przędły.

Kiedy więc zima nadeszła, matka siła lnu na wyprzędzenie od gospodyń dostała, dziewczki przyszedłszy jedna do drugiej, do północksia śpiewając i rozprowadając przeróżne gadki, na wyścigi przędły. Lecz że owe dziewczki wyrobniicy, nie były sobie jak się należy siostry, przeto razem do drugich przątek nie chodziły, ale jedna poszła na jeden koniec wsi, a druga na drugi.

W jednym końcu wsi była pusta chałupa, wieczorem idąc pasierbica jedna z dwóch dziewczek wyrobniicy, na prząd-

ki do drugich dziewczek, ujrzała w tej chałupie światło, i gdy przez ciekawość, kto też się tam wprowadził, do chałupy wstąpiła, złapał ją kuso ubrany panicz do tańca, a dziewczka, tak się go złąkla, że się aż przeżegnała.

Jak się ona dziewczka przeżegnała, tak panicz kusy ją puścił, ale bardzo uniżenie prosił, iżby usiadła i kądziel przędła, a on jej tak pomagać będzie, że najwięcej ze wszystkich dziewczek do północy uprzedzie.

Usiadłszy dziewczka przędła, i choć do północy jeszcze było daleko, wszystko wyprzędła, a kusy panicz rzekł: «Sprzędłś panno kosmyk, (\*) pójdźmy do taneczka,» dziewczka zaś mu odpowiedziała: «chociem sprzedła kosmyk, do taneczka nie pójdę, aż się sobie spocznę i przejem» — i kusy panicz poleciał i przeróżnych frykasików jej przyniósł, a które kiedy ona zjadła, rzekł: sprzedłś panno kosmyk, sprzedłś i przejadłś, pójdźmy do taneczka » ona mu zaś odpowiedziała: «chociem sprzedła kosmyk i przejadła, do taneczka nie pójdę, aż się wody napiję» — i kusy panicz poleciał i ze źródłu czystieuchnej wody przyniósł, którą kiedy wypija, rzekł: «sprzędłś panno kosmyk, spoczęłś, przejadłś i napiłś, «pójdźmy do taneczka,» a ona mu odpowiedziała: chociem sprzedła kosmyk, spoczęła, przejadła i napiła, do taneczka nie pójdę, aż się drwa na kominie rozpał i będzie widniej» a w iem kur zapiał i kusy panicz zniknął.

Pasierbica poszła do domu i trzy razy więcej niżli jej przyrodnia siostra, przedziwa macosze oddała.

A kiedy tak co wieczór pasierbica do pustej chałupy prząść chodziła, a kusy panicz jej pomagał i wszystko po jednemu znosił, lecz ona z taneczkiem się ociągała dopóty, aż kur zapiał, w wieczór trzy razy więcej przedziwa, niż jej przyrodnia siostra macosze oddawała. — I gdy macocha była ciekawa, do kogo ona prząść chodzi, że jej tak dopomaga, kiedy jej pasierbica prawdę powiedziała, macocha też swoją córuchnę tam posłała.

---

(\*) Część kądzieli.



Poszła macoszyna córka do pustej chałupy, niedługo przyleciał kusy panicz i do niej rzekł: «kosmyk panno, kosmyk, pójdźmy do taneczka» — a ona odpowiedziała: «przynies mi jadła, picia i napal widno ogień, to pójde do taneczka.»

Kusy też panicz polecał, wszystko przyniósł, ogień na kominie widno rozpalil i macoszynę córóchnę, która się nawet nie przeżegnała, do taneczka złapał, — dwa razy z nią obrócił, za trzecim łeb ukręcił, w okno wsadził, duszę porwał i polecał.

A matka idąc raniutko około pustej chałupy, jak ujrzała głowę swojej dziewczki w oknie, rzekła: oj, musiała moja córka dużo naprząć, bo oknem wygląda i śmieje się, — ale jak weszła do chałupy, dopiero wszystko jak było ujrzała.

---

## XXIV.

# POTĘPIONA.

---

Miała dziewczyna szesnaście lat i przyszedł do niej pierwszy młodzieniec, i rzekł: piękna dziewczyno, daj mi twój wieniec, w młodości będę cię kochał szczerze, później będę twe dzieci pieścił i bawił, w starości będę ci usługiwał — a dziewczyna odpowiedziała «nie.»

Przyszedł drugi młodzieniec, i pięknej dziewczynie rzekł: piękna dziewczyno, daj mi twój wieniec, naprzód, będę cię kochał szczerze, później z naszymi dziećmi i z tobą będę się pieścił, w starości będę ci służył, — a dziewczyna odpowiedziała, « nie, nie! »

I przyszedł trzeci, ale już nie młodzieniec, i pięknej dziewczynie rzekł: « piękna dziewczyno, jużem nie młodzian, lecz jeśli dasz mi swój wieniec, będę ci wierny i stały — a dziewczyna znowu odpowiedziała: « nie i nie — a kiedy jej ojcowie perswadowali i przekładali, ażeby z trzech kochanków wybrała sobie jednego, ona w złości wyrzekła: « wołałabym djabła, niżeli jednego z tych trzech — »

I niezadługo wśród głuchej nocy przyleciał szatan w postaci człowieka — przyleciał pod jej okienko, i w jej okienko, sztuk, sztuk.

Gościnne drzwi otwierają, szatan w postaci młodzieńca wchodzi i mówi:

« Witajże, witaj piękna dziewczyno i powtórz czy będziesz moja? » —

Dziewczyna patrzy, dziarski młodzieniec, oko iskrzące, wąs zawieszisty i cała postać udatna i odpowiada « będę. »

I szatan w człeka postaci, w radości piękną dziewczynę do swego boku przycisnął, i rzekł: ah! jużes moja, moja na wieki. —

W pięknej dziewczynie zadrzało serce, jej twarz rumiana zbladła, chwiała się biedna w bojaźni, ale już było za późno!

Kiedy młodzian miał słowo, i wychodząc dobra noc mówił, piękna dziewczyna do krosien swoich, największy kłębek wybrawszy, nic długą, długą bez końca w igły nawlekła ucho, igłę w młodzieńca szatę utkwiała, kłębek puściła w progu i młodzian wyszedł ciągnąc za sobą nic długą, długą bez końca.

I kiedy szatan przekłety wśród głuchej nocy z wiatrem poleciał, a kłębek nici w progu, nic długą, długą bez końca odwijać przestał, dziewczyna wzięwszy paciorki, święte szkaplerze i księgę świętą i ów kłębek w swe dłonie, poszła

za nicią; a idąc wciąż kłębek nici zwijała, i tak po kłębku w śród głuchej nocy, chłodnego wiatru, śledząc tropy kochanka, stanęła na cmentarzu, i patrzy zdala przez otwór w murze, a jej kochanek na smutnej mogile siedzi i czaszkę trupią ogryza, — widząc to złękła, zadrżała i kłębek w jej dłoni zadrżał i sobą nic długą szarpnął, a igła z nicią w kochanka szatę była utkwioną.

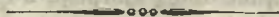
Jak zły duch ujrzał nic w swojej szacie, reszty się łatwo domyślił i do kochanki z wiatrem poleciał, ale kochanka uciekła, a uciekając po jednym paciorku ze swej koronki za swoje ramie rzucała, a co który paciorek rzuciła, szatan przeklął stanał, — lecz gdy jej brakło koronki, święte szkapleplerze za ramie swoje rzuciła, a kiedy jeszcze do domu było daleko, ze świętej księgi, kartę po karcie, za swoje ramie rzucała, aż przecie domu dobiegłszy, do izby wpadła, drzwi zatrzasnęła.

A szatan wkrótce dobiegł, i stanąwszy przed okienkiem, w jej okienko sztuk, sztuk — i kiedy się spytała: kto tam? — «Ja, twój kochanek, twój przyszły mąż, chce się zobaczyć z tobą swoją kochanką, więc otwórz — ale że roztworzyć nie chciała, szatan rzekł: «otwórz moja dziewczyno, otwórz, bo jeśli nie otworzysz, twój ojciec trupem padnie» — Dziewczyna nie otworzyła, i ojciec ducha wyzionął. — Szatan zaś rzekł: «otwórz moja dziewczyno otwórz, bo jeśli nie otworzysz, twa matka trupem padnie.» — Dziewczyna nie otworzyła i matka zaraz skonała. — Szatan zaś jeszcze rzekł: «otwórz moja dziewczyno, otwórz, bo jeśli nie otworzysz, ty sama żyć przestaniesz. — Dziewczyna nie otworzyła, ale wkrótce kur zapiął i szatan sobie poleciał,

I rzekła do sług dziewczyna: «Jako mój ojciec i matka moja, i ja nieboga wkrótce już was opuszczę, opuszczę was na wieki — ale mój ojciec i matka moja już są szczęśliwi, a zaś ja nieszczęśliwa, ja potępiona, żadnej a żadnej laski nie godna, kiedy zamknę me powieki, we cztery deski na nic

nie zdatne, włóście me grzeszne ciało, i na rozstajne zanieście drogi, i tam w głębokim grobie złóście me zwłoki.

To wyrzekłszy, piękna dziewczyna skonała, a jej słudzy, jak ona przed śmiercią rozrządziła, zrobili,



Na rozstajnych drogach, na nieznacznój mogile wyrosła lilja biała — lilja biała rosła tak wysoko, jak piękna owa dziewczyna leżała w grobie głęboko, — I królewicz jadąc po łowach, z swemi ludźmi, ze dworem — z ludźmi ze dworem, przejeżdżał rozstajne drogi — i ludzie od jego dworu, na nieznacznym grobie, lilję białą ujrzeni — i jeden z ludzi, białej lilii wonią zwabiony, na grób nieznacznym wstąpił, i aby lilję zerwać, rękę wyciągnął, a lilja z pod jego dłoni kwiat uchyliła, i było słycać piosenkę :

Nim twa kochanka, ni twoja żona,

Ani dla ciebie tu posadzona.

Kiedy drugi, trzeci, i dziesiąty dworzanin białej lilii wonią zwabiony, na nieznacznym grób wstąpił, i aby lilję zerwać rękę wyciągnął, a lilja z pod jego dłoni kwiat uchyliła i było słycać zawsze tę samą piosenkę, donieśli o tém królewiczowi.

Królewicz ujrzawszy zdala tak piękną lilję białą, zachwycony przyskoczył, na nieznacznym grób wstąpił, białą lilję zerwał, jej kwiatem swój kapelusz przystroił, i do pałacu wrócił.

Wróciwszy do pałacu, złocisty wazon co stał w pięknym salonie białą ozdobił lilją. — A w pięknym owym salonie sypiał królewicz z wiernym swym sługą. — Królewicz strudzony łowami spokojnie i twardo zasnął, a wierny sługa bezsennie nad panem czuwał.

Kiedy wierny sługa czuwał, u drzwi salonu leżąc bezsennie, o samej północnej dobie, w złocistym wazonie ogień

zabłysnął, błysnął raz, drugi i trzeci, a z białej lilii zdobiącej wazon złocisty, powstała śliczna panna, piękna jak lilja — powstawszy w środek salonu wstąpiła, naprzeciwko zwierciadła stanęła, a łamiąc w rozpacz dłoń, gorzko westchnęła.

Zdziwił się sługa wierny, a zdziwiony i zlekły, słowa przemówić nie mógł, i tylko patrzył co dalej z tego będzie.

A śliczna panna do pięknej lilii podobna, z królewicza gotowalni, wzięła grzebień brylantowy i trefiła cudne włosy — i ciągle, ciągle gorzko wzdychała; aż kiedy kogut zapiał, w wazonie ogień błyskać zaprzestał, i śliczna panna zniknęła — i z nowu złocisty wazon, biała lilja zdobiła.

Wierny sługa się zdziwił, ale nie panu swemu królewiczowi nie mówił i czekał na drugą noc — skoro trzy nocy jedna po drugiej takie widzenie miał wierny sługa, już przed królewiczem panem swym zamilczeć nie mógł, i o wszystkim powiedział. — Królewicz wierzyć mu nie chciał, ale wierny sługa, chcąc dowieść prawdę, taki na to sposób podał: aby królewicz na jego miejscu bezsennie czuwał, a on na miejscu jego przepędzi ten czas.

Kiedy na czwartą noc, królewicz u drzwi salonu bezsennie czuwał, o samej północnej dobie, w złocistym wazonie ogień zabłysnął, błysnął raz, drugi i trzeci, a z białej lilii, zdobiącej złocisty wazon, powstała prześliczna panna jak piękna lilja — powstawszy w środek salonu wstąpiła, naprzeciwko zwierciadła stanęła, a łamiąc w rozpacz dłoń, gorzko westchnęła — potem jako i wprzód z królewicza gotowalni, brylantowym grzebieniem trefiła cudne włosy — i ciągle, ciągle gorzko wzdychała.

Królewicz widząc tak śliczną pannę, w niej się na śmierć zakochał — a bojąc się by nie uciekła, z pod drzwi salonu, kiedy bezsennie czuwał, ostrożnie i cicho powstał, na palcach, z boku się do niej zbliżył, w pół ją rękami objął, do swego przycisnął serca.

Panna zlekniiona krzyknęła, kur zapiał, błyszczący ogień w wazonie zgasnął, a śliczna panna przy jego boku, z pod jego rąk zniknęła i znowu złocisty wazon biała lilja zdobiła.

Od tego czasu wprzódki wesóły królewicz, smutkiem dręczony wszystkie uciechy świata, zabawy, łowy i królewskie rozkosze porzucił, i ciągle koło swój lilii chodząc, strasznie się smucił — a biała lilja co noc w północną dobę, w śliczną przemieniała się pannę, i kiedy ją co noc królewicz chwycił, z pod jego rąk znikła i zmieniwszy się w lilję białą, złocisty jego wazon zdobiła.

Tak nieszczęśliwy królewicz, po jednej północnej dobie, kiedy śliczna panna zmieniła się w lilję, w rozpacz wybiegł z pałacu i nad morze zaszedł — i chodząc nad jego brzegiem patrzył na burzę, na bijące o brzeg bałwany — chodził, patrzył i dumał, a jego serce, jak bałwan morski o brzegi, biło o jego piersi.

Idąc powoli, smutny w rozpacz, ujrzał w bliskości dziecinę, nad morza spadzistym brzegiem siedzącą, która małymi rączkami w morzu pluskała — Zdziwiony królewicz widokiem owej dzieciny, rzekł do niej: «moja dziecino, powiedz z kąd jesteś i czyje, zaprowadzę cię do matki, bo tu jeśli mocniejszy wicher wionie, głębokie morze wnet cię pochłonie na wieki.» — a dziecina odpowiedziała:

«Ja jestem z pod głębi morza, panem i rządcą jego bałwanów, a kiedy igram nad brzegiem, woda się burzy, bałwany biją o brzegi i walczą z falą, a ja się bawię, igram i pluskam drobną rączyną — więc lepiej ty ztąd ustąp człowieku, bo kiedy plusnę rokoszniej, ciebie głębokie morze wnet pochłonie na wieki —

Aha — pomyślał królewicz sobie, i na kilka ustąpił kroków, — a rządcą bałwanów morza w postaci owej dzieciny, obejrzał się za nim i mówił:

«Mądry człowiecze, chodzisz posępny, milczysz i dumasz, a twoje serce, jak bałwan morski o brzegi, bije w twe piersi, — a twoją lilję białą, trawi ogień piekielny, trawi i trawi i strawić jej nie może, a ty wybawić jej nie umiesz.»

Smutny królewicz widząc że pan, rządcą morskich bałwanów, chociaż w postaci małej dzieciny, zna jego smutek dokładnie i wie wszystkie skrytości, błagał go o dobrą po-

moc i radę. — A pan i rządcą bałwanów morskich, litując się nad królewicza smutkiem, rzekł:

«Z palmy święconej w niedzielę Kwietnią, utnij dziewięć gałązek, w świętości zbrojny, czekaj w swoim salonie północnej doby, a kiedy północ nadejdzie, miejsce na któremu staniesz, określ trzech króli kredą, i kiedy lilija biała przemieni się w dziewicę, wciągnij dziewicę w to koło, do swego przyciśnij boku ręką lewą, a ręką prawą machaj palmami na wszystkie strony — a chociaż ona będzie się pokornie prosić, rzewliwie jęczyć i płakać, a tobie grozić będą straszyla, widma, djabły i czary, pamiętaj byś jej nie puścił, aż zawoła *Jeżus, Marya*, ratujcie mnie niebogę!

«Gdy tym sposobem ta nieszczęśliwa wybawioną zostanie, rozkaż czem prędzej aksamitem czerwonym z twego pałacu wysłać do ołtarza drogę, — i z nią czem prędzej idź do kaplicy — i z nią na klęczkach przyjmij ślub świętej małżeńskiej wiary. — Lecz strzeż się, strzeż królewiczu, aby wyścielony aksamit, nie zatliła iskierka, gdyżby wszystko przepadło.»

Uradowany królewicz, dziękował panu i rządcy bałwanów morskich za taką pomoc i radę — a rządcą bałwanów morskich w postaci małej dzieciury, pluskając drobną rączką w morzu, roześmiał się jak dziecko, potem klasnął rączkami i buchnął w morskie głębie, i kto wie czy nie utonął, czy gdzie się podział, ale go królewicz więcej nie widział.

---

O samej północnej dobie w złocistym wazonie ogień zabłysnął raz drugi i trzeci, a z białej lilii zdobiącej złocisty wazon, powstała śliczna panna jako lilija. — Powstawszy, w środek salonu wstąpiła, naprzeciwko zwierciadła stanęła, a łamiąc ręce wzdychała, potem, jako i wprzód z królewicza gotowalni, brylantowym grzebieniem trefiła cudne włosy, i ciągle gorzko wydychała.

Królewicz w świętości zbrojny, jak z nagle przy niej stanął, trzech króli kredą koło zakreślił, pod swe ramię ją objął, aż tu ze wszystkich stron, straszdyła mary, ogień i błyskawice, niewiedziąc zkąd się wzięły — to jedna marna straszne wyciąga ręce do niego, to druga żelazne widły wymierza, to znowu inne straszdyło rozpaloném żelazem mu grozi, przypada blisko i w niego mierzy, a iskry lecą ze wszystkich stron — a ona jęczy, woła i błaga: «puść mię, bo mię zadręczysz, puść mię nie morduj, cóżem ci winna? ah zlitujże się nademną!» — a królewicz na nie nie zważa, palmą do koła macha, dziewczynę pod swém ramieniem, przy swoim boku i do serca, co ma siły przyciska.

A gdy północna doba minęła, dziewczyna woła: *Jezus Marya* ratujcie mię niebogę! — Mary, ognie, straszdyła, wszystko zniknęło, tylko dziewczyna została, i stojąc chwilę zdumiona pot zimny z czoła otarła. — Złocisty wazon co stał w pięknym salonie, białą lilją nie był więcéy ozdobiony — Królewicz nie zwleka czasu, bierze drżącey dziewczyny dłoń, — ona nie opiera się się wcale, i z nim po aksamicie czerwonym do kaplicy na swój ślub idzie.

Gdy przybyli do kaplicy, już było wszystko gotowe, i już, już ukłęknać mieli, kiedy spostrzeżono że nie wszystkie jeszcze pozapalano świece — wołają — idzie powolnym krokiem dziad rudo-brody, ale tak zły i nie miły, jakby nie był na ślubie, lecz na pogrzebie, idzie i idzie, zapala ostatnią świecę, przez nieostrożność w nią trąca, świeca na ziemię upada, na ziemię w czerwony aksamit przyozdobioną — świeca aksamit zapala, piorun uderza, ogień się szerzy, — uciekają z kaplicy — uciekli, już w kruchcie stoją, — piorun uderza raz drugi, i znowu gore, uderza trzeci, oni truchleją, — a na czarnym rumaku ogień nozdrzem ziejącym, iskrami parskającym jeździec czarny rogaty, z psim pyskiem, z kłami wilczemi, rzecze do pięknej dziewczyny: «Siadaj na koń dziewczyno, siadaj przy mnie jedyna, bo przyrzekłaś być moją — ah! jużes moją na wieki! — I z objęc



królewicza porwał swoją dziewczynę, do swego przycisnął boku, i śmiejąc się po szatańsku, klaszcząc w pazurne dłonie, ruszył w powietrze galopem.

---

## XXV.

### MIECZ ZWYCIĘZKI.

---

Młody urodziwy i silny rycerz w dziedzictwie po ojcu swym dostał zwycięzki miecz, który kiedy przypiął do boku swego i gdzie do bitwy stanął, już nieprzyjaciel struchlały o litość błagał, a kiedy miecz ten w jego ręce zabłysnął, drżąc przed nim schylali karki najmężniejsi z rycerzy — a kiedy jeszcze mocarza dłonią zwycięzkim zamachnął mieczem, powiększyły dwór jego, łupy i brańce.

Jednakże pomimo zwycięstw, łupów i brańców, młody, urodziwy i silny rycerz, gnuśniał w rodzinnym progu — rzekł więc razu jednego do siostry:

«Nie masz tu dla mnie zwycięstw i chwały, jest świat szeroki i ludzi wiele, pójdę w świat i między ludzi, więc luba siostro bądź zdrówka.»

A siostra jego, starsza od niego, w niewieście uboga wdzięki, odpowiedziała:

«Ani ja ojca, ani ja matki, gdy pójdziesz na świat szeroki, sama zostanę nieboga, bez przyjaciela, brata i męża;

więc gdy rodzinny dom ci jest ciasny, a mnie żyć trudno bez ciebie, weźże mnie z sobą braciszku luby.»

«Niech i tak będzie» — rzekł rycerz śmiały.

I zabrawszy swą siostrę i swój dwór cały, powędrował w szeroki świat.

I w drodze, w drodze dalekiej, w pośród strasznego boru, stanęli w karczmie noclegiem — i co tylko się pokładli, trzasnęły zamki, brzęknęły szyby, do ich komnaty wszedł zbójca, —

«Ha, jak się macie podróżni z dalekiej strony, jak się masz młody i silny rycerzu — wiemy o tobie, o! sława twoja i w tym rozległa się boru — lecz wstawaj! — i albo oddaj bogactwa, i miecz zwycięzki, albo się żegnaj z tym światem» — a rycerz dzielny, silny i młody, nic nie powiedział, tylko wstawszy z posłania, do swego boku zwycięzki przypasał miecz. — Co kiedy ujrzał zbójca, trzy razy tupnął, raz gwiźnął, i do komnaty rycerza czterdziestu zbójców wpadło.

«Hej śmiałku, rycerzu młody! krzyknęli zbójcy, pójdz z nami pójdz — tam w gospodniej komnacie jest wódka dobra i miód i wino, pójdz z nami pić — póki masz gardło i ciepłą krew, i w piersi bijące serce, pójdz z nam pić, — za chwilę będzie po czasie, spiesz się więc spiesz!»

«Nie tak mi pilno» rycerz odpowie, bym się miał zrywać i spieszyć, i po co jeszcze, by z wami pić? — ja spijam w kole rycerzy, a zbójców siekam na zrazy.»

Śmiejąc się zbójcy, wołali: spiesz się rycerzu, spiesz, tyś jeden, a nas czterdziestu, mały z ciebie dla nas kasek, — więc lepiej pójdz, oddaj bogactwa i miecz i podziel z nami nasz biwak, a potem idź sobie precz — bo jeśli głupim uporem zbójcę do gniewu pobudzisz, spojrzyno śmiałku młody! — i każdy zbójca dobył swęj broni.

Młody i silny rycerz, już wtenczas nie mógł wytrzymać, ale jak dobył z pochwy zwycięzki miecz, i ten miecz w jego ręce zabłysnął, niektórzy z bandy zadźwielili, a kiedy jeszcze mocarza dłonią, zwycięzkim zamachnął mieczem, za czter-

dziestym silnym cięciem, ani jeden nie żył zbójca, i czterdzieści głów zbójceckich pod jego zatoczyło się nogi.

---

Jedzie rycerz z siostrą dworem, śmiało i bogato, i na drodze za borem spotkał leżącego na ziemi olbrzyma trzymającego w ręku żelazną palkę, — na którego wołał sługa: hejże z drogi mój człowieku, boś choć wielki, te kasztanki cię stratują! — nadjechali tuż do niego — a olbrzym kiedy jedną kiwnął ręką, pojazd, konie i dwór cały, mało nie zmierzzył przepaści.

Wtedy stanął rycerz młody ze swym mieczem i zapytał się olbrzyma:

•Cóż za jeden rycerz taki, co mnie w drodze śmiesz zawadzać? — a olbrzym też odpowiedział:

•Jestem olbrzym, herszt i helman trzy razy tylu zbójców, którycheś ty pomordował i teraz czekam na ciebie, aby tą żelazną palką twój łeb roztrzaskać twardy.

I olbrzym powstał, i żelazną wymierzył palkę, ale młody i silny rycerz, jak zwyciężkim machnął mieczem, olbrzymowi obiedwie uciął nogi.

---

Jedzie rycerz z siostrą z dworem śmiało i bogato, i zjechał przed jeden pusty zamek — patrzy obok bramy za filarem, jak dąb wielki zawieszony klucz żelazny — żaden z dworzan tego klucza nie mógł udźwignąć — aż sam rycerz siłą dłonią, jak pochwycił klucz ogromny, wielką pod niebo otworzył bramę do pustego zamku wjechał i najpiękniejsze pokoje z siostrą zamieszkał — a przyległe pawilony zajęli dworzanie i słudzy. — Mieszkając rycerz w zamku jeździł z dworem na łowy, a jego siostra całe dni przebywała w ogrodzie. — Kiedy jednego razu rycerz był na łowach, siostra jego w zamkowym chodziła ogrodzie; idąc

ciemnym szpalerem, usłyszała jęk żałośny za krzakami — idzie za głosem, patrzy, aż na ziemi leży olbrzym rozciągnięty, trzymający w rękach ucięte nogi swoje — który gdy ją zobaczył, smutno zawołał:

• O Pani, patrz, co ten morderca twój brat mi zrobił — że ja pan tego zamku, z najmocniejszych olbrzymów na świecie, jak nędzny pies tułam się przy swoim domu, a kiedy mój nieprzyjaciel w moim salonie wesołe godziny pędzi, ja obumieram z bólu inędzy w własnym ogrodzie.

Olbrzym był skądny i młody z mężką chociaż wybladłą twarzą — uboga w niewieście wdzięki rycerza siostra, zakochawszy się w olbrzymie, we wszystkim go wspierała przyobiecała.

Rzekł więc cierpiący olbrzym do swęj kochanki:

• Kiedy o pani masz tak miłosierne i tkliwe serce, że mi we wszystkim dopomóż przyobiecałaś, słuchaj, a swego przyrzeczenia łatwo dopełnisz.

Rycerza siostra słuchała a olbrzym mówił dalej:

• W zamkowej wieży pod kopułą na górze jest czarnoksiężka apteka — a w tęg aptere na jednęj półce jest maść ulecządzająca najcięzsze rany, za pomocą której zrastają się odcięte człowieka członki, — idź więc o moja pani i przynieś mi tęg czarnoksiężkięj maści.

Rycerza siostra pobiegła, z wieży zamkowej maści zczarowanej przyniosła, którą kiedy olbrzymowi nasmarowała nogi, natychmiast nogi się zrosły, i olbrzym, herszt i hetman kilkuset zbójców zdrowy i silny powstał — i w komnacie na ustroniu ukryć się kazał,

Rycerza siostra, już olbrzymia kochanka, ukrywszy go w komnacie, jesć i pić mu donosiła, a przed rycerzem swym bratem o tęg wszystkim zamilczała.

Rycerz ze dworem z łowów powrócił, a siostra rzekła do niego:

«Ah mój braciszku, ty jeździsz wesół po łowach, i zapominasz o siostrze, która wielkie cierpienia i bóle znosi» — brat się wielce zafrasował, bo w całej okolicy nie było tam doktora, ani nawet balwierza, a siostra mówiła dalej:

«Kiedym w cierpieniach na samotnym łożu jęczała i sen skleił me powieki, miałam sen bardzo piękny rokujący zdrowie moje, jeśli ty kochany bracie, z czarownego ogrodu jędzdy, który za lasem i górą ciągnie się wzdłuż za murami, przyniesiesz mi chociaż jedno złote jabłko.

Brat czempredziej miecz przypasał, najlepszego dosiadł konia i do ogrodu jędzdy pojechał.

Ta jędzda, to była siostra olbrzyma, i kto tylko do niej po złote przyjechał jabłko, zaraz mu łeb urywała, a wielu zjeżdżało po nie rycerzy, bo to jabłko płeć niewieścią upiękniało. —

Więc olbrzym, obawiający się zwycięzkiego rycerza miecza, czyhając na jego zgubę, namówił swoją kochankę, aby tym sposobem jej brata zgładzić ze świata. — Na co ona azeby zostać piękniejszą, chętnie przystała.

Ale rycerz zajechawszy do ogrodu jędzdy owęj, mieczem swym uderzył w miedzianą bramę, aż cztery końce świata, powtórzyły odgłos miecza.

Przełękciona chociaż wściekła, wypadła jędzda z ogrodu i miedzianą bramę swoją w oka mgnieniu otworzyła i krzykała:

«Kto tam, kto tam śmiałek taki, czy niewolnik, czy też pan? — a rycerz jej odpowiedział:»

«Pan, pan miecza zwycięzkiego, z twego ogrodu złotego jabłka żąda!»

Jędzda żmii okiem patrzy, jej włos rudy rozczochrany z wiatru wiewem w górze wiewa, pierś zdrapana potem dymi, szaty, płachty się szastają.

Takim wzrokiem jędzda patrząc, to na oblicze rycerza to na jego miecz zwycięzki, rzekła prędko do rycerza:

*Powieści ludu.*

«Dam ci panie złote jabłko, lecz mi daj rycerskie słowo, że mnie jeszcze raz odwiedzisz.

— «Masz więc słowo, dawaj jabłko»

Ona dała jabłko złote, a rycerz do zamku wrócił i siostrze dał jabłko złote.

Kiedy siostra jabłko zjadła, niby zaraz ozdrowiała i była jak wprzód, piękniejszą.

---

Mieszkając rycerz w zamku, jeździł z dworem na łowy, a jego siostra pędziła chwile z olbrzymem, i rzekł raz olbrzym do swej kochanki:

«Zawszeż tak będę w ukryciu, dla jednego rycerza, rycerza brata mojej kochanki, dla jej miłości gnuśnieć tu w tym więzieniu? kiedy podzielasz uczucia moje, czemu wybiegiem i sztuką nie zgładzisz takiego brata, dokądże jego życie, będzie zawadą w szczęściu naszym — a ona mu odpowiedziała, że się lęka brata; miecza i silnej dłoni jego — i potem się umówili, że kiedy mu nic nie zrobiła jęzda wściekła, to innym sposobem zginąć musi.

I wrócił brat z polowania, a siostra do niego rzekła:

«Ah mój braciszku, ty jeździsz wesół po łowach i zapominasz o siostrze, która wielkie cierpienia i bóle znosi.»

Brat się znowu zafrasował, a siostra mówiła dalej:

«Kiedym w cierpieniach na samotnym łożu jęczała i sen sklecił me powieki, miałam sen bardzo piękny, rokujący moje zdrowie, jeśli ty kochany bracie, w jaskini ze swym płodem leżącej wilczycy, przyniesiesz mleka.

Brat czémprędzej miecz przypasał, najlepszego dosiadł konia i do jaskini pojechał.

Ta wilczyca, to była zaklęta olbrzymia siostra, i kto tylko po mleko do niej przyjechał, natychmiast go rozszarpała, a wielu tam zajeżdżało, bo to mleko płeć niewieścią upiękniało. Więc olbrzym czyhajac na jego zgubę, namówił swoją kochankę, aby tym sposobem jej brata zgładzić ze

świata— na co ona aby zostać piękniejszą, chętnie przystała.

Ale rycerz zajechawszy do jaskini wilczycy, mieczem swoim o róg jaskini uderzył, aż cztery końce świata powtórzyły odgłos miecza.

Przełknięta choć zajadła w jaskini leżąca wilczycy, przytuliła się do ściany i leżała cichótenko, a jej wilczki mleko ssały.—

Rycerz swój miecz zwycięzki o paszczę oparłszy wilczycy, młode jedno wilczę odepchnął, w naczynie mleka nadoił, do zamku bezpieczny wrócił i siostrze dał wilcze mleko.

Kiedy siostra wilczem umyła twarz mlekiem, zaraz niby ozdrowiała, i była jak wprzód, piękniejszą.

---

Mieszkając rycerz w zamku, jeździł sobie na łowy, a jego siostra pędziła chwile z olbrzymem, i rzeknął olbrzym do swej kochanki:

«Nigdyż nie wyjdę z tego więzienia, nigdyż nie będę szczęśliwy, przez jednego rycerza, brata mojej kochanki? a ona smutek i rozpacz z nim podzielała — i umówili się, że skoro mu nic nie zrobiła, ani jędza, ani wilczycy, to innym sposobem zginąć musi — i kiedy wrócił brat z polowania, siostra do niego rzekła:

Ty jeździsz wesół po łowach i zapominasz o siostrze, która wielkie cierpienia i bóle znosi — brat się znowu zafrasował, a siostra mówiła dalej:

«Kiedym w strasznych cierpieniach na samotnym łożu jęczała i sen skleił me powieki, miałam sen bardzo piękny, rokujący zdrowie moje, jeśli ty kochany bracie, z cudownej studni wśród boru, przywieziesz mi czarownej wody.

Brat czempredziej miecz przypasał, najlepszego dosiadł konia i do cudownej studni w wśród boru pojechał.

Ta cudowna studnia była własnością drugiego olbrzyma, brata rycerza siostry kochanka, hetmana i herszta

kilkuset zbójców, a wielu do tej studni zajeżdżało po czarowaną wodę, bo ta woda niewieścią płeć upiękniała. Więc olbrzym kochanek rycerza siostry, czyhając na jego zgubę, namówił swoją kochankę, aby tym sposobem jej brata zgładzić ze świata — na co ona ażeby zostać piękniejszą, chętnie przystała.

Rycerz pan zwycięzkiego miecza, stanąwszy śród boru, gdzie była czarowna studnia, ujrzał w około studni wielką fortecę, w której bramę kiedy mieczem uderzył, a odgłos cztery końce świata rozlegnął, jeden ze zbójców roztworzywszy ową bramę, zapytał:

«Któż taki, niewolnik, czy pan, i czego żąda?» a rycerz odpowiedział:

«Ja pan i rycerz, a żądam czarownej wody» — wpuścił go zbójca przez most zwodzony, do swego pana siedziby. — Rycerz wchodzi, patrzy, na żelaznym kowadle siedzi olbrzym, hetman i herszt swojej bandy, który, kiedy go tylko ujrzał, zawołał:

«Ha, jak się masz rycerzu z dalekiej strony, wiem ja o tobie i o twój sile, brata i jego bandy morderco! — oddaj, oddaj miecz zwycięzki, albo się żegnaj z tym światem. — A rycerz dzielny, silny i młody nic nie powiedział, tylko miecza swego dobył — widząc to olbrzym, powstał, tupnął, gwiznął i cała jego siedziba, tak z nim, jako i rycerzem w otchłani zapadła — a w tej otchłani było czterdziestu zbójców, i gdyby anioł piękna dziewczyna, do żelaznej kuli łańcuchami przykuta.

«Hej śmiałku rycerzu młody!» krzyknęli zbójcy; jesteś tu, jesteś, — a olbrzym rzekł:

«Weźcie go na to kowadło i średnimi młotami na miązgę zbijcie» — i ruszyli się zbójcy do niego, a on wznosił w górę zwycięzki miecz, i ten miecz, kiedy w jego ręce zabłysnął, niektórzy z bandy zadrżeli, a kiedy jeszcze moczarda dłońią, zwycięzkim zamachnął mieczem, za czterdziestym silnym cięciem, ani jeden nie żył zbójca, i czterdzieści głów



zbójcekich pod jego zatoczyło się nogi, a samego olbrzyma w sztuki rozsiekał.

Jak tym sposobem wszystkich pozabijał zbójców i olbrzyma posiekał, do pięknej przystąpił panny, krepujące ją łańcuchy rozerwał i zupełnie uwolnił — ale tak się w niej rycerz zakochał, że do jej nóg miecz swój rzucił i we łzach jej błagał, aby powiedziała, czy będzie jego lub nie? Rycerz był dorodny i młody, i panna odpowiedziała:

«Wielki rycerzu, kiedy tak chce twoje serce, nietylkoja, ale i lud mego ojca będzie twoim» — bo to była jedna królowna, którą zbójcy [dla olbrzyma herszta swego na żonę porwali — ale że ona wolałaby śmierć ponieść, niżli takiego męża być żoną, łańcuchami do żelaznej przykrepowali ją kuli, i dopóty głodem morzyć mieli, aż powie, że będzie olbrzyma żoną — że zaś ona tego nie powiedziała, jęcząc w tak morderczych więzach, zostawała aż dopóty, kiedy rycerz po wodę czarowną przybył, i opowiedzianym sposobem zbójców pozabijał, a olbrzyma rozsiekał.

Zakochany rycerz, skoro odwiózł do ojca królownę córkę jego, zaraz jako wybawcy król dał mu ją za żonę — i byliby do śmierci bardzo szczęśliwi, ale rycerz chcąc siostrze owęj przynieść wody, po trzech niedzielach pożycia z królowną żoną swoją z kraju tego wyjechał, do czarownej studni się udał, wody nabrał i siostrze do zamku zawiózł.

Kiedy siostra czarowną wodą twarz umyła, niby zaraz ozdrowiała i była jeszcze piękniejszą.

---

Mieszkając rycerz w zamku, już na łowy nie jeździł, myślał tylko o swjej żonie, lecz sobie także przypominał rycerskie słowo, którem przyobiecał odwiedzić jędzę — a gdy się do niej wybierał, namówiona od olbrzyma siostra jego stanęła przed nim i rzekła:

«Kochany bracie, tyleś dla mnie pracy podjął, że na twojem obliczu, widać drogę, trudy, znoje, pot z kurzem okrył

twe ramie, twarz wypalił skwar słońca, pozwól niech ci przysługę zrobię i sprawię kąpiel.»

Rycerz miecz swój odparał, zdala wanny zawiesił, nareszcie się rozebrał, do wanny wszedł i używał kąpeli — a siostra umywając mu ramiona i twarz spiekłą od słońca, pieszcząc się z nim i bawiąc, rzekła do niego:

«Kochany bracie, pozwól niech się zabawię i przekonam jaką posiadasz siłę.»

Rycerz był ciekawy, jakim sposobem ona o tem chce się przekonać, a ona pokazując mu z olbrzyma brody włos, powiedziała:

«Kiedy z mego warkocza włosem, zwiążę ci na twoim krzyżu, dwa u rąk wielkie palce, a ty ich rozerwiesz, powiem źćś mocny.

Rycerz się z tego roześmiał, i pozwoliwszy na próbę, ręce na krzyż wykręcił, a ona włosem z brody olbrzyma związała mu dwa wielkie palce — lecz kiedy rycerz palcami szarpnął, włos pęknął. — Potem drugi raz związała mu w troje, ale i tak włos pęknął — jednakże kiedy związała mu palce w siedmioro, silny rycerz włosu rozerwać nie mógł, a siostra śmiała się do rozpuku — a kiedy ten jej śmiech po komnatach się rozlegnął, do kąpeli rycerza wpadł olbrzym kochanek siostry jego i krzyknął:

«Jak się masz morderco dwóch band zbójceckich, mój gnębicielu, zabójco mojego brata, patrzysz zdziwiony iskrzącym wzrokiem to na mnie, to na swój miecz, wnet ci te oczy, tak srogim gniewem pałać przestaną i więcej swego nie ujrzysz miecza.»

Po tak okropnej przemowie, olbrzym do rycerza przyskoczywszy, zajądłemi pazury, oba wydarł mu oczy — potem do dzikiego przywiązawszy go konia, w gesty popędził bór — a wierne sługi składające rycerza dwór, w ciężkich więzach, do podziemnych zamku lochów powtręcał.

Szedł pobożny zakonnik od cudownej kaplicy, do klasztoru swych braci i pod borem na łące, ujrzał zdechłego konia i na nim przywiązanego człeka — przychodzi bliżej, patrzy, człek przywiązany na wół umarły, jeszcze w nim bije serce, lecz nie powiedzieć nie może i ślepy. — Tu pobożny zakonnik pozrywał więzy, i ślepego człowieka na własnych barkach do klasztoru swych braci zaniósł.

Pobożni księży, pomodliwszy się nad nim, kiedy spostrzegli, że on jeszcze żyć może, zawezwali doktora, który kiedy prócz oczów, zupełnie go wyleczył, ślepy człowiek opowiedziawszy ostatnią tylko przygodę swoją, że mu zbójca oczy wyłupił, a zamilczawszy o reszcie, pobożnych księży prosił, ażeby, w ich klasztorze do swej śmierci pozostał, — na co gdy z chęcią pozwolili, razem z pobożnym gronem, na modły chodził, a jego każda modlitwa, tak była szczerą irzewną: że go cały zakon bardzo polubił, i bardzo mu dobrze tam było — i byłby tam do samej śmierci, gdyby nie dręczona tęsknotą, młoda, piękna żona, owa królewna z którą tylko żył trzy niedziel i Pan Bóg dał jej syna, a syn chociaż maleńki z postawy i twarzy, był jako ojciec — więc dręczona tęsknotą, nieszczęśliwa żona i matka, poleciwszy się Bogu, wzięła synka za rączkę, i poszła w świat szukać swojego męża.

Długą i przykrą przeszedłszy drogę, zaszła do tego klasztoru i wstąpiwszy do kościoła, gdy zakon szedł na modlitwę, a ona pokorne dłonie wyciągała do nieba, ujrzała męża swego, i chociaż był oślepiiony, natychmiast go poznała, bo swój zawsze pozna swego, i ona biedna, kiedy go dobrze poznała, upadła i zemdląła.

Dziwno to wszystkim było, co za kobieta z obcych stron, o kamienną posadzkę piersiami bije i bez przytomności woła: «mężu mój mężu! a jej syn rzewnie płacze i rozpacza, — lecz się przestali dziwić, kiedy się dowiedzieli, że to jest tkliwa i wierna żona z małym dziecięciem, a biedny człowiek ślepy, to mąż czuły kochający żonę i dziecię.

Więc kiedy się rozpoznali, mąż i żona uściskawszy się nawzajem i całując dziecię swoje, tak zaraz się umówili,

aby bez najmniejszej zwłoki czasu, udali się do Królestwa, gdzie jej ojciec będąc Królem, ich powrotu oczekiwał utęskniony.

I udali się w podróż daleką, lecz, że nie mieli pieniędzy, szli sobie razem piechotą, z jednej strony niewidomego rycerza, szła cnotliwa żona jego, a z drugiej mały chłopczyzna ich syn, prowadził ślepego ojca.

W czasie tej podróży, kiedy byli blisko domu, nocując pewnego razu wśród boru, po nad rankiem przyleciało dwóch kruków, które usiadłszy na drzewinie, kędy oni spoczywali, tak mówili, a najprzód spytał się jeden drugiego:

•Gdziez ty lecisz? a drugi mu odpowiedział:

•Czy nie widzisz, ile cierpię? jestem ślepy, bo te przekłete sokoły, co ludziom służą, kiedy wczorą na mnie wpadły, obu oczów postradałem i ledwie z życiem zemknąłem — więc lecę do tego źródła za lasem, co wzrok przywraca — i pierwszy mu rzekł:

•Oj to się spiesz miły bracie, bo jak słońce tylko wstanie, to źródło wzrok przywracające, wypije.

•A to bądź zdrow, lecę, lecę — i poleciał.

A królowna żona młodego nieszczęśliwego rycerza, nie mogąc spać po nad rankiem, słysząc rozmowę kruków, czém prędzej za odlatującym w tę samą stronę pobiegła — i zabiegłszy za las, uprzęta zdala, jak czarny kruk w ślącym jutrzemką źródelku, obmywał oczy, i obmywszy, odleciał.

Królowna mając przy sobie flaszkę podrózną, w to samo miejsce pobiegła, z błyszczącego jutrzemką źródła, wody nabrała i do męża wróciła — mąż się też właśnie przebudził, a ona do niego rzekła:

•Mężu mój luby, dozwól, niech twoje nieszczęsne oczy przemyje, — on jej pozwolił, a kiedy za trzecim razem przemyła, rycerz jej młody urodny mąż, na oczy przejrzał.

Jaka to była radość powiedzieć trudno — ale uszczęśliwiony rycerz powrotem swojego wzroku, prosił żony, aby

mu dozwoliła wstąpić do zamku, gdzie jego nikczemna siostra ze swoim mężem olbrzymem przebywa, bo tam jego wierni słudzy w kajdanach jęczą, i tam jego miecz zwycięzki.

Nie mogąc się żona oprzeć tak słusznej prośbie męża, z synem w bliskości została, a on wszedłszy do zamku, najprzód wpadł do tej komnaty, gdzie wisiał jego miecz — wpada, swój miecz zdejmując ze ściany i biegnie przez znajome salony, biegnie i drzwiami trzaska i mieczem brząka — a olbrzym słysząc, ten podwoi trzask i miecza brzęk, naprzeciw niego ze swoją żoną wypada — i gdy zdziwieni oboje, za filar schronić się chcieli, a olbrzym wymierzył żelazną pałkę, młody i silny rycerz, jak dobył z pochwy swój miecz, i jak nim machać zaczął, ogromnego olbrzyma na drobne porąbał sztuki — na wyrodną zaś siostrę niechając nawet i spojrzeć, w podziemia zamku się udał, z kąd sługi i dwór wybawiwszy, do jędzy, której dał rycerskie słowo, poszedł — i przybywszy do ogrodu, w miedzianą bramę mieczem uderzył, aż cztery końce świata powtórzyły odgłos miecza.

Pzelękniona chociaż wściekła, wypadła jęzda z ogrodu i miedzianą bramę swoją w oka mgnieniu otworzyła i nie krzyknęła jako wprzód, ale gdyby nie jędzonka, do rycerza smutnie rzekła:

•O rycerzu, z jabłkiem złotem, oddałam ci serce moje, a ty już masz inną żonę — jednak za to, żeś rycerskiego dotrzymał słowa, powiem ci jedną rzecz, byś czempredziej biegł do zamku, jeśli chcesz być jeszcze żywy — a więc bądź zdrow i szczęśliwy.•

Rycerz do zamku bieży, do znajomych komnat wpada — patrzy, jego siostra zaczarowaną maścią, posiekane ciało olbrzyma zlepia, i już, już ostatni kawałeczek przyprawiała, a olbrzym już się ruszał, kiedy rycerz silny młody, zwycięzki miecz swój podniósł, i tak na nowo olbrzyma, jako też potem i siostrę, na drobne sztuki porąbał — i dopiero

z dworem swoim i wierną sobie służbą do żony i syna wróciwszy, z nią się złączył, do jej ojca zaszedł, i po jego śmierci był królem.

## XXVI.



Choć płynęła rzeczka przez wieś, jedna z dwóch sióstr, młodsza Kasiula, do dalekiego źródła przed wschodem słońca miała zwyczaj chodzić po wodę, bo w dalekim źródle pod borem tylko ptaszyny swemi dzióbkami czyściuchną wodę czerpały, tylko nagły wiatr ją zamaćił.

Przyszłaż Kasiula razu pewnego według zwyczaju do czystego źródła po wodę, co zaczerpnie, woda z jej wiadra znika, a kiedy nadaremnie czerpaniem zmęczona spoczęła, słyszy miły i tkliwy głos:

Moja miła Kasiuleczku (\*)  
Kiedy ztąd chcesz wodę brać,

---

(\*) Słyszałem także tę samą pieśń w tych samych zupełnie wyrazach, z odmianą tylko imienia *Kasi* na imię *Celerya*. (?)

To mi musisz ślubować,  
Czy moją będziesz? —

Kasia przenikniona tym głosem nie wiedząc co czyni,  
odpowiada:

•Radabym ztąd wodę brała,  
Radabym ci ślubowała, —

I wyszedł z głębi źródła złocisty wąż i rzekł:

•Nie jestem ja takim, jak mnie widzisz, ale jestem wysokiego rodu panem, a zostaje w zakłęciu, i dopóty pod węża postacią mam cierpieć i w tym zimnym mieszkać źródła, aż ślubować mi będziesz taka, jak ty piękna i poczciwa dziewczyna.«

Piękna dziewczyna, ulitowawszy się wysokiego rodu panicza, zakłętego w węża, ślubować onemu przyrzekła. A więc dziękując jej za tak dobre serce, błagał, aby codziennie przed wschodem słońca, przychodziła nad źródło do niego, a jeśli przez rok cały tych odwiedzin dotrzyma, tym sposobem on z zakłęcia będzie wyswobodzony, poczem się pobierą i oboje będą szczęśliwi.

Kiedy codziennie przed wschodem słońca, Kasiuła nad źródło przez pół roku chodziła, wysokiego rodu pan zakłęty w węża, miał wolność na chwilę zrucać swą skórę, i przez czas rozmowy, onę taką skórę do schowania dawał, a gdy na górze zaświeciło słońce, oblekał się młodzian w skórę swoją, dziewczynę pożegnał, w źródło pluskał i znikał,

Starsza jej siostra Marychna, ciekawa gdzie Kasiuła i drugie pół roku przed wschodem słońca biega, wysłedziła jej kroki, widziała stojącą ją nad źródłem i z pięknym rozmawiającą młodzieńcem, czego jej zazdroszcząc, oskarżyła ją przed matką — a matka zakazała Kasiuli codziennie nad czysty źródło przed wschodem słońca biegać.

Wysokiego rodu pan zakłęty, przez większą połowę na ów czas był wyswobodzony i mógł już do południa w zwykłej postaci pięknego młodzieńca przebywać, lecz Kasiuli do niego widać nie było, i nieszczęśliwy nie mając przy sobie kochanki, nie miał komu dać do schowania swęj skóry.

Nie mogąc wszakże wytrzymać, aby się dowiedział, czy już nie żyje, czy go zdradziła, przed wschodem słońca jednego dnia, zruciwszy z siebie węza skórę, dosiadł rączęgo konia i na podwórze ojców Kasiuli wjechał.

Kiej go Kasiula oknem dojrzała, przeciw niemu wybiegła, on jej czémprędzej podał skórę węzową, a ona ją w zanadrze schowała.

Młodzian wchodzi do izby, ojców pozdrawia, ojcowie go przyjmują i siedzieć proszą, ale jemu się spieszy, jemu pilno, on nie usiadł, tylko powiedział, że kiedy indziej, a niezadługo u nich gościć będzie — potem ojców pożegnał, od Kasiuli skórę swoją odebrał, na konia wsiadł i pojechał.

Marychna starsza siostra Kasiuli zważała, że piękny młodzian Kasiulą tylko zajęty, że z nią nawet nie rozmawiał, a zazdrością przejęta skarżyła się rodzicom — a rodzice zakazali Kasiuli, aby, skero przyjedzie ten młodzieńiec, przeciw niego nie wybiegała.

I w kilka dni pędził na koniu młodzian i na podwórze ojców Kasiuli wjechał, ale gdy Kasiula choć go oknem dojrzała, k'niemu nie wybiegła, on czémprędzej do izby wpadł, Kasiuli coś podał, a ona w zanadrze schowała — potem ojców przywitał, ojcowie go mile przyjęli, siedzieć prosili, — ale jemu się bardzo spieszyło, on tylko chwilę posiedział i mówiąc, że za trzecim razem, dłużej gościć będzie, ojców pożegnał, od Kasiuli coś odebrał, na konia wsiadł i pojechał.

A Marychna znowu skarżyła się przed ojcami, że jej siostra Kasiula, choć od niej młodsza, kochanka zawsze



odmawia, a ojcowie zakazali Kasiuli, aby, skoro ten młodzieniec przyjedzie, z nim wcale nie rozmawiała.

I w jakiś czas pędził na koniu młodzian, i na podwórze ojców dwóch dziewcząt wjechał, a gdy go Marychna ujrzała, Kasię od okna odepchnęła i sama na jej stanęła miejscu. — Młodzian więc, jak do izby wpadł, za Marychnę, gdzie Kasiula w kącie stała, skórę swą rzucił, którą ona czempredzój porwała, i w zanadrze schowała — i tak za każdą razą gdy przybył, skórę wężową Kasiuli sekretnie do schowania dawał, i kiedy wyjeżdżał, tak samo ją odbierał. Młodzian potem ojców przywitał, ojcowie go mile przyjęli, siedzieć prosili i później zapytali: którą sobie upodobał z ich dziewczek: czy Marychnę, na którą, jako na starszą teraz czas przychodzi, czy też Kasiulę, na którą jako na młodszą, dosyć jeszcze jest czasu. Wysokiego rodu młody pan przeniknął, że gdyby o Kasiulę prosił, z kwitkiem odjechałby musiał, i dopiero wtedy powrócić, kiedyby starsza Marychna poszła za męża — powiedział więc młodzieniec:

•Obie dziewczki udały mi się w urodzie, ale niewiem, która z nich więcej mnie kochać może, i która będzie lepszą żoną. —

A zatem umówili się, ażeby wróżka przeznaczenie tych dziewcząt odkryła.

I gdy przybyli do wróżki, rzekła ona:

•Oto są dwie próżne miedziane wanny, która z tych dziewcząt wprzódę pełną wannę naniesie wody, ta pierwsza za męża iść winna. •

Marychna pobiegła czempredzój do rzeczki przez wieś płynącej, a Kasia zwolna do czystego pod bór poszła zdroju.

Starsza Marychna, aby pierw poszła za męża, spieszno wodę nosiła, młodsza zaś Kasia daleko miała nosić i kiedy Marychna trzy wiader do swęj wanienki wlała, Kasia ledwie z jednem wróciła, ale to jedno, jak zaczęła lać do wanny, dopóty lała, aże jej wanna stała się pełną.

I już Kasiula miała pójść za urodnego panicza, już on drugim dniem po wschodzie słońca na swe zaręczyny przyjechał, gdy rodzice dwóch dziewcząt onemu rzekli, aby wróżka powtórnie i sprawiedliwiej, przeznaczenie ich dziewcząt odkryła:

I gdy przybyli do wróżki, rzekła ona: «Oto są dwie srebrne czary, która z tych dziewcząt jutro, przed słońca wschodem pełną czarę kroplistej rosy uzbiera, i której rosa będzie czystsza, ta pierwsza za mąż iść winna.»

Marychna wstała przed świtem, i czempredziej na szerokie łąki pobiegła — a Kasia później i zwolna do czystego pod bór poszła zdroju.

Przybywszy z pełnemi czarami rosy do wróżki, zastały tam już ojców i urodnego panicza. — I starsza Marychna, kiedy swą rosę ze srebrnej czary, w kryształowe naczynie wlała, zbrudził się kryształ czysty, a w zebranych kroplach rosy, pływały małeńkie gady.

A zaś, kiedy młodsza Kasiula swą rosę ze srebrnej czary w kryształowe naczynie wlała, jej czysta rosa, jak iza ozdobiła kryształ czysty i znać nie było, co rosa, a co kryształ.

I już Kasiula miała pójść za urodnego panicza, już on w następnym dniu przed południem, na swe zaręczyny przyjechał, gdy rodzice dwóch dziewcząt, onemu rzekli: aby wróżka po trzeci raz, przeznaczenie ich dziewcząt odkryła.

I gdy przybyli do wróżki, rzekła ona: «Oto są dwa kłębki złote, która z tych dziewcząt przed wschodem słońca, na który bądź z tych kłębków, więcej nawije błękitnej mgły, ta pierwsza za mąż iść winna.»

Marychna wstała przed świtem, a wyszedłszy na pole, i nie wiedząc, jak na swój kłębek złoty, błękitną nawijając mgłę, umyśliła sobie czekać na Kasię, aby ujrzeć, co ona robić będzie. — Patrzy, a Kasia idzie zwolna, do czystego pod bór zdroju — i, Marychna poszła za nią.

Kasia stoi nad zdrojem, a nad zdrojem pełno mgły — i gdy Kasia ponad zdrój, wyciągnie rękę swą, za każdą razą bez końca wlecze nić mglistą i na kłębek zwija złoty — a Marychna z drugiej strony, co wyciągnie rękę swą, mgłę na dwie rozdziela strony.

Starsza Marychna, widząc kłębek swój pusty, kiedy Kasiuła z nawitą mgłą, zwolna ku domu wracała, gniewem i zazdrością przejęta, młodszą siostrę wyprzedziła — i po siekierę pobiegła — a spotkawszy ją na łące niedaleko czystego zdroju pod borem, onę zabiła!

Zabiwszy Marychna, młodszą siostrę swą Kasiułę, na tejże pogrzebała ją łączce i usypała niską mogiłę — a potem przed wróżką, gdzie stanęli także ojcowie i urodny młodzieniec, kłębek nawitej przez zabita siostrę błękitnej mgły, złożyła. — a na pytanie, gdzie jest siostra Kasiuła? «Niewiem» odpowiedziała.

Czekali wszyscy dzień, dwa i dziesięć, na powrót młodszej dziewczyny, lecz że jej doczekać się nie mogli, mówili ojcowie do urodnego pana, aby Marychnę, która cały kłębek zwineła mgły, pojął za żonę, a o tamtej wietrznicy zapomniał, która jeżeli nie pobiegła za innym, może jak dobra siostra, aby ustąpić pierwszeństwa starszej, u znajomych lub krewnych została.

Zbliżał się koniec roku wyswobodzenia zaklętego panicza, który przed zachodem słońca, zruciwszy z siebie węza skóry, dosiadł rączego konia, i do ojców Marychny, na swe zaręczyny przybył.

Przybywszy, o swém zaklęciu, wszystko wiernie powiedział i w końcu dodał, oddając skórę swą do schowania Marychnie, jako swęj przyszłej żonie: że już tylko siedm dni brakuje, a on z zaklęcia zostanie wolny i do śmierci będzie szczęśliwy,

Siedm dni, to długo, Marychna myśli sobie, a kiedy ma być mężem moim, niechże nim będzie czémprędzej — i myślała co począć, jak zrobić, aby urodny jej kochanek już

nieodjeżdżał, bo gdy odjedzie, myślała dalej, może znajdzie inną, i tu więcęj nie wróci.

Kiedy sobie tak myślała, ojcowie stół zastawili, z sąsiadami i krewnymi, córki swojej zaręczyny wyprawiali — jedli, pili, rozmawiali, i nic nie brakowało, prócz muzyki.

Az tu idą pasterze i na fujarkach grają, a pan młody i goście, pasterzy proszą, by przed ich domem zagrali.

I zagrali pasterze smutno i wesoło, naprzód wszyscy razem, a zaś potem po jednemu, każdy pastérz grał z osobna — a jeden z nich ostatni, ale najwdzięczniejszym głosem, wyraźnie grał taką pieśń.

Graj pastuszkę graj,

Bóg dopomagaj —

Starsza siostra mię zabiła,

Marnie duszyczkę zgubiła,

Za kłębuszek mgły! —

«Co to za pieśń?» rzekła matka, ugodzona w serce swoje macierzyńskie — «Co to za pieśń?» rzeknął ojciec i z nim goście.

Po czém matka oglądając fujarkę, zkadby jej pasterz nabył, pytała — a pasterz odpowiedział:

«Tam na łące, niedaleko czystego źródła pod borem, na niéznacznęj mogile stoi płacząca wierzba — z owęj to wierzby wykręciłem tę fujarkę.»

I matka przytknąwszy do ust fujarkę, grała:

Graj matulu, graj,

Bóg dopomagaj,

Starsza siostra mię zabiła,

Marnie duszyczkę zgubiła,

Za kłębuszek mgły! —

Ojciec zdziwiony porwał fujarkę, nadał, a fujarka gra

Graj tatulu, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Starsza siostra mię zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły! —

Zadziwieni sąsiedzi i goście, jednym fujarki tonem, po  
jednemu probując, grali:

Graj sąsiedzie, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Starsza siostra mię zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły! —

Podano potem fujarkę urodnemu paniczowi panu młode-  
mu, a fujarka mu zagrała pieśń:

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Bo gdym wodę z źródła brała,  
W tenczasem ci ślubowała,  
Że twoją będę. —

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Bo mię siostrzyczka zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły. —

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Bo ja leżę w mogiłeczce,  
Sypiam w zimnej pościółeczce —  
A nademną wierzba płacze.

Graj kochanku, graj,  
Bóg dopomagaj — (\*)

Panicz urodny przestawszy grać, swój niby narzeczonej  
fujarkę podał, a fujarka znowu grała:

Graj siostrzyczko, graj,  
Bóg dopomagaj,  
Boś mię niewinnie zabiła,  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły!

Siostrze zbójczyni fujarka z rąk upadła, wszyscy zdzi-  
wieni milczeli. — Wtem, pogodny wieczór zasępsiał, gruby  
obłok zakrył miesiąc, gwiazdy, i niebo całe — co raz cie-  
mniej — a urodny panicz do Marychny zbójczyni rzecze:

•Już ciemno, już na mnie czas, gdzie moja węża powłoka?

A ona zamiast mu oddać skórę jęgo, tak, jako jej siostra  
oddawała wiernie, aby urodziwy jej przyszły mąż, nie  
przedziergał się więcej z człeka na węża, w palący się ją  
ogień na kominie wrzuciła.

Jak ta skóra zaczęła się w ogniu smażyć i palić, okropne  
męczarnie cierpiący młodzieniec, wyrzekł tylko:

•O przekłeta zbójczyni, przez ciebie jeszcze rok cierpieć  
muszę — jak oparzony z izby wybiegł i zniknął.

A było co raz ciemniej, i co raz grubszy obłok zakrywał  
niebo, aż kiedy strasznie zagrzmiało, kiedy ten obłok na  
w pół się przedarł — uderzył piorun.

Zadrżeli wszyscy w izbie przytomni i poczęli się mo-  
dlić —

---

(\*) Ta pieśń ma być daleko dłuższą, bo w niej dziewczyny śmierć  
opiewa pieszczalka, lecz nie mając udzielonych sobie dalszych zwrot-  
tek, nowym dodatkiem nie wypadło zepsuć wierności dawnej kom-  
pozycji ludu.

Po uderzeniu gromu, wyjaśniło się, ciemny obłok okrył niebo, patrzą po sobie ojcowie, goście, sąsiedzi i dziwią się na nowo, bo między niemi, nie masz owęj zbójczyny — i nigdy jej nie widzieli — tylko jeszcze powiadają, że o północnej dobie, na łączce, niedaleko czystego źródła pod borem, około nizkiej mogiły, gdzie wierzba wiatr powiewa, biega widmo w bieli i razem z wichrem śpiewa.

Graj pastuszku, graj,  
Graj matulu, graj,  
Graj tatulu, graj,  
Graj sąsiedzie, graj,  
Graj kochanku, graj —  
Ja młodszą siostrę zabiła.  
Marnie duszyczkę zgubiła,  
Za kłębuszek mgły. —

Spiewać *«Bóg dopomagaj»* ona nie może, bo jej niedomni usta, nie wolno wymienić Boga, aż do sądnego dnia.



## XXVII.

# POSTRONEK.

Sieciech i Wojciech było dwóch braci — w młodości dwaj te chłopaki, razem chodzili na rybki, razem na ptaszki i na slizgawkę biegali razem.

Lecz kiedy byli na rybach i czasem co ułowili, Sieciech jak starszy dzieląc się z bratem wspólną ich pracą, zawsze miał taki zwyczaj, że sobie wybrał, to węgorka, to szczupaczka, sendacza albo swinkę, a Wojciechowi młodszemu bratu, piskorze, płotki, karaski, zostawiał.

Tak się też działo z ptakami, jeśli gniazd nawykręcali, Sieciech zabierał sikory, szczygły i gile, a bratu oddał, wróble, śmieciuchy. — Taki brat Sieciech miał zwyczaj, a więc dla tego, jak ich ojcowie pomarli, i cały swój dobytek im zostawili, Sieciech zaproponował, że im nie sposób, wspólnie pracować, ale się lepiej podzielić, i podzielił się z Wojciechem, lecz się podzielił według zwyczaju, to jest: najlepsze grunta, łąki, budowle, bydło i trzodę, zabrał dla siebie, a nieużytki, wydmy, mokradle, w pół zwałoną chałupę, ślepego konia, chude krowiny, i parę prosiąt, przeznaczył bratu.

A gdy owi dwaj bracia wkrótce się pożenili, i gospodarki się jęli, niedługo Sieciech tak się dorobił, że został panem Sieciechem, zaś Wojciech, który nie miał czém



co radzić, próżno się starał, i w okolicy wszyscy mówili gdy o nim napomnieć przyszło: to ten ubogi Wojciech, brat bogatego pana Sieciecha. — Itak było w istocie, że im pan Sieciech był bogatszym, to brat Wojciech biedniejszym, i w końcu tak Wojciech zbiedniał bardzo, że już bez wsparcia, siebie, żony i dzieci, wyżywić nie mógł. Lecz że ubogi Wojciech, co tydzień prawie, do pana Sieciecha po wsparcie chodził, co jemu zdało się za często, rzekł jednej niedzieli pan Sieciech, do brata swego Wojciecha:

« Widać, że nie ma dla ciebie szczęścia na świecie, bo przecież, całym dobytkiem, tak się z tobą równo podzieliłem, że gdyby miernik pułanki zmierzył, łokciaby więcej, ni mniej nie znalazł: - a tyś zubożał — wiesz co? kto niema szczęścia, cóż mu po życiu, cóż takie życie, narzekać, płakać, jak ty narzekasz i płaczesz, do śmierci wyciągać rękę i żebrać, jak ty wyciągasz żebrząc jałmużny — gdybym to ja był na twojem miejscu, zakpiłbym z takiego życia i losu, niechby mnie raz djabli wzięli.

Ubogi Wojciech słuchał, serce mu biło, włosy na głowie powstały, a pan Sieciech po chwili milczenia powiedział:

« Wiesz co, pójdźmy na rynek, kupię ci jedną rzecz, z której wiem, że będziesz kontent »

Poszli na rynek, nie mówiąc słowa do siebie, bo pan Sieciech, nie miał już co więcej mówić, a Wojciechowi, tak było jakoś, czy nie dobrze, niemilo, czy mu się słabo robiło, że nie mógł ust otworzyć — czuł tylko, że jego dusza, i na ubóstwo, i rady brata, słowem na wszystko, dosyć spokojna.

Przyszedłszy na rynek, pan Sieciech kazał bratu Wojciechowi, na podsieniu zaczekać, a sam poszedł kilka kroków dalej i do jednego kramu wstąpił — potem wyszedłszy na brata mignął, on za nim poszedł, i wyszli oba za miasto.

Za ogrójcem, za górką, stanął pan Sieciech, obejrzał się do koła, nie było tam nikogo, tylko z ogrójca z zagórki, wyglądał z pomiędzy dwóch topoli Krzyż święty.

Gdy go ujrzał pan Sieciech, zapuścił oczy na ziemię, i jakby się wstydził Krzyża, ledwie że je podźwignął, i do brata się ozwał, aby się jeszcze niżej spuścili.

Zszedłszy niżej za górkę stanęli, pan Sieciech znów się obejrzał, nie było tam nikogo, i krzyż w ogrodzie za górką został, tylko wierzch dwóch topoli, co go osłaniał, w przeciwną wiewał stronę.

Tu rzekł pan Sieciech do brata swego Wojciecha:

•Wiesz? kupiłem, zrobiłem to dla ciebie więc idź — tylko nie w moim lasku, paniętaj — wszak tyle drzew jest w tym drugim, gdzie ten stary dąb skrzipi, on ma tyle gałęzi i sęków, tam ci będzie wygodnie»

Tak mówiąc pan Sieciech, prędko choć przerywanym głosem, wyjął z pod kapoty, dobry mocny postronek i oddając go bratu dodał.

•No, idź, powieś się»

— Ośłupiały, przełękły, kiedy taką radę brata usłyszał, na wpół obumarły, od nagłej niespodziewanej śmierci, z cicha sobie zawołał, ale mu zęby szczękły i usta się zamknęły — jednakże wyciągniętą ręką podany mu postronek odebrał, a brat pan Sieciech mówiąc, no idź, spiesz się, — bądź zdrow, poszedł sobie do domu.

Wojciech szedł wolnym krokiem do lasu, serce w nim mocniej biło, nogi pod nim drżały — a kiedy pole minął ujrzał się w boru, w części do jego brata należącej, a iż tak osłabł, że już i dalej postąpić nie mógł, zemdlony pod jednym drzewem usiadł i spoczął.

Siedzi, spoczywa, myśli sam nie wie o czem, aż mu przyszła na myśl jego nędza.

•Mój Boże! mówił w duchu, zamiast przed Tobą, mamże dziś w piekle stać, za co? żem biedny, i ja dla biedy mam gorąć w piekle, a Ciebie nie widzieć Panie, któryś świat stworzył i mnie na świecie, i któryś powiedzieć kazał, że biednych jest królestwo niebieskie? — nie, odbierać życia, któreś dał Panie, .. o nie! tego nie zrobię.»

I Wojciech słuchając głosu prawego sumienia swego, odrzuciwszy radę brata Sieciecha, z wyjaśnionem czołem, spokojną twarzą, po trudach i po zmartwieniu, otarłszy gorzką łzę, oparł na pniu swoją głowę i zasnął.

Po nad śpiącym Wojciechem przeleciał gołąbek, jako śnieg biały, niosąc w dziobku palmę kwitnącą, i tą palmą kwitnącą uderzył Wojciecha w skronie, uderzył raz, drugi, trzeci i odleciał.

Wojciech otwierając powieki, na piersiach kładzie Krzyż święty, i wstając wesół swobodny, czy też to prawda zawoła— ach taki sen, jak na jawie, tyle pieniędzy, ja tak szczęśliwy, i moja żona i dzieci moje;— Tak mówiąc w duszy, Wojciech ubogi, postronk dar swego brata, u wierzchu gałęzi wiąże, a schwyciwszy go rękami, całym ciężarem swójego ciała drzewo nagina, aż drzewo skrzypi, aż korzeń pęka, skrzypi, trzeszczy, korzeń łamie,— i złamane, zgruchotane drzewo na ziemię upada— a z pod drzewa, z pod korzenia, widać żelazny kocioł.

Wojciech kocioł z ziemi dźwiga, ciężką przykrywą podnosi, patrzy, aż pełny kocioł pieniędzy.

Uklęknął Wojciech, zmówił pacierze, i postanowiwszy święcie, trzecią część znalezionego skarbu oddać dla biednych, pieniądze zabrał, i do domu powrócił.

Pan Sieciech, kiedy po udarowaniu brata postronkiem, do swego wrócił domu, taki był niespokojny, tak go coś trufo, że sobie miejsca znaleźć nie mógł,— chodził po izbie nierównym krokiem, stawał, w okno zaglądał, po szybie palcami brzęczał, aż to żona spostrzegła i o jego zmartwienie się zapytała.—

Człowiek nieszczerzy, obłudny, co od małego wszystko skręcać przywyknął, dla najpierwszego, najlepszego przyjaciela, jakim jest żona i być powinna, nawet szczerym być nie może—i pan Sieciech nie powiedział prawdy żonie, powiedział tylko, że jak biegł prędko, jak leciał, jak się potknął, tak..... coś go zabolalo.

Tkliwa żona o zdrowie swego męża, zakrzętnęła się niebawem — i, nie wyszło dziesięć minut, już ziołeczka, wódeczka, to powidelka, na żądanie gotowe stały — lecz gdy mąż do niczego nie miał gustu, anaglony, cierpki, smutnie odpowiadał, żona znając męża swego, nie przez żaden cud odgadła, że onego nic nie boli, tylko ma jakieś zmartwienie, i nuż badać i nuż prosić — «może ci łąkę wypaśli, może bydelko zajęli, zasiewy potratowali, gaik wycięli» —

Na wszystko milczał, lub mówił nic, i a gaik się wzdrygnął, stanął, w okno spojrzął, palcem po szybie pisał, i nic nie mówił.

Ah! mężu, mężu, — przenikliwa niewiasta rzecze, możeś zgubił znak lub ślad, gdzie zakopane w lesie pieniądze? —

«Pieniądze? — prawda — pobiegnę, przyniosę, albo zobaczę.»

I czyniąc zadosyć przeczuciu żony, aby się pozbyć badań kobiety, poszedł, pobiegł, poleciał, zwykłą do lasu dróżyną.

Przy dróżynie w ogroju, w pośrodku dwóch topoli, stał Krzyż święty, — spojrzął na niego pan Sieciech, oczy naziemię zapuścił, i jakby się wstydził Krzyża, ledwie że je podzwignął, i mimowolnie pomyślił: on wie wszystko.

A iżby czarne myśli, z bolesnego wyzuć serca, podwoił kroku i niebawem stanął w lesie, a było to w owej chwili, kiedy Wojciech brat jego, tylko co pieniądze zabrał i już był w domu, —

Sieciech do swego przypada swierku pod którym skarby zakopał, patrzy, wierzch swierku o ziemię wsparty, korzenie powyrywane, pod korzeniami dół dość głęboki, lecz pusty — obok ni głębiej, nie masz kociołka z pieniędzmi, i nie ma. —

Co za okropny żal, co to za rozpacz, ścisnęły Sieciecha serce, ah, nie tylko jego serce, jego myśli, duszę jego, przeniknęła boleść sroga, — bo straciwszy ten dobytek, wyrzuciło mu sumienie, dobitnymi w duszy słowy: na toś tyle głowy suszył, tyle krętarstw i oszustwa, przez długi się czas dopuszczał, byś za te podłe staranie, już nic, ah nic nie posiadał? — i w tym ogromie zgryzoty, ujrawszy na gałęzi uwiązany postronek, ten sam, który dla swego brata kupił, na swoją założył szyję, i, — powiesił się. —

## XXVIII.

# PRZEZNACZENIE,

## POWIEŚĆ O ZŁOTYM PTASZKU

OPOWIADANIE STAREGO FILIPA.

Jak dzisiaj, nie tak bywało przed laty—dziś, jeśli Bóg dał ci dobytek, żonę i dziatwę, spokojnie sobie siedzisz w zagrodzie, na pewno orzesz zagony, siejesz na pewno i pewny masz plon.—

Dawnemi laty, przy pomyślności, przykre też bywały czasy, a nieraz twoja zagroda, była nie twoją, żona nie twoja, dzieci nie twoje—zagony, coś dziś uprawił, jutro stratował koń dziki—a na tym koniu jeździec poganin z tatarskiej hordy, kiedy wpadł w chatę lub dwór, chatę, dwór spalił, ciebie mordował, dzieci zarzynał, a na wpół umarłą żonę, siostrę lub córkę, skrupowane więzami w swoje zapędzał strony.

Tak to bywało czasem przed laty—i z tych to czasów, opowiem o złotym ptaszku, ale was wcześniej uprzedzam, skoro w myśl waszą nie trafię, nie kładźcie na mnie kłamstwa i winy, bo tylko to wam powtórzę, o czém ojcowie nasi mówili, o czém ja ciekawie słuchołem i w młodości mojej marzyłem,—chcecie to wierzyć, nie, chcecie, to nie,—a ja zaznaczam:—

Onych to czasów jakem napomknął, dziki tatarzyn wtargnął w nasz kraj, palił, mordował, nasze dziewice sromocił — wszystko mu było zarówno czy chłop, czy szlachcic lub książę, byle krew rozlać, byle zrabować. —

Jeden też książę z królewskiej krwi od wschodniej strony, przed poganinem uchodząc z rodziną swą, w tej okolicy pod naszym borem, został przez nich schwytyany. —

Jak oni go schwytyali, ze wszystkiego obdarli i zrabowali, służbę pozarzywali, a małą dziewczynkę, córkę i pociechę jego w krzaki rzucili — o samym zaś księżęciu to nie wiadomo, czy go rozsiekali i zjedli, czy do swojego kraju zawiedli, jeno to, że tak z samego księżęcia, jako i dworu, ani dymu ni popiołu. —

Nie został też i poganin, gdyż miał zwyczaj zawsze taki, że jak spalił i zrabował, do swego zmiatał kraiu — bo jeśli się zabawił, nasi bez żartu, jak się tylko zebrali, ostre swoje szabllice, na jego tępili karku. —

Z tych więc okolic, z pod boru, kiedy umknął tatarzyn i książę z rodziną swoją przepadł na wieki, gospodarz wyszedł zśród lasu, na nowo orać zagony, pasterz bez trwogi bydełko pędził, i tylko na bór spoglądał, a kiedy wilka obaczył, oha! (\*) zawołał, a wilk strwożony w gęstwinę wrócił — i pasterz śpiewał swoje piosenki wesoły, a wilk uciekał w chrapy, zarośla, doły.

Po wróceniu się takiego szczęścia i tak błogiego czasu jak teraz do naszych stron, z pod gąszczów pastuch jeden, za łąkami pod czarnym lasem pilnując swego bydła i trzody zdala dziecięcy płacz usłyszał, a idąc za głosem, może najwięcej trzyletnią dziewczynkę napotkał samą jednę pod borem która gdy go ujrzała, małe swoje ręczyny do niego wyciągała.

Aniołeczkowi podobną ową dziewczynkę wziął pastuch na ręce swoje, bo to był pastuch bardzo poczciwy, a i któżby tego nie zrobił? —

---

(\*) Wykrzyknik, na odstraszenie wilka od trzody, przez pasterzy używany

On, że nie miał potomstwa ze swoją, za ten dar dziękował Panu Bogu, a nie wiedząc, że to księżniczka, chował znaną dziewczynkę, tak jakoby własną, i kochał ją bardzo, i ona też sama pastuszyna miłowała ją serdecznie, a dziewczynina, tak się do nich obojga przywiązała, że choć już i 15 lat miała, na jedną chwilę nie mogła być od swoich dobroczyńców daleko, razem więc wyganiała z niemi bydło w pole, razem z niemi takowe pasła, a przygnawszy je do domu, jakową tylko mogła, zatrudniała się robotą.—

Lecz ten poczciwy pastérz, był bardzo biedny, ani sobie, ani swój żonie, ani dziewczynie, nie mógł świętecznego nigdy sprawić odzienia i dla tego owa dziewczynka, chociaż chędogo, ubraną była ubogo.

Ubóstwo kogóż to krzywdzi? często uboga szata okrywa cnotę—i pastuchów dziewczyna choć w ubogiem odzieniu, była pobożna, cnotliwa i cicha; prócz pobożności i cnoty miała owa dziewczyna, jeszcze coś w sobie takiego, że gdy na nie kto bąc spojrział, jakąż to miła dziewczyna w duszy swój pomyśleć musiał.

I jeden starościc młody będąc na polowaniu z dworem, kiedy ujrzał dziewczynę pasącą bydło pod borem, także tak samo w duszy pomyślał, i odtąd między gąszczami a czarnym lasem póty polował, aż się w dziewczynie zakochał, aż bez niej już nie mógł żyć.—

W niedzielę wieczorem po Sym Janie, przed niską chałupą ubogiego pastérza, zajechała kolasa, z której wysiadłszy do rodny młodziak do chaty wszedł.—

Zdziwił się pasterz i pastuszyna, zdziwiła się dziewczyna, bo jeszcze nigdy w ich domu podobny nie był pan, a dorosny młodziak, kiedy ich mile pozdrowił, oni do nóg się jego skłonili, a on im powiedział, że jest od starościca dworu, że ma chleba dostatkiem, ale samotne chwile go dręczą, bo w domu jego pusto i głucho, bo nie ma żony ni dzieci, a że pastuchy mają w swym domu dziewczkę udatną, więc o nią dla się upraszał.—

Nie spodziali się owego szczęścia biedni ci ludzie, a może się i spodziali, ale się z tem nie wydali, więc rzekli do młodzieńca, że udatna dziewczka w ich domu, nie jest ich dziewczką własną, lecz że nią Bóg obdarzył przypadkiem, który mu wiernie opowiedzieli,

Ze zaś urodny młodzian był do tego bardzo miły, i zdawał się mieć wspaniałe serce, na nic nie zważał, i dopóty bogatą kolasą do niskiej chałupy jeździł, aż ubogą dziewczynę, wychowaną pastuchów zaślubił. — I po ślubie i po cichym weselu w dalekie strony z młodą swą żoną pojechał, i nikt się temu nie dziwił, bo każdy o tem wiedział, że w pałacu u państwa od pół roku przebywał jako gość staroście z dalekiej strony, który kiedy wyjeżdżał i swój dwór z sobą zabrał.

Ale się nie tak miało, jak biedny pastuch i pastuszyna i ich sąsiedzi myśleli, bo ten, co biedną dziewczynę pojął, nie był od starosty dworu, ale był to sam staroście, który goszcząc u państwa w naszym pałacu, jako u swych przyjaciół, zamiast jedną z ich cór, czego się spodziewali, wychowaną pastuchów za żonę cichaczem pojął — i do swego [zawiózł ją zamku.

Staroście wjeżdża do zamku, a jego matka się pyta, «kogoż tam wiesziesz mój synu?»

«Żonę» odpowie — myśląc że matka pobłogosławi, że do swojego serca przyjmie swoją synową — a matka rzekła:

«A gdzież jej sługi, kędy jej dwór, dalekoż jeszcze posag i wiano? —

Syn dobry aby nie splamić szczerých ust kłamstwem przed matką, powiedział: że jego żona prócz cnoty nie posiada, — a kiedy matka chcąc się dowiedzieć, z jakiego rodzaju syn pojął żonę, gniew co jej burzył krew, w zawziętym stłumiła sercu, i udaną dobrocią o wszystko się pytając, wszystkiego się dowiedziała — I od tej chwili nie



mogła cierpieć synowej — a nieszczęśliwa synowa, chociaż co dzień twarz i piersi, goryczy łzami zmywała, co dzień była jeszcze piękniejszą, i co dzień jeszcze ją więcej mąż kochał.

\* \*

Po krótkiej szczęśliwej dobie, dziki tatarzyn wtargnął w nasz kraj — znowu palił, mordował — a gdy się bardzo rozgościł, nasi bez żartu ciężkie swoje szabllice, na jego tępli karku.

Staroście, tak jako wszyscy, w których mężka biegła krew odstąpił żony i domu i na tatara pospieszył, — a nieszczęsną zoną jego spodziewając się potomstwa, pozostała z matką w zamku. —

I od granicy z bitw pola, pisał staroście do żony, czy zdrowa, czy już rozwiązał ją Bóg, by mu doniosła prosił — a każdy list przejęła matka, i synowej nie oddała — aż dopiero gdy synowa pięknego zrodziła syna, matka dziecię odebrawszy, za namową czarownicy, na to miejsce, ah mój Bóg! małą psinę podłożyła — i do syna napisała, że jego urodna żona, zamiast spodziewanego potomka, brzydkie wylęgła psisko. —

Tym czasem zaś biedne dziecię, niedawno co urodzone w koszyku utulone, na głęboką puściła rzekę:

I płynęło biedne dziecię, bogatego starościca, i nieszczęśliwej księżniczki, w koszyku głęboką wodą, i wpłynęło między dwie zielone łączki i za łączki, kędyś rybak po nad brzegiem stojąc, w rzece łowił ryby i ujrawszy koszyk zdala, sieć zarzucił, koszyk złapał, a gdy otworzył, jakanioś ka dziecię ujrzał, i to dziecię wziął do chaty, i chłopczyka chował sobie.

Zmiotł tatarzyn w swoje strony, a rycerze powrócili do swych domów, do swych żon — i staroście też wrócił do swego zamku do żony, lecz się z nią ledwie przywitał, ledwie oz drowie zapytał, taki miał do niej żal, tak zakrwawione

serce — a ona nieszczęśliwa, łzami goryczy twarz i piersi zalewała.

I w rok a może w dwa, gdy znowu z tatarzem  $\Xi$  zdarzył się taniec, starościc tak jako wszyscy, w których mężka biegła krew, odstąpił żony i domu, i ze wszystkiemi pospieszył a nieszczęsna żona jego spodziewając się potomka, pozostała z matką w zamku, i kiedy za drugim razem drugiego zrodziła syna, matka dziecię odebrawszy, za namową czarownicy, na to miejsce, ah mój Boże! matkę kocię podłożyła, i do syna napisała, że jego urodna żona, zamiast spodziewanego potomka, brzydkie wylęła kocisko.

Tymczasem zaś biedną dziecię, tak jako i tamto pierwsze, na głęboką puściła rzekę.

I tak samo jak i tamto nieszczęśliwe biedną dziecię bogatego starościca i nieszczęśliwej księżniczki, płynęło głęboką wodą, i wpłynęło między dwie zielone łączki i załączki. Kiedy rybak po nad brzegiem stojąc, w rzece łowił ryby i ujrawszy koszyk zdala, sieć zarzucił, koszyk złapał, a gdy otworzył, jak aniołka ujrzał dziecię, i to dziecię wziął do chaty i znów drugiego chłopczyka chował (\*).

Zmiotł tatarzyn w swoje strony, a rycerze powrócili do swych domów, do swych żon — i starościc też powrócił do swego zamku do żony, lecz się z nią i nie przywitał, tak był nanią zagniewany, taką boleść w sercu czuł, i do tego kiedy jeszcze przez matkę był podnawiany, przed sądem własną oskarżył żonę, a sąd ją na wieże skazał więzieniu. — i nieszczęśliwą księżniczkę, bogatego pana żonę, w jednej komnacie zamkowej, na wieki wieków zamknęli.

Starościc zaś okropnie dręczony, męką niewinnej żony, wymyślił sobie wojaż i pojechał.

---

(\*) Opowiadający napomknął, że tych dwóch braci były imiona Boruś i Klebuś; nie uznając tych imion stosownemi, wcale takowych nie użyłem — jednakże warto się nad tém zastanowić, bo te imiona (wyrażeniem ludu) odpowiadają imionom Borys i Chleb, i książąt ruskich.

Za łączkami nad rzeką, stała chatka rybaka, a w tej chatce chowało się dwóch chłopczyków, jeden miał dwanaście, a drugi dziesięć lat.

I te chłopczyki dwa, jeżeli razem z ojcem ryb nie łowili, w przyległym lasku ptaki łapali — i zdarzyło się jednego razu, że na jednej z ich sieci zawikłał się ptaszek złoty — i śpiewał, i skrzydełkami trzepotał, aż chłopcy przybyli, i z wielkiem podziwieniem, w nieporównanej radości ptaszynę wypłatawszy, w posród skoków, klaskań w ręce, do swego zanieśli domu. —

Rybak, tych niby ojciec chłopców, na drugi dzień wstawszy rano, słyszy, jak ptaszek złoty, w drewnianej klatce śpiewa, przychodzi bliżej słucha — do klatki patrzy, aż tu w małym gniazdeczku, choć małeńkie, ale złote jajko leży.

Idąc z rybami do miasta wziął także jajeczko złote, a gdy do złotnika z rybami wstąpił, on mu za ryby i pół bitego dać nie chciał, a zaś za jajko dukata całkiem zapłacił.

Uradowany więc rybak, kiedy co rano ptaszka podchodził codziennie złote jajko tam znalazł i co dzień takowe sprzedal i co dzień miał dukata.

A gdy tak przez rok cały złote jajeczka rybak sprzedawał rzemiosła swego zaniechał — jadł sobie dobrze, pił jeszcze lepiej i był szczęśliwy.

Ale cóż, nietrawne szczęście takie, rybak cały rok *bez prace, jadał kolace* i myślał że tak będzie do śmierci — i pieniędzy nie szanował, jak lekko przyszły, tak lekko poszły — o! w krwawym pocie czoła zapracowany grosz, daleko lepiej się trzyma, ciężko przychodzi grosz taki wydać, człek aby mógł, z jednego zrobić dwa — Rybak zapomniał o dawnej biedzie, zapomniał że był rybakiem, i dopiero dawniejszy stan na myśl mu przyszedł, kiedy jednego ranka według zwyczaju, zajrzawszy w małe gniazdeczko nietylko jajka złotego nie znalazł, ale w kącie klateczki ujrzał ptaszynę niezwyłą, Zmartwiony, załamał ręce, świeczki mu w oczach stanęły — co teraz począć, myślał.

Aż przechodząc czarownica, starościny doradczyna wstąpiła niby przypadkiem do niego — Rybak wiedząc że ona już nie jednemu w jego zgryzocie pomogła, o ptaszku złotym przed czarownicą rzecz rozpowiada, i kończy mowę na swém zmartwieniu — a czarownica mu tak oświadcza:

•Ze on jest bardzo szczęśliwy człowiek, pod słońcem na świecie całym, że za tym ptaszkiem nie jeden książę, nie jeden rycerz napróżno obszedł pół świata — bo ptaszek złoty jest dawcą berła, korony, dawcą szczęścia i bogactw; kiedy się z jajek wyniesie złotych i życie przestane, na różnie upiec go trzeba, a kto zje łebek, będzie królem, kto zaś kadłubek będzie ministrem, a kto żołądek będzie miał tyle bogactw że ich nie przeżyje do śmierci.

Jak tylko rybak to usłyszał, zgodnie z czarownicy żądaniem onej żołądek obiecał, a ptaka czémprędzej na rożen wsadził i słudze przy ogniu obracać kazał, sam zaś przed tą potrawą zamknął się z czarownicą, by pomówić o przyszłości jak to on będzie królem, a ona wielką panią, — chłopcy tym czasem biegali, a nalatawszy się do woli, wpadają do izby patrzą, ptaszek się na rożnie piecze — jako łakome zbytne mlokosy, gdy się sługa odwinęła, starszy porwał za łebek, młodszy za żołądek i przysmaczki te zjadłszy, uciekli.

Rybak z czarownicą przychodzi na swoją potrawę, patrzą, ani łba ani żołądka — mało sługi nie uśmiercił, lecz się wytłomaczyła że to paniczów sprawka być musi, bo tylko co z izby na dwór wypadli.

Rozgniewany do szaleństwa, że ci, co ich od śmierci wyhawil, których wychował, pozbawili go berła i bogactw, za namową czarownicy chciał ich porąbać na sztuki, czego obawiając się chłopcy, uciekli.

Zmartwieni dwaj bracia nie wiedzieli gdzie idą, a skoro ich noc zaszła, wstąpili na gospodę do jednej karczmy — tam zjadłszy lichą wieszczkę, bo ich na dobrą stać nie było, na ubogiem posłaniu pokładli się tuż obok pieca. —

I powstawszy nad ranem rozmawiali ze sobą, gdzieby się udać i po co, a karczemny ich rozmowę dobrze słysząc, a tymczasem zbierając ich posłanie, pod jedną z poduszek dziesięć dukatów znalazł.

Dziesięć dukatów piechotą przecież nie chodzą, karczemnego wzięła chętka, aby je sobie zatrzymał — i tak też zrobił, a dwaj bracia mając nadzieję iż może ojciec się udobrucha, i aby się do dom wrócili, po nich nadesłe, czekali w owej karczmie — ale napróżno, bo noc zaszła a ojciec po nich nie przysłał — więc jeszcze zanocowali, a kiedy przeszła noc, i powstawszy nad ranem, znowu medytowali, gdzie iść i po co, karczemny tymczasem zbierając ich posłanie pod jedną z poduszek, drugie dziesięć dukatów znalazł i jako pierwsze sobie zatrzymał:

Trzeciego dnia mówili sobie bracia, że już nie sposób czekać dłużej i lepiej iść w świat — Zabierali się więc w drogę a karczmarz mówił.

Grzeczni panicze, i cóż wam szkodzi byćcie jeszcze noc jedną pozostali, po co się włóczyć po świecie, ja może jutro jadąc do miasta, do waszego ojca wstąpię, onemu wyperswaduję, — boj to przecie ojciec ojcem — a dzieci dziećmi.

Na tak przychylną radę, uważając dwaj bracia na trzecią w karczmie zostali noc, a kiedy karczemny dziesięć dukatów pod jedną z poduszek znalazł, do głowy po rozum skoczył i pomyślawszy, że to musi być w tem coś, tak zachodził i kręcił aby dwaj bracia w podróż nie wychodzili, — w końcu oznajmił, iż jeśli chociaż na parę tygodni zostaną, co dzień każdemu z nich da jeść i pić; oni się też długo prosić nie dali, i pozostali.

Karczmarz każdego rana jako z początku, po dziesięć czerwieńców zabierał.

Od dwóch tygodni pobycia dwóch braci w karczmie przyszło do trzech, od trzech do czterech, od czterech do dziesięciu. — Ażeby to nie zdało się komu dziwno, że karczmarz dwóch braci tak długo trzyma, rzekł do starszego z nich, to

jest do tego, pod którego głową nie było nigdy czerwien-  
ców:

Iż ponieważ jemu jest ciężko utrzymywać ich dwóch,  
przeto on młodszego do służby przyjmie, a jemu tyle pienię-  
dzy da na drogę, że mu na sto mil wystarczy — i dał mu więcej  
niżli sto złotych.

Ucieszony starszy brat taką dobrocią karczmarza we  
łzach mu podziękował, z bratem swym się pożegnał i po-  
szedł w świat.

Idąc zaszedł daleko aż do zamorskiego kraju, gdzie  
wówczas był taki zwyczaj, że kiedy umarł król, a nie zo-  
stawił potomka, wyszedł na pole wszystkich lud, i na czyiém-  
by ramieniu z pomiędzy nich usiadł ptaszyna jaki, ten zo-  
stał królem.

Długo po śmierci bezpotomnego króla na pole wycho-  
dził lud, nie widać było ptaszyny, bezrząd nieszczęsny  
trawił kraj, naród bez króla, bez ojca, był naród nędzny,  
był obłąkany.

Aż wreszcie kiedy tak na polach daremnie przeznacze-  
nia swego czekał lud, wpośród nich podróżny młodzie-  
niec wstąpił, a nad nim ptaszyna złoty brylantową wzdy-  
mał pierś, i tak cudną, jakiej nie słyszał nikt jeszcze, zanu-  
cił pieśń i na podróżnego usiadł ramieniu.

Cały naród okrzyknął że to ich król, i podróżny mło-  
dzieciec przez ową starościnę babkę swą w koszu na wo-  
dę puszczonej, za łączkami nad rzeką przez rybaka wycho-  
wany, który złotego ptaka zjadł główkę, stosownie do-  
przeznaczenia został królem.

Młodszy zaś bratu karczmarza pozostał, a karczmarz co  
rano według zwyczaju pod jego poduszką dziesięć duka-  
tów znajdował, i tak się zbogacił, że karcznię z której daw-  
niej żył, zarzucił, i kupił sobie wieś — a do pozostałego  
z dwóch braci rzekł:

•Mój bracie jużes mi niepotrzebny, i możesz sobie iść  
w świat. —

Daremnie chłopiec się prosił, że będzie wierny, wdzięczny, przekładał—nic nie pomogło—miał jednak chłopiec nadzieję, że na wychodnym, tak jak brat jego choć ze sto złotych dostanie, ale że się omylił, bo karczmarz nic mu dać nie chciał, płacząc gorzko na losy narzekał.

Kiedy szczęśliwy chłopiec nie wiedząc o szczęściu swoim, rozpacział, skłoniwszy się karczmarz do jego nóg, wszystko mu wyznał i podziękował, że z jego przyczyny tak się zbogacił, że nie tylko on, ale i jego wnuki będą szczęśliwe.

Chłopiec jak to usłyszał, zawierzyć nie chciał, więc ażeby się przekonał, jeszcze noc jedną u karczmarza pozostał, a kiedy z rana dukaty na prawdę pod swą poduszką znalazł, wesół szczęśliwy poszedł w świat—A kiedy w swęj podróży, huk (\*) pieniędzy nazbijał zamieszkał w jednem mieście, jakby największy pan, i tam sobie jadł, pił, o nicém nie myślał.

Nie byłoby człowieka tak szczęśliwego na świecie jak on, gdyby nie owa czarownica przed którą się rybak o złoty ptaszku wygadał — tej czarownicy gdy się zachciało być panią, dopóty za młodszym z braci chodziła, aż pewnego razu zadawszy mu jakieś krople, po których on tak zasnął, że choćbyś nad jego uszami zmoździerza walił, pewnoby się nie obudził, wzięła szklanego noża, jego brzuch rozplątała i złotego ptaszka żołądek przez niego zjedzony wyjąwszy sama takowy czémprędzej tyknęła. — Po tem brzuch mu słaftowała, czarownym olejkiem zlała, i on po wyspaniu się był zdrów jak ryba, lecz goły jak bicz diaboliczny, bo od owego czasu, chociaż co rano pod poduszkę zaglądał, ani grosza tam nie znalazł.

---

(\*) To jest bardzo wiele — wyrażenie ludu w wesołem opowiadaniu.

Kiedy więc stracił wszystko a w mieście tém, bez pieniędzy nie miał co robić, umyślił sobie iść w świat i poszedł.

Idąc, spotkał się z jednym staruszkim, który gdy go tylko ujrzał, jakby go znał kiedyś, pozdrowił, przywitał i jakby się miał, zapytał — a kiedy chłopiec rybaka odpowiedział: że się ma głodno, chłodno i do domu daleko, tak do niego ów staruszek przemówił:

«Wiem ja o twoich przypadkach, lepiej niżeli ty sam o nich wiedzieć możesz — i powiedział mu wszystko ów staruszek poczynawszy od zaginionego księżęcia, o jego rodzicach, o podstępnej starościny, o rybaku, o złotym ptaszku, i jego bracie, który już został królem. Tak wszystko opowiedziawszy mu ów staruszek mówił jeszcze: że tej czarownicy kóra ich dwóch braci po urodzeniu kazawszy puścić w koszach na wodę, a na ich miejsce podłożyć psa i kota, która onemn za pomocą sztuki i czarów zołądek złotego ptaszka z brzucha wyjęła, on pierwszym jest mężem i że gdy się spotkali z sobą szczęśliwie, jeden drugiemu dopomódz winien, albowiem staruszek ten, kiedy był mężem owej czarownicy, za to że jej czarnoksiężkiej sztuki tak się już nie zle wyczyił, że czasem co chciał to płatał, i w jej złych zamiarach przeszkadzał, ona zakląwszy go w niedzwiedzia, wypędziła na bory, a sama znowu za młodszego poszła męża — on zaś w niedzwiedziej postaci wiele lat spędził, a przez sztukę którą umiał, tyle się starał iż się na człeka oddziernął, po czem nie równie łatwiej mógł się o wszystko postarać, a gdy jeszcze między górami za borem założył ogród, wszystkie cudowne zioła jakie tylko są w świecie posiadał między wielu miał zioła otwierające klody i zamki, przemieniające żelazo na srebro, srebro na złoto, przedziergające człowieka na konia, oddziergające z konia na człowieka.

Umówiwszy się więc ów staruszek z podróżnym młodzieńcem, dawszy mu rozmaitych ziół owych ze



swojego ogrodu, i nauczywszy go jak z czem sobie ma poradzić, pokazał mu najkrótszą drogę do królestwa, w którym brat jego starszy był królem, i życząc mu szczęśliwej podróży i rychłego z nim widzenia, najszczerzej obadwa pożegnali się, i młodzieniec wskazaną poszedł drogą, a starsuszek do swego sadu powrócił.

Przybywszy młodszy brat do króla starszego brata swego, z taką radością po bratersku został przyjęty, że król z tej przyczyny wielki obiad dla całego miasta wyprawić kazał.

W mieście tém była także naówczas i czarownica, która choć miała ogromnie wiele pieniędzy, umyśliła sobie za pomocą swej sztuki, królowi, tak jako jego bratu brzuch rozplatać, główkę złotego ptaszka wyjąć, zjeść i zostać królową. Z wielką więc chęcią na królewski obiad przybyła, mniemając, że będzie miała sposobność dokonać swego zamiaru.

Ale się djabelnie samochcąc złapała, ponieważ kiedy się obiad skończył i do pieczystych frykasów przynieśli różne sałaty, brat króla mając przy sobie od owego starszka rozmaite cudowne zioła, jedno z nich z czarownicy sałatą zmieszał, które kiedy tylko zjadła, natychmiast złotego ptaszka zołądek z niej wyleciał, i uciekł, a ona sama czarownica w ujeżdżonej klaczy stanęła postaci.

Brat królewski jak jej dosiadł, naprzód spał ją ostrogą, po obudwu bokach liźnął batem, a sprobował galopa, kłusa i stępa, kazał ją zaprowadzić do stajni, dać jej obroku, siana i wody.

---

W około dwadzieścia lat po uwięzieniu księżniczki znowu tatarzyn dziki w sto tysięcy wszedł w nasz kraj, a mordując i siekąc, strumieniem przelewał krew. Przed tak okropną plagą, kto żył chronił się gdzie tylko mógł, w zam-

kach zamykali się możni i zbrojni, ze wsi i dworów naród uciekł do lasu i tam ze drżeniem czekał straszego losu.

Na obronę zamek pani starościny, gdzie było owe wieczne więzienie Bogu dusze winnej księżniczki żony starościca, trzystu barbarzyńców wpadło, i już bramę wyłamała, straż posiekła, sługi rąbali, gdy na czele dwóch rycerzy natarło wojsko złotem ślnące, w szable, dzidy, ciężkie miecze uzbrojone — i to wojsko strojem błyszcząc, bronią brzęcząc, przy muzyce głośnej trąby, tatarskie wściekle szeregi na dwie połowy rozdarło i na dziedziennic zamkowy, jakby od wiatru pędzona chmura, wpadło, pawilony rozwaliło, z ciemnego więzienia, na wpół umarłą kobietę porwało, i strojem błyszcząc, bronią brzęcząc, w trąby trąbiąc, odjechało.

Tatarskie wściekle szeregi, zadumione tym widokiem, rozumiejąc że jaka inna horda, najbogatszy łup zabrała, wielki zamek starościny, w cztery rogi podpalił i uciekli. — Daremnie, kiedy wielki gorzał zamek, z krążganku, rozpaczy głosy wzbijały się pod niebiosy: — «Ratuj ratuj, o człowiecze! — masz klejnoty, masz pieniądze, ach masz wszystko, oddam, ratuj, ratuj moje życie !!»

Nie, — nikt głosu tego, nikt nie słyszał, — daremnie, daremnie o niebiosy się odbijał, — zamek zgorzał i głos ustał — ten głos, to był pani starościny, swęj synowęj morderczyni, a kobieta uwolniona przez strojne porwane wojsko to była owa synowa starościny morderczyni, a wojsko strojem błyszczące, bronią brzęczące, to było królewskie wojsko aż z zamorskiego kraju. — A tego wojska pierwszy wódz, to był ów król niewinnie więzionej księżniczki syn, a wódz drugi, to był królewski brat, on sobie jechał na czarownicy, którą na owym balu za pomocą sałaty przedziernął w konia, a kiedy wracał do swoich zawołał na masztalerza, «podaj mi konia z arabskiej puszczy zielonej, a tę klacz gładką choć starą, weź sobie pod tym warunkiem, abys ją tatarom sprzedał.

Jak pan rozkazał, sługa uczynił, i nie zadługo na czarownicy w końskiej postaci, wywijał kordem tatarzyn dziłki, boki jej żelaznym okładał knutem, rdzewiała do krwi orał ostrogą.

Dwaj bracia przywiózłszy matkę swą do krainy za morzem, w której starszy z nich był królem, znowu z owęj przyczyny dla całego narodu sprawili świetne igrzyska i festyn.

W pałacu samego króla najpierwsi z książąt i panów gościli — a kiedy za zdrowie króla, jego matki i brata, kolejnie wino spełniali, a wiwaty w polach grzmiały, doniósł jeden z pierwszych sług, że jakaś banda biedaków gwałtem do króla się pcha.

Jako w dniu tak szczęśliwym, kazał król by ich wpuszczono.

Wchodzą, król patrzy, serce w nim bije, ale nie widzi, brat jego patrzy, serce w nim bije, i widzi bandę biedaków i między niemi staruszka z pomiędzy gór. — Królewska matka znów patrzy, serce w niej bije i widzi z pod czarnego lasu, pastuchów.

Kiedy wszyscy zdziwieni, z bijącym sercem w milczeniu stali, rzekł staruszek z pomiędzy gór:

Patrzycie, serce wam bije, a nie wszystko widzicie — Oto ja, którym was wszystkich sprowadził, oto wskazując na pastuchów: ci którzy z zagłady uchronili dziewicę z książęcej krwi, i oto, wskazując na rybaka: ten, który dwóch braci od śmierci wybawił i wychował — oto nareszcie, wskazując na ostatniego biedaka, który pielgrzyma ubiorem odziany, stał w końcu, oto, mówię ten który bez przekonania się o krzywdzie, oskarżywszy własną żonę, na puszczy dwadzieścia wycierpiał lat, królewskiej matki mąż, króla ojciec.

Krzyknęli wszyscy radosnie — i koniec — bo ma się rozumieć że król wszystkich uszczęśliwił — mój dziadek wszakże wyraźnie powiedział, że ów staruszek z pomiędzy gór, pierwszy czarownicy mąż, która w końskiej postaci z tatarzem w stepy uciekła, nie chciał być niczém, jak tylko wkrólewskich sadach ogrodnikiem — i był téż nim do śmierci.

K O N I E C .

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-68

# S P I S O

*stronice*

Przedmowa	
I. Piękne oczy . . . . .	1
II. Bieda . . . . .	12
III. Tomiła . . . . .	20
IV. Sierota . . . . .	28
V. Rozmowa bydląt . . . . .	32
VI. Wianek Helisi . . . . .	35
VII. Maciej Pyta . . . . .	41
VIII. Kaganiec . . . . .	44
IX. Pieniądze . . . . .	51
X. Twarz Królewska . . . . .	54
XI. Djabel i mądry chłop . . . . .	57
XII. Tumeł . . . . .	60
XIII. Kłamstwa nad kłamstwami . . . . .	66
XIV. Jałmużna . . . . .	72
XV. Zefir . . . . .	76
XVI. Kochanie . . . . .	83
XVII. Mary . . . . .	84
XVIII. Trupia głowa . . . . .	88
XIX. Pogrzeb skomy . . . . .	89
XX. Zwierciadło . . . . .	90
XXI. <u>Pan Kozuszek</u> . . . . .	95
XXII. Błada Panna . . . . .	105
XXIII. Djabli tanek . . . . .	107
XXIV. <u>Potępiona</u> . . . . .	109
XXV. Miecz zwycięzki . . . . .	117
XXVI. Wąż . . . . .	130
XXVII. Postronek . . . . .	140
XXVIII. Przeznaczenie . . . . .	145



## ZNACZNIEJSZE POMYŁKI W DRUKU.

<i>str. wiersz zamiast</i>	<i>powinno być</i>
4 29 do do	do
5 18 nie dżryi	nie drżyj
7 5 ozdobniej	ozdobi
9 33 je	jěj
11 20 pottrafit	pottrafit
— 33 34 któżeby	któreby
18 7 umienia	sumicnia
29 29 sierioty	sieroty
45 24 wierzzchowiec	wierzchowiec
47 13 i wije	wije
48 15 16 kiedy	kędy
58 9 przyszed	przyszedł
60 1 2 z takim	z takim
80 23 braciczka	braciszka
86 10 wniesly	wniesło
— 11 odeszli	odeszło
109 7 macoszynę	macoszyny
113 36 ego	jego
114 32 smute	smutek
116 1 z nagła	znagła
118 36 } czterdziestym	czterdziestem
119 1 } — 1 silnym	silnem
— 3 dworem	z dworem,
136 30 gra	grała
147 16 miał a	miała
149 10 nieszczęsn	nieszczęsna
— 33 oz drowie	o zdrowie
151 19 sprzedał i	sprzedał,
156 29 30 posiadał	posiadał,

1688	1689	1690	1691	1692	1693	1694	1695	1696	1697	1698	1699	1700	1701	1702	1703	1704	1705	1706	1707	1708	1709	1710	1711	1712	1713	1714	1715	1716	1717	1718	1719	1720	1721	1722	1723	1724	1725	1726	1727	1728	1729	1730	1731	1732	1733	1734	1735	1736	1737	1738	1739	1740	1741	1742	1743	1744	1745	1746	1747	1748	1749	1750	1751	1752	1753	1754	1755	1756	1757	1758	1759	1760	1761	1762	1763	1764	1765	1766	1767	1768	1769	1770	1771	1772	1773	1774	1775	1776	1777	1778	1779	1780	1781	1782	1783	1784	1785	1786	1787	1788	1789	1790	1791	1792	1793	1794	1795	1796	1797	1798	1799	1800	1801	1802	1803	1804	1805	1806	1807	1808	1809	1810	1811	1812	1813	1814	1815	1816	1817	1818	1819	1820	1821	1822	1823	1824	1825	1826	1827	1828	1829	1830	1831	1832	1833	1834	1835	1836	1837	1838	1839	1840	1841	1842	1843	1844	1845	1846	1847	1848	1849	1850	1851	1852	1853	1854	1855	1856	1857	1858	1859	1860	1861	1862	1863	1864	1865	1866	1867	1868	1869	1870	1871	1872	1873	1874	1875	1876	1877	1878	1879	1880	1881	1882	1883	1884	1885	1886	1887	1888	1889	1890	1891	1892	1893	1894	1895	1896	1897	1898	1899	1900	1901	1902	1903	1904	1905	1906	1907	1908	1909	1910	1911	1912	1913	1914	1915	1916	1917	1918	1919	1920	1921	1922	1923	1924	1925	1926	1927	1928	1929	1930	1931	1932	1933	1934	1935	1936	1937	1938	1939	1940	1941	1942	1943	1944	1945	1946	1947	1948	1949	1950	1951	1952	1953	1954	1955	1956	1957	1958	1959	1960	1961	1962	1963	1964	1965	1966	1967	1968	1969	1970	1971	1972	1973	1974	1975	1976	1977	1978	1979	1980	1981	1982	1983	1984	1985	1986	1987	1988	1989	1990	1991	1992	1993	1994	1995	1996	1997	1998	1999	2000	2001	2002	2003	2004	2005	2006	2007	2008	2009	2010	2011	2012	2013	2014	2015	2016	2017	2018	2019	2020	2021	2022	2023	2024	2025	2026	2027	2028	2029	2030	2031	2032	2033	2034	2035	2036	2037	2038	2039	2040	2041	2042	2043	2044	2045	2046	2047	2048	2049	2050	2051	2052	2053	2054	2055	2056	2057	2058	2059	2060	2061	2062	2063	2064	2065	2066	2067	2068	2069	2070	2071	2072	2073	2074	2075	2076	2077	2078	2079	2080	2081	2082	2083	2084	2085	2086	2087	2088	2089	2090	2091	2092	2093	2094	2095	2096	2097	2098	2099	2100
------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------	------



1803  
1803









F

23.261